

Andrzej Bilewicz — Projekt okładki
Krystyna Toczalska — Redaktor techniczny

© Copyright by Jan Kraśko

© Copyright by Andrzej Bilewicz

ISBN 83-85236-00-7

Oficyna Wydawnicza
„C and S” sp. z o.o.

Druk „Metrum” sp. z o.o.
Warszawa, ul. Batorego 16

Warszawa 1990, wyd. II
Nakład 50 000 egz., zam. 4613/90

Wszystkie osoby występujące w tej książce są fikcyjne i jakiegokolwiek ich podobieństwo do osób rzeczywistych, żywych czy martwych jest kwestią czystego przypadku.

Wydarzenia, aczkolwiek również w większości fikcyjne, oparte są jednak na realnych przesłankach. I tak przykładowo, wszelkie zagadnienia techniczne, dane dotyczące parametrów „Atlantisa”, jego startu, operacji orbitalnych i lądowania wzorowane były na amerykańskich wahadłowcach „Columbia”, „Challenger” i „Atlanta” oraz szczególnie przekonsultowane z panią Anną Balter, której tą drogą autor pragnąłby złożyć serdeczne podziękowania za współpracę i pomoc.

Prolog

Styczeń tego roku był wyjątkowo zimny. Mike Deaver, szef tajnej policji Białego Domu, spał w swoim mieszkaniu przy Park Road, o piętnaście minut drogi od Pennsylvania Avenue 1600. O godzinie drugiej w nocy obudził go natarczywy sygnał telefonu. Deaver ocknął się i od razu wiedział, że stało się coś złego. W sypialni był bowiem tylko jeden, jedyny aparat — linia bezpośredniego połączenia z rezydencją prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Mike Deaver sięgnął po słuchawkę i rzucił zachryple „halo”. Dzwonił Bob Carter, oficer dyżurny ochrony.

— Co się stało? — zapytał szef policji.

— Niestety, Mike, prawdziwe nieszczęście.

Kiedy samochód Deavera z włączonymi światłami i syreną podjechał na podwórze przy Pennsylvania Avenue 1600, Biały Dom był już ze wszystkich stron otoczony strażnikami obstawy. Mike wbiegł jak szalony na trzecie piętro, do prywatnych apartamentów prezydenta Bakera, i w drzwiach sypialni natknął się na jego osobistego lekarza, doktora Shumana. Shuman powiedział mu, że prezydent nie żyje. Zmarł nagle przed czterdziestoma minutami. Była godzina 2.20.

O 3.30 do luksusowego pałacyku położonego przy George Washington Avenue, o kilka przecznic na północ od Białego Domu, jeden za drugim zajęły dwa mercedesy i rolls-royce, z których szybko wysiadło pięć osób. Właścicielem pałacyku był

sześćdziesięcioletni Andrew Mellon, minister finansów w rządzie Bakera, multimilioner, najbardziej wpływowy przemysłowiec, polityk i biznesmen w Washingtonie. W gabinecie na piętrze rozpoczęła się nadzwyczajna narada. Oprócz Andrew Mellona, który zasiadł przy kominku w nocnych pantoflach i szlafroku, w naradzie udział wzięli: ulubieniec zmarłego prezydenta i jego osobisty przedstawiciel, minister sprawiedliwości Hughes, minister spraw wewnętrznych Fall, minister handlu Harding oraz wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Norbert Dillon. W drzwiach saloniku stał cicho Mike Deaver.

Andrew Mellon miał niewiele czasu. Pochwalił Deavera za dobrą robotę używając słów oględnych i unikając szczegółów. Mike Deaver widział już oczyma wyobraźni kolejne zero na swoim pięciocyfrowym rachunku w Washington First National. Mellon pogratulował Dillonowi, który o godzinie piątej miał być zaprzysiężony jako czterdziesty pierwszy prezydent USA. Powiedział, że nie można było dłużej tolerować wybryków Bakera, który przeistoczył Biały Dom — bądź co bądź siedzibę głowy państwa — niemal w spelunkę. Od rana do wieczora odbywały się tam pijatyki, podczas których przy karcianym stoliku decydowano o sprawach polityki.

Mellon rozumiał Bakera i pozwalał na wiele. Miał przecież w tym swój interes. Wiedział o wszystkich aferach starannie ukrywanych przed prasą, radiem i telewizją, o łapówkach, jakie Hughes, Fall i Harding otrzymywali od towarzystw naftowych, i o słabostkach Bakera do kobiet najstarszej profesji. Wiedział i przymykał oko. Wszystko było dobrze, dopóki przedsiębiorstwa mu podległe prosperowały, a nazwisko pozostawało bez skazy.

W roku 1984 Mellon, kryty przez Bakera, prze-

forsował w Kongresie projekt pod kryptonimem „Talon Gold”, który zainicjował słynne amerykańskie „wojny gwiazdne”, wprowadzając na orbitę okołozemską broń laserową, zdolną do zniszczenia praktycznie każdego celu z wielką precyzją i skutecznością. Prezydent stanął na głowie, by operacja przebiegła pomyślnie, skutkiem czego Kongres wyasygnował na nią astronomiczną kwotę czterech miliardów dolarów. Sprawa była prosta — Mellon miał potężne udziały i wpływy w Rockwell International oraz Lockheed, w dwóch największych koncernach zbrojeniowych USA. Zamówienia na „Talon Gold” przechodziły przez ręce ministra finansów, który kierował je do odpowiednich firm. Ministrem finansów zaś był sam Mellon. Do jego to kieszeni wpadło wówczas około 50 milionów.

Dziennikarze jednakże coś wywąchali i posypały się pytania. Baker w takich momentach tracił głowę. Wygadał się raz, później drugi i miarka się przebrała — w Waszyngtonie zaczęto łączyć ministra finansów z prezydentem. W tej sytuacji dalszy pobyt Bakera w Białym Domu stawał się niebezpieczny...

O godzinie 4.00 goście opuścili pałacyk. Andrew Mellon był zadowolony.

Rankiem Norbert Dillon zaprzysiężony został jako kolejny prezydent USA. W skromnej, niemal żałobnej uroczystości wzięli też udział Hughes, Fall i Harding. Mike Deaver stał jak zwykle z tyłu. Nadal piastował funkcję szefa tajnej policji Białego Domu.

Rozdział I

1

New York City, 13 kwietnia, godzina 11.00

William Lawrence Ross snuł się po Charrington Street od godziny. Charrington Street biegnie prostopadle do Park Avenue, jednej z najbardziej ekskluzywnych ulic na Manhattanie, sama jednak do ekskluzywnych nie należy. Graniczy z Harlemem i widać tutaj wiele czarnych, znużonych twarzy. O dwieście metrów dalej kwitnie bajeczne bogactwo i przepych białych.

Ross chodził nerwowo tam i z powrotem z rękami w kieszeni brudnego prochowca. Jego twarz zdobił kilkuniedniowy zarost, w lewym kącie ust trzymał szczątek lucky strike'a.

Ross miał 42 lata i pięć tysięcy dolarów długu. Nie posiadał własnego mieszkania i przez ostatni tydzień wegetował u przygodnie poznanej prostytutki. Musiał zwrócić pieniądze Larsenowi, nędznej płotce w podziemnym świątku miasta. Larsen był koszmarne skrupulatny i otaczał się przyjaciółmi, którzy uczyli takiej samej skrupulatności dłużników swojego mocodawcy. Ross wiedział, że jeżeli do 14 kwietnia pieniędzy nie odda, to podpadnie pod starą zasadę Larsena: jeden dzień zwłoki — jedna złamana ręka, dwa dni — pójdą obie ręce. Jeżeli w tydzień od takiego ostrzeżenia nie zwróci nic, wówczas wpadnie przypadkowo pod samochód, utopi się w stawie Central Parku lub w brudnych wodach przystani portowej, albo skończy z kulą w brzuchu lub w najlepszym wypadku w głowie.

Ross był człowiekiem inteligentnym i wykształconym. Urodził się w Nowym Yorku, skończył tutaj szkołę średnią i dzięki stypendium dostał się do Columbia University. Na trzecim roku prawa objął redakcję gazetki studenckiej „Columbia Star” i zaraz potem napisał napastliwy artykuł krytykujący rektora oraz kilku deanów wydziału. Urzędujący rektor zwołał specjalne zebranie senatu uczelni, na które poproszono Rossa. Tam zarzucono mu między innymi brak patriotyzmu, na co Ross zareagował stanowczo zbyt ostro i następnego dnia został relegowany z Columbii.

Działo się to w roku 1969 i miał wtedy dwadzieścia cztery lata. Znalazł się natychmiast na listach poborowych i po kilkumiesięcznym przeszkoleniu w Nebrasce wysłano go do Wietnamu.

Trafił tam 29 kwietnia 1970 roku. 30 kwietnia Nixon rozkazał zaatakować Kambodżę, aby przeciąć zniechęcony szlak Ho Szi Minha. „Nie pozwolimy się upokorzyć. Jeżeli — gdy kości zostały rzucone — USA będą się zadowalać ochłapami i zachowywać jak bezsilny olbrzym, który budzi litość, siły totalitarne i siły anarchii zagrożą wolnym narodom i wolnym instytucjom na całym świecie!” — wołał prezydent usprawiedliwiając swoją decyzję.

Ross święcie wierzył w słowa naczelnego wodza państwa. Był wtedy patriotą. Wraz z kolegami wyruszył przez dzunglę i błota pałac, mordując i grabiąc.

Gdy w wiosce Ping Lai dowódca Rossa zgwałcił dwunastoletnią dziewczynkę, a później poderżnął jej gardło, Ross przeżył pierwszy szok. Potem przyszły inne: masakra w My Dan, gdzie oddział wymordował całą wioskę odcinając toporami nogi kobiet, starców i dzieci, egzekucja, w której sam Ross zabił piętnaście osób, widok mężczyzny, któremu wy-

pruto wnętrzości, pozbawiono genitaliów i spalono, oszalały żołnierz amerykański biegnący nago przez śmierdzące bagna.

Ross wrócił po roku do kraju zupełnie odmieniony. Stał się nerwowy, wyzuty ze wszelkich ideałów i zobojętniały. Pracował przez miesiąc na stacji benzynowej w Kalifornii, ale przyłapano go na drobnej kradzieży i wyrzucono na bruk. Przemierzył całe Stany z Zachodu na Wschód i znalazł się w rodzinnym Nowym Yorku.

Chwytał się różnych zajęć: ponownie na stacji benzynowej, przy przeładunkach w porcie, w restauracji, ściekach miejskich. Zaczął grać w karty. Całe noce przesiadywał u Big Jacka na Smalton Lane, dokąd schodziły się najprzeróżniejsze typy. Wygrywał, ale częściej wychodził splekany do suchej nitki. Tam spotkał Larsena, norweskiego emigranta, który od trzydziestu lat zajmował się lichwą. Ross pożyczył kiedyś od niego sto, potem pięćset dolarów, potem jeszcze raz pięćset. Larsen domagał się zwrotu, a karta nie szła. Wtedy, w sierpniu 1973 roku, dokonał pierwszej kradzieży. Nie planował jej, przeciwnie, tamten mężczyzna sam trafił w jego ręce. Był elegancko ubrany, stanowczo za elegancko jak na okolice Smalton Lane na Bronxie, i całkowicie pijany. Spał na schodach jakiegoś domu tak mocno, że nie drgnął nawet, gdy Ross wyłuskiwał mu portfel z kieszeni marynarki. Ross miał wówczas dużo szczęścia — pijany mężczyzna musiał być chyba niespełna rozumu, by chodzić nocą z dwoma tysiącami dolarów w gotówce.

I tak, gdy fortuna odwracała się, Ross kradł: w metrze, na Pchlim Targu, w domach towarowych. Kradł aż do zeszłego tygodnia, kiedy to doszczętnie ograny u Big Jacka dostał na rękę karekę króli. Larsen usłużnie podsunął plik banknotów — pięć tysięcy

dolarów. Ross sprawdził partnera i przegrał. Tamten miał karete asów.

William Lawrence Ross snuł się po Charrington Street od godziny. Obserwował niewielki sklepik pod numerem 53B.

2

Downton Hills pod Waszyngtonem, 13 kwietnia, godzina 11.15

Żona Hannah zginęła w wypadku samochodowym pod Waszyngtonem w listopadzie poprzedniego roku. Nie mieli dzieci. Hannah został sam w czteropokojowym mieszkaniu w stolicy, a żona zostawiła mu niewielki domek z ogrodem w Nowym Yorku.

Hannah urodził się w 1948 roku. Jego ojciec już nie żył, matki nigdy nie znał — zmarła przy porodzie. Ojciec, Peter, był politykiem, demokratą i przez kilkanaście lat zasiadał w Izbie Reprezentantów. Znał w Waszyngtonie wszystkich: od tych na samym szczycie aż po najmniejsze płotki. Przeżył administrację Kennedy'ego, Johnsona, Nixona i Forda, z którymi zawsze potrafił znaleźć wspólny język. Cenili go za wiedzę, dyplomację i takt. Umarł na serce w dniu, w którym Jimi Carter obejmował urząd trzydziestego ósmego prezydenta Ameryki.

Hannah rozpoczął karierę w wywiadzie wojskowym USA. Skończył przedtem prawo, tak jak jego ojciec. W roku 1973, po niezbędnym przeszkoleniu w Stanach, znalazł się w Niemczech Zachodnich. Okazał się pojętnym oficerem. Specjalizował się w dodatku w sprawach Wschodu, więc już po kilkunastu miesiącach stał się tak zwanym analitykiem wywiadu i przeszedł do Urzędu Badań Specjalnych CIA. Pod koniec 1974 roku awansował i objął

stanowisko pomocnika bardzo liczącej się osobistości, wicedyrektora urzędu, kontradmirała Rufusa L. Artura. Przepowiadano mu błyskotliwą karierę.

Hannah był zawsze człowiekiem prawym. Tak go wychował ojciec, który miał do czynienia z wieloma nieczystymi sprawami polityki USA, a który, mimo wszelkich nacisków, do końca zachował twarz. Hannah przejął po nim to, co najlepsze — uczciwość.

Będąc sekretarzem Artura posiadał praktycznie nieograniczony dostęp do supertajnych akt agencji. W swej naiwności sądził, że CIA jest rzeczywiście organizacją chroniącą dobrobyt amerykańskiego państwa i dbającą o bezpieczeństwo obywateli. Szybko przekonał się, że było zupełnie na odwrót. Doszedł do wniosku, że CIA robiła wszystko, by angażować Stany w coraz to inny konflikt. Komisja do Spraw Energii Atomowej, Wywiad Sił Powietrznych USA, Agencja Wywiadowcza Obrony, przesławny Oddział Brudnych Sztuczek, Urząd do Badań Specjalnych i cała masa innych komórek CIA były przesiąknięte korupcją i uwikłane w zależności, których Hannah bał się nawet domyślać. Początkowo optymistycznie nastawiony do pracy, zaczął z wolna tracić zapał i energię. Gdzie sprawiedliwość, którą karmił go ojciec? Gdzie oddanie sprawie?

Karny i posłuszny dotychczas Hannah usiłował protestować. Niewiele mógł, gdyż niewiele jeszcze znaczył. Jego nikły głos na tak wysokim szczeblu jednak nie pozostawał bez echa. Sześćdziesięcioletni kontradmirał Artur patrzył na młodego pomocnika z dobrotliwym, wyrozumiałym uśmiechem. On przeżył już buńczuczne lata i był pewien, że Hannah zmięknie. Ale Hannah nie zmiękł. Miał dosyć i zmienił nagle plany.

W FBI poczuł, że żyje. Zajmował się początkowo

„obyczajówką”, lecz szybko zainteresowały go sprawy najpotężniejszego podziemia USA, sprawy mafii. Odniósł szereg drobnych sukcesów i cieszył się opinią doskonałego pracownika. Był wytrwały, zadziorny i odważny.

Aczkolwiek i tutaj zorientował się, że idee demokracji, wolności i równości wszystkich wobec prawa są takim samym mitem jak w CIA. Niedaleko pada jabłko od jabłoni... Wciąż jednak jeszcze wierzył, że nauki ojca miały sens, że można było coś zrobić, coś naprawić.

Dostał awans i mianowano go szefem ogólnomerykańskiej komórki C-3 zwalczającej Cosa Nostrę. Urzędował na piątym piętrze gmachu FBI w Waszyngtonie, tylko piętro niżej od dyrektora.

Gdy jego żona zginęła, Hannah rzucił się w wir pracy, aby zabić natrętne wspomnienia. Unikał kobiet. Do dzisiaj, do 13 kwietnia, gdy spotkał Sheilę na Downtown Hills.

Sheila Pickard gotowała znakomicie. Zjedli lunch rozmawiając o niczym i rozstali się w świetnych humorach około 14.00. Nie chciała umówić się z nim na następne spotkanie. Powiedziała, że zadzwoni. Kiedy? Kiedyś.

3

New York City, 13 kwietnia, godzina 11.15

Long Island jest światem białego, bardzo bogatego człowieka. Ma 160 kilometrów długości, poszarpane brzegi, liczne zatoczki, pagórki i lasy, rybackie porty i osiedla. Zdaje się być rezerwatem nie-
tkniętym przez monstrualną cywilizację panoszącą się tuż obok. Tutaj mieszczą się rezydencje dy-

plomatów ONZ, gwiazd filmowych, polityków, bankierów, królów dzierżących narkotyczne berła i emerytowanych gangsterów. Miarą sukcesu dla przeciętnego mieszkańca nowego Jorku jest nabywanie na wyspie skromnego domku i dojeżdżanie luksusowym samochodem na Manhattan jednym z siedmiu mostów lub tuneli. Miarą prawdziwego sukcesu jest rezydencja za paręset tysięcy dolarów w parku otoczonym parkanem i drutem kolczastym, dzień i noc czuwającymi strażnikami oraz docieranie na Manhattan własnym helikopterem. Przez oszczędność czasu, bo czas to pieniądz.

Joseph Pulverino miał szśćdziesiąt lat i dużo pieniędzy. Był Capo Rodziny w Richmond, od dziesięciu lat mieszkał na Long Island. Urodził się na Sycylii. Jego rodzice wyemigrowali do USA i tutaj, w Nowym Jorku, młody Joseph przeszedł wszelkie szczeble kariery podziemia. W roku 1960, gdy miał dwadzieścia trzy lata, popadł w poważne tarapaty z policją i uciekł do Kanady. Tam również zadarł z prawem i zamknięto go w więzieniu w Quebec. Po roku dokonał brawurowej ucieczki, ale szybko wrócił już nie jako więzień, lecz dobrowolnie — aby uwolnić przyjaciela, z którym siedział w jednej celi. I jakby życie powieliło sceny z filmów, zrobił to skutecznie.

W roku 1966 Pulverino poślubił córkę Carla Gambina. Staruszek Gambino był wówczas już głową nie tylko pięciu Rodzin nowojorskich, lecz Capo Tutti Capi Cosa Nostra działającej na terenie USA i Meksyku. Nie lubił Pulverina, a Pulverino nie cierpiał teścia, gdyż wydawało mu się, iż ten zna jego prawdziwą naturę. Gambino kochał jednak swoją córkę i bardziej dla niej niż dla zięcia uczynił Pulverina Capo Rodziny w Richmond. Pulverino rozwinął działalność i był nieuchwytny. Później, dzięki wpły-

wom organizacji, sprawa ucieczki ucichła i nowy władca Richmond pracował już swobodnie.

Pulverino był w rzeczywistości tchórzem. Zdał sobie z tego sprawę na początku kariery. Odebrał jednak typowo sycylijskie wychowanie, które na pierwszym planie stawiało odwagę, honor i zemstę. Pulverino nie mógł więc postępować inaczej. Gdyby jawnie stchórzył, utraciłby poparcie Rodziny, respekt u znajomych i skończyłby marnie w obcym kraju. Łkając więc w duszy ze strachu, podejmował się najcięższych zadań z nadzieją na szybką, bolesną śmierć. Śmierć nie nadchodziła, a paradoksalnie wzrastał mit Pulverina. Żył w zmorze ciągłego napięcia, wśród legendy o niezwyciężonym i nieuchwytnym gangsterze i swymi uciezkami rzucał wyzwanie samemu sobie, gdyż nie wolno już było pokazać innej, prawdziwej twarzy.

W 1975 roku został zastępcą Gambina i dzierżył potężną władzę, którą umiejętnie wykorzystywał. Wyprowadził się z Richmond i osiadł z rodziną na Long Island, gdzie zbudował sobie okazałą rezydencję. Nie znosił teścia, ale był mu posłuszny. Miał dwoje dzieci: syna i córkę. Marko nie żył. Poszedł w ślady ojca i zginął z bronią w rękę podczas napadu w czerwcu 1980 roku. Córka ukończyła wyższe studia i czasami pracowała dla organizacji.

O godzinie 11.15 Joseph Pulverino dopijał poranną kawę. Myślał o dzisiejszym wielkim dniu. Znieświadony Carlo Gambino miał osiemdziesiąt cztery lata i ciężko chorował. Nadal sprawował władzę, ale wiedział, że powinien dochować wierności tradycji. Jego umysł nie funkcjonował już tak sprawnie, jak przed laty, i Cosa Nostra potrzebowała młodej krwi. Gambino musiał prędzej czy później przekazać berło Capo Tutti Capi komuś ze swojej

gwardii. Dzisiaj, 13 kwietnia,znaczony był zjazd szefów Rodzin. Joseph Pulverino wiedział, że jest jedynym poważnym kandydatem. Za dwie godziny otrzyma berło. Berło nieograniczonej potęgi.

4

New York City, 13 kwietnia, godzina 11.15

Policja nowojorska jest policją miejską, a policjanci są miejskimi urzędnikami. Przynajmniej uważają się za urzędników i obierają często ten niewdzięczny zawód, gdyż jest niezwykle dobrze płatny. Policjanci jednak twierdzą, że należy im się znacznie więcej za pracę, w której prawie codziennie ryzykują życiem. Policja nowojorska to zamknięta kasta ostro broniąca się przed utratą swoich przywilejów i przed wpuszczeniem w swe irlandzko-żydowskie grono przedstawicieli innych mniejszości.

Sierżant David Emmery był z pochodzenia Irlandczykiem. Jego kolega z wozu patrolowego, sierżant Aston Bolt, był Żydem. Obydwaj pracowali w piątym komisariacie i podlegał im rejon górnego Manhattanu: od obrzeży Harlemu do północnych krańców Central Parku. Było to jakby pogranicze dwóch różnych światów.

Patrol zaczynali zwykle od strony Harlemu, a około 13.00 jechali w dół Manhattanu krążąc po kwadratach ulic i alej, utrzymując łączność z centralą i z innymi samochodami swojego rejonu.

Emmery miał za sobą ciężką noc. Był niewyspany, ale jak zawsze czujny. Zaparkowali

przed rudera służącą za piwiarnię. Weszli do środka. Zapach skwaśniałego piwa, zaduch, niczym nie osłonięta żarówka zwisająca pod sufitem, opary papierosowego dymu. Kilka czarnych twarzy przy rozklekotanych stolikach, cichy szmerek rozmów. Za brudnym barem wysoka Murzynka z szopą włosów na głowie wbiła wzrok w nieczynne pudło szafy grającej. W odpowiedzi na powitalny gest Bolta właściciel, mały łysy człowieczek z siwymi bokobrodami, mruknął coś niezrozumiałego.

Emmery przeszedł do drugiej sali. Bilard z obdartym filcem i złamanym kijem, parę krzeseł i pijany Murzyn grający na ustnej harmonijce. Policjant cofnął się i omiół wzrokiem wewnątrz. W porządku.

— Nic tu po nas, Ast.

Ruszyli wzdłuż obskurnych domostw ulicy Sto Ósmej. Przy sklepiku, noszącym więcej niż jednoznaczny szyld „Wpadnij na masaż”, Emmery zatrzymał. Drzwi otworzyła otyła Murzynka.

— Co jest? Przyszedł pan sprawdzić nasze dziewczynki? Może ma pan ochotę? Sindy, chodź tutaj — zawołała w kierunku ciemnego zaplecza.

Sindy ukazała się w progu i przybrała oczekującą pozę.

— No, jak? A może pan? — zwróciła się do Bolta.

— Nie masz dzisiaj gości, Mary? — spytał Emmery.

— Przecież pan dobrze wie, że za wcześniej. U mnie spokojnie, sierzancie.

Wyszli, wciągając w płuca świeże powietrze ulicy. Pojechali na Sto Piątą, gdzie Emmery odwiedził spelunkę czarnych homoseksualistów, kilka barów i dwa sklepy sprzedające wydawnictwa „Tylko dla dorosłych”.

Zbliżała się 13.00. Bolt zmienił Emmery'ego za kierownicą i pojechali w południową część rewiru. Tam powinno być równie spokojnie.

White House, Waszyngton, 13 kwietnia, godzina 11.30

W 1834 roku anonimowy dziennikarz napisał: „Jest to jedyny pałac w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Prezydent sprawiedliwie posiada tak przestronny dom, gdyż reprezentuje swój naród, jego honor i interesy. I można mieć tylko nadzieję, że nic z przepychu i europejskiej parady, a w szczególności luksusu i ekstrawagancji nie znajdzie tam w przyszłości miejsca. Niechaj pałac ten zachowa swój styl z tych czasów, kiedy to powstała nasza Republika”.

- Mylił się ów anonim z 1834 roku. Dom przy Pensylwania Avenue 1600 przechodził wiele zmian i modernizacji. Każdy z gospodarzy budynku starał się bowiem pozostawić po sobie ślad, o którym dałoby się powiedzieć, że ma znaczenie historyczne. I tak w 1833 pojawiła się w łazienkach siedziby prezydenta bieżąca, źródłana woda. Było to w czasie kadencji Andrew Jacksona. Janes K. Polk zastąpił świece i lampy oliwne światłem gazowym. Prezydent Rutherford B. Hayes jako pierwszy przemówił tu przez telefon. W 1881 roku zainstalowano windę, a w dziesięć lat później Benjamin Harrison zapalił w swoich apartamentach światło elektryczne.

W Białym Domu mieszkali i pracowali wszyscy prezydenci USA z wyjątkiem George'a Washingtona, chociaż to sam Washington wybrał miejsce, na którym gmach miał zostać zbudowany. Dzisiaj Dom ogrzewa energia słoneczna, wśród otaczających go ogrodów są dwa baseny kąpielowe i kort tenisowy. Tuż za Różanym Ogrodem, założonym przez Jacqueline Kennedy, mieści się lądowisko dla prezydenckiego helikoptera Air Force One. Na dachu budynku odkąd jakiś intruz zaskoczył całą Se-

cret Service, lądując śmigłowcem tuż koło okien gabinetu prezydenta, zainstalowano przenośne działka przeciwlotnicze. Wmontowano również w ziemię kamery telewizyjne, ukryto je w krzakach lub upozorowano na latarnie, a sejsmiczne czujniki wykrywają najłżejsze stąpienie niepowołanej nogi. Alejki wysypane są drobno kruszonym żwirem i strzyżonym mirtem.

Norbert Dillon nie zdążył wnieść nic nowego ani do architektury, ani do wystroju wewnątrz Białego Domu. Sprawował urząd niecałe trzy i pół miesiąca i miał na karku sprawę państwa, swoje i Andrew Mellona. O 11.30 otworzył drzwi prowadzące z Oval Office do Cabinet Room i przywitał się ze wszystkimi zasiadającymi dookoła mahoniowego stołu, który nabył za swojej kadencji jeszcze prezydent Nixon.

Cabinet Room w zachodnim skrzydle używany był głównie do spotkań ministerialnych i zebrań Krajowej Rady Bezpieczeństwa. Jednak 13 kwietnia Dillon miał specjalnych gości. Na jego wejście powstały trzy osoby: szef Pentagonu, generał John Sheenan, naczelny dyrektor National Aeronautics and Space Administration, Brian Hatcher oraz przedstawiciel Houston, Roy White.

— Podsumujmy, panowie — zaczął Dillon, gdy usiedli. — Przeczytałem pański raport, generale. Ma pan potężny budżet, Sheenan, Kongres przełał na wasze konto 5,6 miliarda dolarów. To olbrzymia suma... Chce pan powiedzieć, że wszystko utopi się w dwóch startach? A co będzie dalej?

— Panie prezydencie, w Stanach Zjednoczonych i w pięćdziesięciu pięciu innych państwach znajdują się nasi żołnierze. Jedna trzecia naszych wojsk stacjonuje poza granicami kraju. Udzielamy pomocy wojskowej czterdziestu ośmiu administracjom,

sprzedajemy broń sześćdziesięciu siedmiu rządów, posiadamy pięćset pięć większych i trzy tysiące pięćset mniejszych baz wojennych za granicą. Nasze siły zbrojne liczą pięć milionów chłopców, nasze laboratoria i instytucje badawcze zatrudniają sześć milionów osób. Trzeba to wszystko utrzymać, trzeba tym kierować. Nasze wydatki roczne przekraczają 95 miliardów dolarów i suma ta nie wystarcza. Amerykańscy astronauta latają w kosmos od prawie trzydziestu lat. W obecnej sytuacji pieniądze są nam niezbędne. Nie chodzi tutaj o dwa najbliższe starty, gdyż nie one są najważniejsze i najdroższe. Rozbudujemy swoją własną bazę, Centrum Kontroli Lotów w Colorado Springs, a ceny rosną z roku na rok. Sam pan przecież wie jak szybko. Na „Teal Ruby” Pentagon przeznaczył 5 miliardów. Wiem, wiem, że jest dokładnie tyle warte. Co do centa.

— Projekt „Teal Ruby” to kompleks urządzeń, prawda? — spytał Dillon.

— Tak, panie prezydencie, to zespół urządzeń satelitarnych, z których pierwsze, też o nazwie „Teal Ruby”, wprowadzone zostanie na orbitę właśnie 14 lipca. Jest to najnowocześniejszy system zdolny razić głowicami nuklearnymi wszelkie wrogie nam cele.

— W roku 1983 Pentagon uzyskał akceptację projektu „Talon Gold”, jak go nazwaliście. Chodziło o testowanie broni laserowej, jeśli dobrze pamiętam. Poszły na to duże pieniądze, generale.

— Laser i „Teal Ruby”, panie prezydencie, to jak karabin maszynowy i bomba wodorowa. Nie można nawet porównywać.

— Tak... Pamiętam, w roku 1982 ktoś z Massachusetts Institute of Technology powiedział, że NASA szybko stanie się ciężarówką Pentagonu, generale Sheenan. Co pan na to, dyrektorze? Zdaje się, że ten mądrala z MIT miał rację.

Hatcher odchrząknął.

— Niezupełnie. Pentagon usamodzielniał się, panie prezydencie. Od 1984 posiada własny sprzęt, prowadzi starty z Vanderberg Air Force Base w Kalifornii, dysponuje trzema promami. NASA pomaga, o ile może. Tak jak teraz, przy najbliższym starcie.

— Houston Mission Control zrealizuje „Teal Ruby”, panie prezydencie — wtrącił White. — Zgodnie z zaleceniami szkolimy ich personel z Colorado Springs. W ramach pomocy, generale.

— W raporcie pisze pan, Sheeman, że zarządził pan przygotowania również i w Vanderberg. Po co? Strata pieniędzy.

— Panie prezydencie, chłopcy muszą ćwiczyć. I ci z teamu Startowego, i w Vanderberg. Wie pan, że mamy obecnie tylko ośmiu ludzi zdolnych prowadzić najbliższe loty. To kandydaci ściśle wyselekcjonowani i doskonale przeszkoleni. Przede wszystkim jednak godni zaufania. Nie każdemu powierza się dwie megatony, panie prezydencie. A ci, którzy polecą z Florydy, będą dysponować takim uderzeniem. Dlatego też gotowi jesteśmy odpalić i z Cape Canaveral, i z Vanderberg. I tu, i tam stoją na wyrzutniach dwa identyczne promy. Poza tym, jeśli coś nawali na Florydzie, polecą ludzie z Kalifornii. A lecieć musimy, bo jeden dzień opóźnienia przekreśli cały projekt i zmarnuje olbrzymią sumę pieniędzy. Terminy gonią!

— Brown i Nulty, tak?

— Alvin Brown i Herbert Nulty dublowani przez Thomasa Scotta i Herberta Duska. W Kalifornii ćwiczą Robinson, Crippen, Mc. Dover i James Lowe. Zadanie: przetestować „Teal Ruby”, umieścić go na orbicie stacjonarnej nad terytorium USA i przygotować do dalszych prób.

— Mówi pan, godni zaufania. Sprawdzeni?

— Sprawdzeni i znakomicie wyszkoleni. Poza tym operacja podlega ścisłej tajemnicy. O prawdziwym charakterze misji wie tylko kilka osób. Nasz ekspert, Sheila Pickard, czuwa nad pracą i bezpieczeństwem lotu. Podczas przygotowań naziemnych oczywiście. To dobra dziewczyna, daje sobie radę.

— Sheila Pickard... Tak, słyszałem. A więc 14 lipca?

— Tak, panie prezydencie, 14 lipca o godzinie 12.00 czasu wschodnioamerykańskiego, Cape Canaveral.

— Cóż, panowie, niech Bóg ma was w opiece. Wiem, generale, że wszystko ułoży się zgodnie z planem. Poparłem „Teal Ruby” (pomyślał o pieniądzach, które zarobił Mellon) i wiem, że Stany Zjednoczone będą z was dumne, panowie. Gdyby zaszło coś nieprzewidzianego, proszę kontaktować się bezpośrednio ze mną.

Dillon zerknął na zegarek i wstał.

— Dziękuję panom za przybycie. Powodzenia.

6

New York City, 13 kwietnia, godzina 12.00

Pora spotkania została ustalona między 12.00 a 12.15. Miejscem był Hamilton Club przy Mulbery Street 247 na Manhattanie, ulubiony klub Carla Gambina. Nad bezpieczeństwem wewnątrz i na zewnątrz czuwała mała armia starannie dobranych ludzi, reprezentująca poszczególnych bosów.

O godzinie 12.00 sala konferencyjna na pierwszym piętrze zaczęła się wypalniać. Oprócz sześciu Rodzin z Nowego Jorku mieli być obecni szefowie

dwudziestu Rodzin z USA i czterech Rodzin z Meksyku. Capo Tutti Capi Gambino przybył znacznie wcześniej. Odpoczywał w gabinecie na trzecim piętrze w towarzystwie swego consigliere. Przed drzwiami tkwiło dwóch goryli. Gambino nie zamierzał spotkać się dzisiaj ze wszystkimi podwładnymi. Miał przekazać władzę jednemu z nich i tylko z nim odbyć rozmowę. Leżał w fotelu popijając słabą herbatę.

Joseph Pulverino przyjechał punktualnie o 12.00. Towarzyszył mu Alberto Puerti. Szofer został przy samochodzie. Pulverino zatrzymał się przy małym barku i w skupieniu przyglądał się wchodzącym. Wymieniali ceremonialne ukłony. Przybyli: Michael Grazziani, Franco Talluchi, Franco Capucini, Albert Stracco, Joseph Menulli, Anthony Accardo, Mario Terlacco i wielu innych reprezentujących całe Stany i Meksyk. Obecny był wreszcie don Frank Ferriano z Las Vegas — stary mafioso, któremu zebrani oddali niski pokłon. Przed kilkunastu laty konkurencyjny gang George'a Boltera zabił mu dwóch synów. Dzisiaj gang już nie istnieje. Zanim kondukt żałobny Ferriano dojechał na cmentarz, policja Las Vegas znalazła pięć trupów. Strzelcy don'a dosięgli Boltera, gdy wychodził ze swojej restauracji. Trzy kule zwały go z nóg. Dla pewności poderżnięto mu gardło. Jego czterech zastępców znaleziono w kanale melioracyjnym. Byli nadzy i pozbawieni oczu. Ferriano pomścił synów i dzisiaj miał w kieszeni cały przemysł rozrywkowy Nevady.

O godzinie 12.15 sala była pełna. Przyjechali wszyscy. Trzydziestu sześciu mężczyzn, z których każdy miał niejedno na sumieniu. Przybyli do Hamilton Club, by dochować wierności Carlowi Gambinowi, poznać nowego Capo Tutti Capi i złożyć mu należny hołd.

Wszyscy byli zawodowcami. Mafia nie potrzebowała amatorów, nie mogła funkcjonować od przypadku do przypadku, licząc na udany splot okoliczności czy na odrobinę szczęścia. Cosa Nostra była olbrzymią organizacją na wskroś nowoczesną, chociaż pozostała wierna tradycji sprzed lat i zachowała swe historyczne struktury. Nie zajmowała się już drobnymi napadami, nie okradała przechodniów ani samochodów, nie ograbiła mieszkań, nie szmuglowała wódki, jak to miało miejsce dawniej. Współczesny syndykat posiadał wpływy w rządzie, w polityce, a przede wszystkim w przemyśle USA. Roczny dochód owych trzydziestu sześciu mężczyzn i ich Rodzin przekraczał 45 miliardów dolarów i jeżeli za miarę przyjąć zyski, to Cosa Nostra i jej filie reprezentowały wielkość rzędu US. Steel, American Telgraph and Telephone Co, General Motors, Standard Oil of New Jersey, General Electric, Ford Motor Co., IBM, Chrystler i RCA razem wziętych. Część miliardowych wpływów przeznaczono na opłacenie armii sześciu tysięcy ludzi, która strzegła adwokatów, buchalterów i polityków, mogących niejedno ułatwić, policję, która przymykała oko, gdy było trzeba, urzędników wszystkich branż służących informacją i oddaniem za pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Świat syndykatu był światem izolowanym od nakazów prawa, był kręgiem, u którego podstaw legły pieniądze i strach.

O 12.16 do sali wszedł consigliere Carla Gambina.

— W imieniu dona pragnę panów powitać i podziękować za przybycie. Zgodnie ze zwyczajem don Carlo nie zejdzie na dół. Przekazał mi zapieczętowaną kopertę. Otworzę ją w obecności panów. Znajduje się w niej nazwisko następcy. Don Gambino prosi tego, kto nim zostanie do swojego gabinetu.

Przekaze mu dokumenty organizacji i pragnęby odbyć też przyjacielską pogawędkę. Pozwola panowie, że odczytam im teraz owo nazwisko.

Zebrani wbili oczy w kopertę, którą rozrywał consigliere.

— Capo Tutti Capi don Carlo Gambino wybrał Josepha Pulverina.

Przez salę przebiegł cichy szmer.

Joseph Pulverino oderwał się od kontuaru i lekko utykając ruszył za consigliere Gambina. Nikt mu jeszcze nie składał gratulacji, nie odezwali się do niego ani słowem. Tak nakazywała tradycja. Dopiero gdy dostanie do ręki klucz z inicjałami C.T.C. i błogosławieństwo obecnie panującego, zostanie prawowitym Capo, organizatorem i sterem syndykatu.

Carlo Gambino nie wstał na wejście Pulverina. Wskazał mu fotel obok i gestem ręki odprawił swojego consigliere.

— Wiesz dobrze, Joseph, że cię nie lubię. Jesteś butny i zarozumiały, a w głębi duszy tkwi w tobie tchórz. Ale o tym wiem tylko ja. U tych na dole będziesz miał posłuch. Oni jeszcze wierzą w twoje dawne ucieczki... Jesteś też dobrym organizatorem — przerwał i przełknął łyk herbaty. — Dlatego zdecydowałem się na ciebie. Przeżyłem już dużo lat i życie mi zbrzydło. Pragnę, byś poprowadził organizację dalej. Właśnie ty. Ale uważaj na nich, nie pozwalaj na zbyt wiele. Będą cię słuchali... — zamyślił się.

Pulverino sięgnął po papierosa.

— Nie pal tutaj, wiesz, że dym mi szkodzi. Uważaj na Accardo. Anthony jest wesółkiem, ale na przekór potrafi stawić czoła wszystkim. Zawsze możesz liczyć na Cappuciniego. Znałem jego rodziców. Dobrze go wychowali, po sycylijsku. Będzie ci wierny, będzie cię popierał. Co do innych... Znasz ich prze-

cież. Pomóż mi — wyciągnął rękę.

Pulverino wstał i pomógł Gambinowi podnieść się. Stary podszedł do biurka i otworzył środkową szufladę.

— Przygotowałem ci krótki spis, który przy mnie przeczytasz, zapamiętasz i spalisz. Czytaj dokładnie. Nikt, oprócz ciebie i mnie, nie zna tych dokumentów. Znajdziesz tam numer sejfu i szyfry. Wbij je sobie do głowy.

Pulverino usiadł i przebiegł wzrokiem kartkę papieru. Zamknął oczy i powtórzył w myśli adresy i cyfry. Później spalił wszystko nad popielniczką.

Gambino odkasznął.

— Dobrze. Znasz naszą starą regułę omerta, której wierność przysięgałeś?

Pulverino przytaknął.

— Czy nadal pozostaniesz jej wierny?

— Tak, don Carlo.

— Czy chcesz dobrowolnie objąć ster organizacji?

— Tak, don Carlo.

Gambino odpiął górny guzik koszuli i poluźnił krawat. Z szyi zdjął płaski, metalowy kluczyk na rzemyku i podał go zięciowi.

— Jesteś teraz Capo Tutti Capi, don Josephie. Muszą cię słuchać. Ten kluczyk otworzy ci ostatnie tajemnice. Gdzie ich szukać, już wiesz. Wyczytałeś z kartki, którą ci dałem. Umiejętnie wykorzystuj władzę, a będziesz szanowany. Ucałuję cię, don Josephie. To nie pocałunek śmierci, nie obawiaj się. Przeżyjesz, jeśli nie stchórzysz. Dbaj o firmy, które prowadzimy, nie wypuść ich z rąk i nie bój się wpływów Mellona. Nie ustępuj mu, zniszcz go. Posiada zbyt wiele i z czasem podzieli się z nami. Dbaj o ludzi. Ich nazwiska znajdziesz w sejfie i zdziwisz się, że sięgamy aż tak wysoko. Nie bądź impulsywny, najpierw pomyśl, a potem działaj. Niech Bóg czuwa

nad tobą. Zostaw mnie teraz samego, don Josephie.

Don Tutti Capi Joseph Pulverino wolno schodził na dół. Na szyi niósł ciepły jeszcze ciepłym Gambina kluczyk z inicjałami C.T.C. Był panem i władcą amerykańskiej Cosa Nostry.

W sali konferencyjnej odebrał gratulacje. Z każdym rozmawiał chwilę i zapewniał o przyjaźni.

Donowie zaczęli opuszczać klub. Sala z wolna pustoszała. Don Pulverino miał odejść ostatni. Tak nakazywał obyczaj.

7

New York City, 13 kwietnia, godzina 13.00

David Emmery i Aston Bolt zapędzili się aż na Park Avenue, poniżej ulicy Dziewiędziesiątej. Zjechali z rewiru prawie do centrum Manhattanu. Wezwano ich z okolic Sto Ósmej i pojechali na pomoc kolegom blokującym rejon Pięćdziesiątej Trzeciej i Czwartej. Jakiś szalencie groził tam, że wysadzi się w powietrze razem z wieżowcem, jeśli prezydent Dillon nie zaprzestanie kampanii zbrojeniowej. Myślano początkowo o ewakuacji sąsiednich budynków, ale tamten zmienił zamiar i oddał się w ręce lekarzy. Wracali teraz do siebie, na pogranicze.

Na Park Avenue, która mogła zaprowadzić ich bezpośrednio na miejsce, panował typowy o tej porze tłok. Utkwili przed światłami i stali tak od dziesięciu minut.

— Do cholery z tym wszystkim, Ast. Włącz syrenę i skręć w prawo — powiedział Emmery, wyrzucając przez okno niedopalek. — Ominiemy korek.

Z wyciem i migającym światłem „koguta” na dachu wjechali w ulicę Osiemdziesiątą Szóstą. Ruch

tutaj znacznie zelżał. Ruszyli na zachód przez Mulbery Street, równoległą do Park Avenue, kierując się ku Dziewięćdziesiątej.

Radiowóz toczył się wolno, a Emmery z nawyku obserwował chodnik i domy, chociaż nie był to ich rejon. Wciąż znajdował się jeszcze w dzielnicy dobrobytu i luksusu.

— Zerkniemy pod 247? — spytał Bolt. — Kiedyś widziałem tam Gambina.

— W Hamilton Club? Coś ty tam robił?

— Nie w klubie, ale przed klubem. Kto by mnie wpuścił do środka!

— Popatrz tam, Aston! Popatrz! — wykrzyknął nagle Emmery.

Przed Mulbery 247 stał sznur samochodów: Nie były to seryjne fordys czy volkswageny, lecz potężnych rozmiarów cadillaki, lincolny i mercedesy. Zatrzymali radiowóz trochę z tyłu, po przeciwnej stronie. Doliczyli się trzydziestu sztuk. Z Hamilton Club wychodzili co chwila elegancko ubrami panowie w otoczeniu wysokich, barczystych mężczyzn. Ci ostatni rozglądali się najpierw bacznie w okolicy, potem otwierali drzwi jakiejś limuzyny i weseli, dostojnie wyglądający dżentelmeni zajmowali miejsca. Cichy szmerek silnika i wkrótce po samochodzie nie było ani śladu.

— A-25, A-25 do D-4 — wywoływał Emmery. — Odbiór.

— D-4 zgłaszam się. Co się dzieje, A-25?

— Jestem na Mulbery przed 247. Mamy tutaj dużo gości. Obce rejestracje. Wygląda na to, że odbywają zjazd czy coś w tym stylu.

— Przełączam was na „Szóstkę”. Meldujcie bezpośrednio do nich. To nie nasza sprawa. Over and out.

— Porucznik Brown, FBI. Co tam macie?

— Sierżant Emmery przed Hamilton Club, Mulbery 247. Pełno tu obcych wozów. I to jakich! Goście wychodzą. Myślałem, że was to zainteresuje.

— Teraz?! — Brown aż zawył w głośniku.
— Cholera! Dlaczego mi nie powiedziałeś, idioto? Po co ich zabrałeś?!

— Nie rozumiem, panie poruczniku...

— Nie do ciebie, Emmery. Zgarnęli posterunek, wszystkich ludzi. Wiedziałem, że Gambino coś knuje i tamci mieli go na oku. A on mu tutaj... — W głośniku trzasnęło i zaległa cisza.

Emmery i Bolt popatrzyli na siebie nic nie rozumiejącym wzrokiem. Brown odezwał się po chwili.

— Dobrze, Emmery. Kto jest z tobą?

— Sierżant Bolt.

— Nie ruszajcie się z miejsca. Rozmawiałem z waszą centralą, z D-4. Macie tam tkwić do odwołania. Spróbuję dać wam posiłki. Posłuchaj, Emmery, oni wybierali nowego szefa, nowego Capo, rozumiesz? To ten, który wyjdzie z klubu ostatni, kapujesz? Prawdopodobnie Pulverino i łatwo go rozpoznacie. Utyka lekko na prawą nogę. Dość wysoki, dobrze zbudowany. Sprawdź, czy przyjechał swoim samochodem: NYC — 435 lub NYC — 824. Czarny mercedes. Jest?

Emmery odruchowo skinął głową.

— Jest, poruczniku.

— Dobrze. Pojedziesz za nim, gdyby nikt nie dotarł do was na pomoc. Zobaczycie, gdzie się wybiera. Nie dajcie im się zgubić i bądźcie dyskretni. Żadnych syren i rozrób. Jasne?

— Tak jest, panie poruczniku. Przyczepimy się do nich. Damy radę.

— Talko bez szaleństw, chłopcy.

— Panie poruczniku, ale... To nie nasz rejon. Czy ktoś...

— Przecież mówię wam, do ciężkiej cholery, że macie tam siedzieć do oporu! Rozmawiałem z waszym szefem! Co z waszym słuchem? Siedzieć i nie ruszać się. Wykonać!

Emmery spojrział na Bolta.

— Coś mi się zdaje, Aston, że dyżur nie skończy się tak pięknie, jak myśleliśmy.

Bolt obserwował wyjście Hamilton Club.

8

New York City, 13 kwietnia, godzina 13.10

William Lawrence Ross nie miał szans, by dokonać kradzieży na pięć tysięcy dolarów. Nie znał się na technice włamań, a na wynajęcie ludzi nie posiadał pieniędzy. Pozostało mu tylk jedno — rabunek z bronią w ręku.

Chodził po Charrington Street i zerkał na numer 53B po drugiej stronie. Był tu już wczoraj, przedwczoraj i trzy dni temu. Pod 53B mieścił się mały sklepik z artykułami tytoniowymi. Jak na te okolice właściciel zdawał się nie dbać choćby o pozory bezpieczeństwa. W oknach brakowało krat, drzwi zamykała pojedyncza kłódka i zamek. Klientów miał niewielu. Bo kto dzisiaj kupuje papierosy w sklepie, gdy na każdym rogu znajduje się automat. W pomieszczeniu stała jednak stara ogniotrwała szafa. Ponieważ właściciel mieszkał nad sklepem, na piętterku, można było liczyć się z ewentualnością, że wszystkie pieniądze przechowuje właśnie tam, w szafie.

Ross nigdy nie rabował. W dodatku z nabitą bronią. Nie z jakimś prymitywnym straszakiem za kilka dolarów, ale z prawdziwym amerykańskim, sześć-

ciostrzałowym coltem kalibru 9 milimetrów. W kieszeni płaszczka raz po raz dotykał rewolweru, zostawiając na nim ślady spoconych palców.

Colt był pamiątką z Wietnamu. Kupił go kiedyś od szefa swojej kompanii za dziesięć paczek papierosów i kiedy zdemobilizowany wrócił do Stanów, rzucił broń na dno walizki i zapomniał o jej istnieniu. Dopiero tydzień temu, gdy zbliżał się termin zwrotu długu i zaświtał pomysł napadu, Ross odnalazł ją wśród gratów w mieszkaniu. Godzinami czyścił lufę, sześć komór, sprawdzał i regulował napięcie spustu, którego jęczyczek nadpiłował, by reagował czulej i szybciej na dotknięcie palca. Nasmarował wnętrze, zorganizował dwanaście sztuk amunicji i sześć z nich załadował w okrągłe tuleje magazynka. Broń była sprawna.

Ross bał się. Bał się też w Wietnamie, jak bali się wszyscy, z wyjątkiem kilku patologicznych sadystów. Bał się dżungli, nocy, bagna, much, które składały swe jaja pod skórę człowieka, powodując potworne wrzody, alkoholu tłumiącego świadomość, narkotyków zażywanych nagminnie przez żołnierzy. Bał się samego siebie. Widział reakcję kolegów, gdy wdzielali się do wiosek. Wtedy mordowali, palili i grabili, zabijając przerażenie i dając upust nerwom. Gdy byli w gromadzie, tworzyli nieustraszoną, odważną armię. Gdy znikali pojedynczo lub małymi grupami w otchłani puszczy, owiewał ich chłód śmierci — byli intruzami w obcym kraju, nie znali terenu, za drzewami czaił się strach.

Strach paraliżował teraz jego nogi i Ross coraz częściej zatrzymywał się opierając o ściany. W ustach mełł niedopałek papierosa. Obie ręce zwilgotniały i wyjmował je co chwila z kieszeni wkładając z powrotem, gdyż obciążony coltem płaszcz spadał mu z ramion.

Przeszedł przez ulicę i potknął się o nierówność krawężnika. O mały włos leżałby jak długi w rynsztoku z kulą we własnym ciele — broń była odbezpieczona, jej kurek odwiedziony w tył. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Zatrzymał się obok wejścia do sklepu i stanął tyłem do drzwi. Kątem oka badał przeciwległy chodnik: jakiś Murzyn, starsza kobieta z wózkiem, kaleka bez nogi grzebiący w koszu na śmieci. Nie było nikogo groźnego. Z lewej strony nadchodziła grupka rozgadanych dziewcząt. Któraś z nich potrąciła Rossa w ramię i krzyknęła: „Przepraszam”. Ross nawet nie odwrócił głowy. Gdy tamte zniknęły w sąsiedniej bramie, wymamrotał pod nosem: „Nie szkodzi”.

Na jezdni panował mały ruch. Pomyślał, że powinien się wyrobić. Zgarnie pieniądze, postraszy starego właściciela, wyjdzie i zniknie w przechodnich podwórkach, kierując się na północ Manhattanu. Tam nikt go nie znajdzie. A jeśli będzie musiał strzelić...?

Ulica naraz opustoszała. Nikt nie nadchodził. Przyjechała tylko taksówka i skręciła w najbliższą przecznicę. Ross spojrzął za siebie. Za szybą sklepu tkwiła pochylona nad gazetą głowa sprzedawcy. Zdecydował się. W kieszeni uchwycił mocniej rączkę colta i zrobił krok w kierunku drewnianych drzwi.

W tym samym momencie z bramy wypadły trzy dziewczyny i wesoło śmiejąc się i poszturchując biegly w stronę Rossa. Poznał je — to te, które minęły go chwilę przedtem. Ross obrócił się na pięcie i wolno odszedł kilkanaście kroków dalej. A więc jaszcz nie teraz...

New York City, 13 kwietnia, godzina 13.10

Alberto Puerti czujnie obserwował swojego pana. Don Joseph Pulverino żegnał ostatnich Capo wymieniając z nimi ceremonialne pocałunki.

Puerti stał nieco z tyłu. Dzisiaj, przed wyjazdem, szef wydał mu polecenie, aby przygotował broń. Alberto wiedział, że pojedą na niezwykłą uroczystość i wiedział też, że na tego rodzaju spotkaniach bywa się bez broni. Ale don rozkazał, by Puerti kręcił się stale w zasięgu jego wzroku, a w czarnej dyplomatce na dokumenty, którą zwykle dla niego nosił, ukrył pistolet maszynowy ze spiłowaną lufą oraz zwykły rewolwer. Albero spełnił życzenie szefa.

Pulverino pożegnał się z ostatnim Capo. Był nim Frank Ferriano. Obu łączyła żaloba po śmierci synów. Poważnie wymienili uścisk ręki, po czym Ferriano ucałował nowego Capo Tutti Capi. Pulverino otworzył mu drzwi i wkrótce zostali sami.

— Przygotowałeś, Alberto? — zaczął, gdy ucichły kroki odchodzącego Ferriano.

— Tak, don Josephie.

— Chodź tutaj i pokaż — Pulverino nalał sobie kieliszek whisky i wychylił do dna.

Alberto położył walizeczkę na mahoniowym blacie i otworzył zatrask.

— Ile naboń mieści się w tym magazynku, mój chłopcze? — spytał don, wskazując uzi.

— Trzydzieści dwa, don Josephie.

Pulverino pokiwał głową.

— A w rewolwerze, Alberto?

— Sześć, don Josephie.

— Czy masz jakąś zapasową broń, chłopcze? Tę będziemy musieli zostawić tutaj.

— Tak, don Josephie, nigdy się z nią nie rozstaję.

— Usiądź, Albercie, chcę ci coś powiedzieć.

Tam — wskazał palcem sufit — siedzi stary, zmęczony człowiek, który do niedawna był panem i władcą, i którego ja nienawidzę, chłopcze. Nienawidzę... Postanowiłem, już dawno temu, że pozbędę się go, jak pozbywa się zwykłego szczura. A jak pozbyć się szczura, Alberto?

— Trzeba szczura zabić, don Josephie.

— Jakże trafnie to ująłeś, trzeba szczura zabić... Tak, trzeba zabić... I zabijemy, Alberto. On teraz już nic nie znaczy, jest wypalony, pusty jak łupina orzecha, którą się wyrzuca na śmietnik. Alberto, zaopiekujesz się tymi przed drzwiami gabinetu. Jest ich dwóch, więc weźmiesz to — powiedział podając mu uzi. — Nałóż przedtem rękawiczki i wytrzyj ślady z kolby. Posłuchaj, mój chłopcze, ja wejść do gabinetu, a ty przyczaisz się na półpiętrze. Gdy usłyszysz strzały, zlikwidujesz ich. Czy zrozumiałeś?

— Tak, don Josephie.

— Więc chodźmy — zakończył Pulverino, chowając rewolwer do kieszeni marynarki.

Carlo Gambino siedział za biurkiem, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Rzucił ciche „proszę” i w progu pojawił się Roberto.

— Don Joseph do pana. Czy mam prosić?

Carlo Gambino skinął głową.

Joseph Pulverino wszedł do gabinetu i zrobił dwa kroki w lewo, usuwając się poza prostokąt drzwi.

— Chciałeś czegoś, don Josephie? — spytał Gambino.

W tym samym momencie Pulverino wyciągnął broń.

Carlo Gambino miał wciąż jeszcze dobry wzrok. Ujrzał skierowaną weń lufę rewolweru i w ostatnim przebłysku świadomości wydawało mu się, że zdołał nawet zobaczyć w jej głębokiej czerni opalizujący czubek pocisku.

Pulverino pociągnął za spust. Gabinet przytłumił nieco echo wystrzału, ale Alberto Puerti, stojący o kilkanaście metrów dalej, usłyszał go doskonale. Wyskoczył na schody i z odległości sześciu metrów wypruł cały magazynek w zaskoczonych strażników Gambina. Roberto otrzymał dwanaście kul i zmarł natychmiast, gdyż pierwsza z nich utkwiała w lewej komorze jego serca. Drugi goryl, Pablo, dostał całą resztę i konał w drgawkach z czterema pociskami w kręgosłupie.

Morderca pochylił się nad ciałem Carla Gambina. Stary Capo nie żył. Pulverino wytarł starannie rewolwer i rzucił go na dywan. Otworzył drzwi gabinetu i wyszedł do Alberta, omijając trupy Pabla i Roberta.

— Zostaw broń, mój chłopcze, i chodź za mną.

Zeszli na dół, przecięli opustoszałą salę konferencyjną i stanęli przed klubem. Czarny mercedes z rejestracją NYC-435 czekał przy krawężniku. Alberto otworzył drzwi. Pulverino usiadł z tyłu sam, a Puerti obok kierowcy.

— Jedziemy do domu, John. Omiń centrum. Pojedziemy przez Charrington Street. Tam ruch jest nieco mniejszy.

Kilkadziesiąt metrów dalej Aston Bolt uruchomił silnik radiowozu. David Emmery nadał do porucznika Browna meldunek, że ruszają za samochodem Josepha Pulverina.

10

New York City, 13 kwietnia, godzina 13.15

William Lawrence Ross stał kilkanaście metrów od drzwi sklepu przy Charrington Street 53B. Do-

szedł do wniosku, że o tej porze dnia nie było szans na zupełnie opustoszały chodnik i jezdnię. Zawsze znalazł się ktoś, kto przechodził czy to też obok niego, czy po drugiej stronie. Jeździły też samochody. Rzadko, ale jeździły. Zauważył jednak, że w przeciągu owych trzech czy czterech godzin, jakie spędził w okolicy sklepu, właściciel miał zaledwie dwóch klientów. Około 12.00 wszedł tam jakiś młody chłopak i nabył karton „Golden Star”, a pół godziny później kobieta z dzieckiem kupiła duże opakowanie gumy do żucia. Ross pomyślał, że nawet jeżeli liczba kupujących zwiększy się nagle i właściciel co kwadrans będzie musiał odrywać głowę od gazety, to i tak owe piętnaście minut stanowiło dostateczne zabezpieczenie na dokonanie skoku. W ostateczności sterroryzuje ewentualnego klienta i ogłuszy go podobnie jak sklepikarza.

Zdecydował się. Gdy jakiś zabłąkany staruszek minął numer 53B i podążył dalej swoją drogą, Ross podniósł kołnierz płaszcza, nacisnął lewą ręką klamkę i wszedł do środka.

Harry Hines urodził się i wychował w Nowym Jorku. Miał siedemdziesiąt lat i bogate życie za sobą. Uczestniczył w II wojnie światowej, ale nigdy nie grzeszył odwagą. Nie był też jednak zupełnym tchórzem. Od sześciu lat prowadził swój sklepik, bo nie wymagało to większego wysiłku. Harry Hines żył głównie z renty przyznanej mu przez Ministerstwo Obrony. Był kaleką — podczas ataku Japończyków na Pearl Harbour stracił nogę i posługiwał się protezą.

Harry Hines widział w przeszłości niejedno i znał się na broni. Jego ojciec kolekcjonował niegdyś amerykańskie rewolwery i Harry bez trudu rozpoznał model policyjnego colta z 1934 roku. Dziewięćmilimetrowy colt był narzędziem straszliwym.

Prawie na centymetr długi, tępy pocisk charakteryzował się potworną siłą uderzenia. Harry został kiedyś ranny. Otrzymał postrzał w lewą rękę i w pierwszym momencie nie poczuł bólu. Dopiero nieco później zauważył krew i dwa niewielkie otwory — wlotowy i wylotowy. Lekarz powiedział mu wtedy, że to zwykła sześciomilimetrówka i zapewniał, że po tygodniu nie będzie znaku. Rana była czysta i wąska, bo karabinowe sześciomilimetrówki mają spiczaste zakończenia. Pocieszał go, że gorzej by było z kulą rewolwerową, bo wówczas Harry straciłby rękę.

Taki właśnie sześciostrzałowy colt tkwił teraz na wysokości głowy Harry'ego Hinesa. „Tkwił” jest złym określeniem. Lufa colta '34 kołysała się bowiem na boki w drżącej ręce mężczyzny w płaszczu.

Harry spróbował opanować chaotyczne odruchy przerażenia. Patrzył na napastnika i usiłował wyczytać coś z jego twarzy. W średnim wieku, zaniedbany, ot, przeciętny typ. Jednego tylko Harry Hines był pewien — mężczyzna bał się. Czoło pokrywały mu kropelki potu, usta wykrzywił bolesny grymas strachu.

Hines przypomniał sobie, ile pieniędzy znajduje się w szafie. Wczoraj miał wpłacić 10.000 dolarów, które otrzymał za złote dwudziestki. Spóźnił się do banku o minutę. Pech. 10.000 dolarów plus jakieś drobne z tygodniowego utargu. W mieszkaniu na górze nie było nikogo.

Kalkulował, jakie ma szanse. Tacy jak ten są nieobliczalni i potrafią pociągnąć za spust, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robią. Kusił go jego własny pistolet ukryty w szufladzie pod ladą. Postanowił poczekać na rozwój wypadków.

— Otwórz szafę i zapakój w coś pieniądze — napastnik mówił głosem cichym i ochryplym.

— Młody człowieku, czy wiesz, co robisz?

Ross obliznął językiem spieczone wargi.

— Otwieraj tę szafę i zrób to szybko!

Lufa zadrgała niebezpiecznie i Hines wolno wstał z krzesła. Opierając się ciężko o ladę ruszył w kierunku wyjścia. Mocno kulał.

— Nie wstyd ci rabować starego kalekę? — spytał podchodząc do drzwi sejfu. — Przecież ty się boisz, człowieku...

Hines popełnił błąd. Nie powinien był wypowiadać ostatniego zdania. Podziało ono na Rossa jak płachta na byka.

— Ty skurwysynu — wycodził. — Jeżeli za sekundę nie otworzysz szafy, nie będziesz miał nawet czasu, by się pomodlić...

Hines wyjął z kieszeni klucz i wetknął go w otwór zamka. Pociągnął rączkę i odsunął się na bok.

— Właż za ladę i usiądź, gdzie siedziałeś — rzucił Ross rozglądając się za jakąś torbą.

Znalazł na stoliku starą, dermową teczkę i zbliżył się do sejfu. Nie liczył pieniędzy. Wiedział, że jest ich bardzo dużo. Upychał paczki pięćdziesięciodolarówek, zerkając od czasu do czasu na właściciela.

Hines obserwował mężczyznę spod przymkniętych powiek. Tamten działał szybko, ale po amatorsku. Hinesa wciąż nie opuszczało przekonanie, że napastnik się boi. Ale przecież chyba każdy się boi w takich sytuacjach — myślał. Wygrywa natomiast ten, kto się boi mniej. Wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Ross uporał się z pieniędzmi i kolbą rewolweru zatrzasnął szafę. Cofał się do drzwi patrząc to na Hinesa, to na szybę sklepu.

— Zapomniałeś o utargu. Jeżeli bierzesz, bierz wszystko. Sklep jest dobrze ubezpieczony i oddadzą mi co do centa. Nawet więcej.

Ross zatrzymał się przyciskając teczkę do piersi.

— Gdzie? — spytał.

— Tutaj, pod ladą.

Ross chciał podejść, ale jakiś instynkt ostrzegł go przed niebezpieczeństwem.

— Otwieraj, tylko wolno. Bez żadnych sztuczek.

Hines odsunął od kontuaru krzesło i wstał. Drżącą ręką dotknął uchwyty szuflady i począł ją wysuwać.

— Stój! — krzyknął Ross i zrobił krok do przodu.

Hines błyskawicznym ruchem dobył broni. Sam podziwiał siebie za szybkość. Nie docenił jednak przewagi Rossa. W momencie gdy dłoń Hinesa ginęła w głębi szuflady, Ross miał go na muszce i kiedy uzbrojona ręka starego pojawiła się na zewnątrz, pociągnął za spust.

Ostatnie sekundy życia właściciela sklepiu przy Charrington 53B nie były ciekawe. Hines dostrzegł tylko krótki, czerwonozłoty błysk i poczuł uderzenie w piersi. Uderzenie o monstrualnej sile, które rzuciło go jak szmacianą lalkę o ścianę za ladą. Upadł na podłogę i zanim ciemność przesłoniła mu oczy, zdążył jeszcze zauważyć, jak z bruzdy pękniętej deski przypatruje mu się, zdawałoby się zdziwiony, duży czarny karaluch. Potem Hines nie widział już nic.

Ross patrzył z przerażeniem na osuwające się po ścianie ciało właściciela. Na swetrze starego pojawiła się nagle czerwona, szybko rozlewająca się plama, a jego plecy pozostawiały krwawy ślad na zielonej farbie tynku. W pierwszym odruchu Ross podbiegł do lady i zajrzał za nią. Hines leżał na brzuchu. W jego plecach ziała okropna rana wielkości głowy dziecka.

Powstrzymał ogarniające go nudności, potoczył ogłupiałym wzrokiem po kontuarze, a potem wy-

biegł ze sklepu tak jak stał: w rozpiętym prochowcu, z teczką pod pachą i z ciepłym jeszcze rewolwerm w rękę.

11

New York City, 13 kwietnia, godzina 13.20

John prowadził mercedesa wolno i spokojnie, ponieważ don Joseph Pulverino nie lubił niepotrzebnego pośpiechu. Ominął zatłoczone centrum i skręcił w Charrington Street, chcąc dotrzeć do wylotu Park Avenue. Uliczka zdawała się być cicha i wolna od ruchu. Na chodniku bawiły się dzieci, spieszyli gdzieś ludzie.

— Tam się chyba coś dzieje, don Josephie — powiedział nagle Alberto Puerti wskazując przed siebie.

Pulverino pochylił się do przodu. Z niewielkiego sklepiku wypadł na jezdnię mężczyzna w płaszczu z ogromnym rewolwerm w rękę. Otyła kobieta, wracająca do domu z wyładowaną siatką, krzyknęła przeraźliwie i porzucając zakupy uciekła w najbliższą bramę. Jakiś młody chłopak, ściskając na rogu swoją dziewczynę, oderwał się od niej i począł iść z wolna w stronę sklepiku. Jedyne dzieci zachowywały stoicki spokój, chociaż na ich twarzach malowała się niepewność.

Człowiek w prochowcu zatrzymał się na skraju chodnika. Krzyk kobiety przestraszył go tak bardzo, że odruchowo zasłonił się ramieniem. Dostrzegł też owego chłopaka, który wciąż przyśpieszając kroku szedł najwyraźniej ku niemu. Coraz więcej ludzi przystawało rozglądając się nerwowo po ulicy, trzaskały otwierane okna, rozległ się krzyk

jakieś zaniepokojonej matki. W oddali pojawił się policjant.

Pulverino zamknął oczy. Rok 1980, czerwiec. Jechał wtedy do Richarda Dreyfusa po pieniądze. Prowadził sam, chociaż miał do dyspozycji Johna. Na rogu Broadwayu i ulicy Pięćdziesiątej Trzeciej zauważył niezwykle ruch. Przechodnie pierzchali na boki wrzeszcząc jak opętani, na jezdni powstał gigantyczny korek. Zatrzymał samochód.

Chodnikiem biegł jego własny syn z pistoletem w ręku. Towarzyszył mu wysoki brunet o wystraszonej twarzy. O kilkanaście kroków za nimi parł do przodu mundurowy policjant, wykrzykując coś niezrozumiałego i wymachując białą pałką. Marco i brunet dopadli narożnego domu i uciekali na północ. Mieli szansę. Nieco dalej Pięćdziesiąta Trzecia wpadała w olbrzymi, pokryty ruiną po wyburzonym budynku plac, gdzie mogli zniknąć na dobre. Ale policjant widać znał teren. Rozpychając na boki przechodniów przedzierał się za zbiegami, aż dotarł do rogu. Uciekający znajdowali się o parę metrów od zbawczego rozwaliska. Policjant zatrzymał się wówczas, rzucił na chodnik pałkę i rozpiął kaburę.

Gdy Marco sięgnął ręką martwego otworu okna, chcąc wskoczyć do środka, dosięgła go pierwsza kula. Dostał w nogę i upadł na gruz. Brunet wskoczył na parapet i odwrócił się na ułamek sekundy za siebie. Spojrzał na leżącego kolegę i wtedy policjant trafił go w głowę. Marco ostatkiem sił zebrał się w sobie próbując wstać. Policjant wystrzelił po raz trzeci. Marco już się nie podniósł.

Był dobrym chłopcem, a Pulverino wychowywał go surowo. Nie rozpieszczał syna, jak to czynili inni dając dzieciom absolutnie wszystko. Posłał go do Harvardu i wyznaczył niewielką pensję, bo chciał wychować go na sposób amerykański.

W Harvardzie Marco poznał młodych ludzi, którzy wciągnęli go w narkotyki. Ponieważ mimo próśb ojciec odmawiał podwyższenia kieszonkowego, chłopak zdecydował się na skok. Zdobył gdzieś zdezelowaną broń bez amunicji i razem z kolegą dokonali napadu. Nie zdążyli niczego zrabować. Uciekli, gdy do sklepu wszedł przypadkowy klient.

Don Joseph Pulverino ocknął się i popatrzył przez szybę. Tamten mężczyzna, choć dużo starszy, przypominał mu trochę syna. Był tego samego wzrostu i miał podobną sylwetkę.

— Podjedź do niego i zatrzymaj, John — powiedział nagle, nie poznając własnego głosu.

— Ale don Josephie, to ryzykowne! Po co...

— Rób, co powiedziałem — syknął.

Mercedes zwolnił i zaparkował przy krawężniku. Don Pulverino szybko otworzył drzwi.

— Właź do środka! — krzyknął w stronę Rossa.

Ross nie zrozumiał i gapił się nieprzytomnie przed siebie. Pulverino wychylił się, chwycił go za kłapy płaszcza i wciągnął do samochodu.

— Teraz pełny gaz, John.

— Za późno, don Josephie, mamy towarzystwo — odpowiedział kierowca, pokazując na wsteczne lustro.

Pulverino odwrócił się i ujrzał z tyłu policyjny radiowóz. Wóz gnał z włączonymi światłami i syreną o kilkadziesiąt metrów za nimi.

— Powiedziałem pełny gaz! — rzucił przez zaciśnięte zęby.

Mercedes z piskiem opon oderwał się od chodnika i ślizgając się po asfalcie pomknął do przodu.

— Co tam robiłeś z tą spluwą? — spytał Pulverino, przyglądając się dokładniej niespodziewanemu gościowi.

Ross milczał, wpatrując się w swoją teczkę.

— Chociaż dużo tego zgarnąłeś?

Alberto Puerti odwrócił się i delikatnie wyjął Rossowi rewolwer z ręki. Powąchał lufę.

— On strzelał, don Josephie. Może być niedobrze.

Pulverino spojrzął za siebie. Odległość między mercedesem a radiowozem zmniejszyła się.

— John, pokaż tę swoją sztuczkę — rzucił.
— Tutaj — wskazał ręką.

Kierowca popatrzył w lewo, wyszukał wzrokiem szeroką bramę i nieco zwolnił. Kiedy radiowóz zbliżył się na kilkanaście metrów, gwałtownie szarpnął kierownicą, wjechał w światło niewielkiego podwórza, cofnął i zanim Aston Bolt zdążył zareagować, ruszył błyskawicznie z powrotem.

— Trafieś kogoś? — spytał Pulverino.

— Tak — wyszeptał Ross.

— Zabiłeś?

— Tak...

Emmery kurczowo zaciskał ręce na kolanach. Gdy zameldował porucznikowi Brownowi, że Pulverino zabrał z ulicy podejrzanego osobnika z rewolwerem w dłoni i gdy sprawdził, co się stało w sklepiku pod numerem 53B, Brown popadł w amok. Rozkazał za wszelką cenę zatrzymać mercedesa, nie dopuścić do ucieczki, a przede wszystkim schwytać dona żywego. Miał wreszcie niepodważalny dowód — pomoc dla mordercy sklepikarza. Tłumaczył Boltowi i Emmery'emu, jaką wagę ma to wydarzenie. Pulverino wywijał się zawsze otoczony falangą adwokatów i nigdy nie zdołano go pochwycić na gorącym uczynku. Od niepewnej roboty byli inni. Teraz są świadkowie i na nic nie zdadzą się wysiłki prawników. Brown wysłał już wzmocnione patrole z obiecaną pomocą.

— Diabli! Jeżeli dotrą do Harlemu, mogą nam

zwiąć, David — mruknął Bolt zapinający pasy bezpieczeństwa.

Emmery wyciągnął rewolwer i szerzej odkręcił okno.

— Podjedź jak najbliżej, Ast.

Radiowóz zbliżył się do mercedesa na kilkanaście metrów, a wtedy Emmery wysunął ramię na zewnątrz i wystrzelił cztery pociski. Tamci jechali dalej, stale zwiększając szybkość. Przygodne samochody zjeżdżały na boki, ludzie na chodnikach wciskali się w ściany domów. Emmery strzelił jeszcze dwa razy, starając się celować w koła. Trafił, choć graniczyło to z nieprawdopodobieństwem.

— Dostaliśmy w tylną gumę! — krzyknął Alberto chwytając się uchwyty.

Mercedes gwałtownie zarzucił. Jego maska znalazła się w niebezpiecznej bliskości narożnej latarni i John nie zdołał już nic zrobić. Z szybkością czterdziestu pięciu mil na godzinę wóz uderzył w metalowy słup.

Zgrzyt dartej blachy i śnieżnobiały deszcz drobniutkich odłamków szkła przedniej szyby obudziły Rossa z letargu. Obejrzał się i zobaczył, jak z radiowozu, który zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, wyskakuje dwóch policjantów z bronią gotową do strzału. Usłyszał jednocześnie krzyk Alberta:

— Don Pulverino! Na chodnik! Na chodnik!

Ross potoczył wzrokiem dookoła. John opierał twarz o pogiętą kierownicę i chociaż nie widać było krwi, Ross wyczuł, że tamten nie żyje. Alberto Puerti i Joseph Pulverino znajdowali się o kilka metrów od niego kryjąc się za zgniecioną maską samochodu. W dłoni goryla błyszczał pistolet z długą, oksydowaną lufą. Ross rzucił swojego colta na przedni fotel i położywszy się na podłodze otworzył od wewnątrz drzwi. Postanowił przeczekać.

— Rzućcie broń! — krzyknął Emmery, zatrzymując się wpół kroku na jezdni — Rzućcie broń, spokojnie wychodzić!

Bolt cofnął się i stanął przy nieczynnym kiosku z gazetami.

— Uważaj, Dave! — powiedział cicho. — Oni mogą strzelać.

Don Joseph Pulverino leżał na ziemi i wpatrywał się w policjantów. Bał się. Znowu się bał, gdyż zrozumiał, że wplątał się w aferę, z której cało nie wyjdzie.

— Alberto! Zrób coś! — szepnął prawie błagalnie.

Alberto Puerti nie słyszał. Szukał szans ucieczki, ale ich nie znalazł. Teren był nie osłonięty. W swym małym mózdzku zakodowane miał jednak hasło: bronić Pulverina. Odbezpieczył więc pistolet, wycełował w kiosk z gazetami i pociągnął za spust.

Martha Winston wracała do domu. Postukiwała białą laseczką o krawędź chodnika, kierując się sobie tylko znanymi, mrocznymi szlakami. Martha Winston była niewidoma. Usłyszała strzał przystanąła o kilka metrów od rozbitego mercedesa.

— Uciekaj z ulicy! Uciekaj stamtąd! — wrzasnął Emmery.

— Cholera! Ale się wpieprzyła... — syknął Bolt.

Kobieta przestraszyła się i dezorientowana ruszyła prosto na Alberta Puerti i Pulverina.

Emmery wyskoczył zza budki, stanął w lekkim rozkroku i wywalił pół magazynka w kierunku gangsterów.

— Osłaniaj mnie, Ast! — rzucił za siebie i pognął na drugą stronę ulicy.

Bolt wypalił dwa razy, a gdy pociągnął za spust trzeci raz, iglica nie uderzyła w splotkę. Broń się zacięła. Wtedy strzelił Puerti.

Emmery wyciągnął się już do długiego skoku, by

przykryć swym ciałem nieszczęsną kobietę i odciągnąć ją w bezpieczne miejsce, gdy poczuł jak jakiś nieludzki cios zbija go z nóg. Ostatkiem sił dopadł niewidomej i razem przewrócili się na asfalt za jakąś opuszczoną, blaszaną beczkę z wodą.

— Nie ruszaj się — dyszał Emmery. — Nie ruszaj się stąd...

Przed oczyma zamajaczyła mu jego żona. Ubrana w białą suknię wyciągnęła ku niemu dłoń. Nagle zapadł mrok i chociaż Emmery patrzył prosto w słońce, ciemność nabierała dziwnego, amarantowego połysku. Krew chlusnęła ustami i umarł.

— David! David! — krzyczał Bolt. — Odezwiw się! Boże, David!

Puerti wychylił się zza ukrycia. Bolt błyskawicznie wymierzył i zapominając o niesprawnym rewolwerze nacisnął spust. O dziwo, broń odezwała się gwałtownym hukiem wystrzału, a trafiony prosto w pierś Puerti upadł na kolana i jakby zaskoczony patrzył na dona Pulverina. Później osunął się na rozbite płyty chodnika. Drżąc z przerażenia mafioso podniósł ręce do góry.

Zza rogu wypadły cztery radiowozy. Przybyła pomoc.

Wśród tłumu ludzi porucznik Brown aresztował Capo Tutti Capi Josepha Pulverina pod zarzutem współudziału w zabójstwie sierżanta Davida Emmery'ego, pomocy mordercy sklepikarza, stawiania oporu władzy i nielegalnego posiadania broni. Policjanci szukali Rossa, ale nie potrafili go odnaleźć. Zapodział się gdzieś, lecz porucznik Brown był tak szczęśliwy z niespodziewanego łupu w postaci Pulverina, iż dał znać na posterunek, aby Rossem zajęli się inni.

Gdy sierżant Aston Bolt patrzył z daleka, jak noszowi ładują do ambulansu przykryte białym prześ-

cieradłem zwłoki Davida Emmery'ego, Martha Winston zniknęła za rogiem postukując białą laseczką. Będzie miała o czym opowiadać sąsiadkom.

12

Washington, 13 kwietnia, godzina 17.00

Daniel Brocks wpatrywał się w papiery leżące na biurku. Oczekiwał przybycia Hannah. Znali się od dawna, od czasów Berlina Zachodniego. Brocks oddelegowano tam służbowo z ramienia FBI. Wtedy początkował podobnie jak Hannah. Choć pracowali w różnych instytucjach, zaprzyjaźnili się i po powrocie do Stanów utrzymywali częste kontakty.

Daniel Brocks zrobił szybko karierę. Ze zręcznością cyrkowego skoczka wspinał się po szczeblach drabiny, aż wywiodła go prawie na samą górę. Został prawą ręką jednego z trzech wicedyrektorów biura i urzędował na szóstym piętrze gmachu. W tym samym skrzydle znajdował się gabinet wielkiego Reginalda Price'a, dyrektora FBI.

Brocks nie zajmował się sprawami mafii. Miał od tego C-3, która pośrednio mu podlegała. Służbowo widywał więc Hannah rzadko i był zadowolony z takiego stanu rzeczy. Wiedział, że gdyby los i Price zrzędzili inaczej, popadłby od razu w tarapaty, gdyż zbyt wysoko cenił sobie przyjaźń Hannah, by oszukiwać go, jak oszukiwał innych.

Dwie godziny temu Brocks odbył z wicedyrektorem rozmowę i jego spokój prysnął jak mydlana bańka. Później chodził po pokoju niczym zwierzę w klatce, aż sięgnął po słuchawkę. Wykręcił wewnętrzny C-3 i poprosił do siebie Hannah.

— No, co się dzieje? — usłyszał od prog.

Brocks zapalił papierosa i wyciągnął z szafki kieliszki. Hannah wyczuł, że stało się coś niedobrego.

— Richard, chcą cię usadzić.

Hannah wychylił duszkiem koniak. Czekał na dalszy ciąg.

— Chcą cię usadzić, odsunąć od sprawy, a mnie kazali wszystko zatuszować.

— O czym ty mówisz, Daniel?

Brocks rozlał następną kolejkę.

— Nie wiesz i nie powinieneś wiedzieć o czym mówię. Jeżeli Vordan dowie się, że u mnie byłeś, wyleje mnie na zbity pysk. No, napijmy się.

Hannah poprosił o papierosa. Znał Brocksa dobrze i zwykle czekał aż się wygada. Przerywanie nie miało sensu.

— Rozmawiałem dzisiaj z zastępcą Price'a, z Vordanem. Teraz trzymaj się krzesła, bo spadniesz. W Nowym Jorku złapali Pulverina. Jest w piątym komisariacie.

Hannah zbyt dobrze znał to nazwisko. Zaciągnął się dymem i popatrzył uważnie na Brocksa.

— Zaplątał się w jakąś przypadkową sprawę, nieważne. Dość, że go mają. Są mocne podstawy, by człowieka przymknąć na amen — mówił Brocks.

— Wiesz, kim jest Pulverino?

— Cieniem Gambina, to jasne.

Brocks pokręcił przecząco głową.

— Nie, Richard, Pulverino został dzisiaj nowym Capo Tutti Capi. W Hamilton Club znaleziono zwłoki starego. Mocne, co?

Hannah wstał z krzesła i podszedł do okna.

— Rozumiesz już, że mamy największą aferę od co najmniej trzydziestu lat. Nigdy jeszcze...

— Vordan chce mnie odsunąć? — przerwał Hannah, nie odrywając wzroku od szyby.

— Nie mam pojęcia kto. Nie chcą, by sprawa nabrała rozgłosu. Vordan tańczy, jak mu zagrają i nie przypuszczam, żeby sam coś wymyślił. Co najwyżej zgaduję, że nici sięgają znacznie wyżej. Ale co ja plotę! To ty jesteś specjalistą, do cholery, nie ja.

— Jeśli Pulverino został Capo, to ma dostęp do dokumentacji. Wie, kogo mafia trzyma na żołdzie. Tak... Ale żeby nawet ludzie od nas...

— A kto ci powiedział, że z FBI? FBI podlega pod Zarząd Wywiadu, Zarząd Wywiadu pod Krajową Komisję Bezpieczeństwa i tak dalej. Jeszcze mało ci ogniów? Aż do Kongresu. Człowieku, gdzie ty żyjesz?

— Chcesz powiedzieć, że wszyscy ci ludzie są opłacani przez mafię?

— Nie wszyscy, Richard, ale wielu z nich. Siedzę za tym biurkiem od kilku lat i myślisz, że do mnie nie próbowali się dobrać? Próbowali. Na razie dają sobie radę, ale nie wiem, jak będzie jutro. Mam oczy i widzę, co się tutaj dzieje. I nie tylko tutaj. A ty, jak zwykle, jesteś niepoprawnym naiwniakiem, chłopie.

Hannah zgniótł papierosa na podstawce do kwiatka.

— Richard, w dalszym ciągu jesteś szefem C-3, tak? Ogólnokrajowej C-3, prawda?

Hannah skinął głową.

— I Vordan ma nadzieję, że o niczym się nie dowiem? — zapytał.

— A dowiedziałeś się? Nie. Znam sprawę już od kilku godzin, Richard. Postanowili odsunąć cię, zakwalifikować aferę Pulverina pod inną kategorię i po krzyku. Pana Pulverino potraktują jak pospolitego mordercę, znajdzie się na swobodzie najdalej za kilka dni. I mnie to zlecono. Mam zadzwonić do Nowego Jorku, by zanadto nie grzebali.

— Powiedz, Daniel, dlaczego to przekazujesz?

— OK, skłamię, jeżeli popadnę w górnolotne rozważania nad dobrem ogółu i tak dalej. Ale sam rozumiesz, że jest gdzieś pewna granica, której nie wolno przekraczać. Znamy się od wielu lat i zdaję sobie sprawę, że tobie zależy. Bo zależy, prawda? Zaczynam mieć z wolna dosyć tych świństwerek naszej kochanej instytucji. Moich też. Dosyć, wiesz, o czym mówię?

Hannah skinął głową.

— Co zrobisz? — spytał Brocks po chwili, dopijając resztkę koniaku.

— A jak myślisz?

— Burza w szklance wody?

— Raczej w naczyniach połączonych, Daniel.

— Pamiętaj, że ja o niczym nie wiem. Ile ci potrzeba czasu, by dotrzeć do Nowego Jorku?

Hannah popatrzył na zegarek.

— Jeżeli wyjdę zaraz, powinienem zdążyć na wieczorny samolot. Około dwudziestej, tak, około dwudziestej będę na miejscu.

— Dobra. Zadzwoń tam, ale o dwudziestej pierwszej. Jeśli do tego czasu nie załatwisz sprawy, stracisz okazję. Zdaszysz?

— Muszę. Mam do ciebie prośbę. Tutaj są dwa numery telefonów w Nowym Jorku. — Hannah wypisał cyfry na skrawku papieru. — Zadzwoń pod ten i poproś, by czekali na mnie we czwórkę na lotnisku. Drugi numer to Neil Kane, poznaliście się u mnie, pamiętasz? Powiedz mu o całej sprawie. Będzie wiedział, co należy zrobić. Nieraz mi pomagał. Popatrzył na Brocksa. — Polecać głowy, Daniel?

— Może...

— Price powinien był mnie oficjalnie zwolnić, masz rację, Daniel. Ale ciągle jeszcze jestem szefem C-3. Dostanę Pulverina, dostanę go. I — zawahał się szukając słów — dzięki, Daniel.

Wybiegł z gmachu i odjechał w kierunku National Airport.

Brocks siedział chwilę bez ruchu, a potem sięgnął po słuchawkę telefonu. Wykręcił kierunkowy Nowego Jorku i pierwszy z dwóch numerów, które zostawił mu Hannah.

13

New York City, 13 kwietnia, godzina 18.00

Don Frank Ferriano powiódł wzrokiem po sali. Obecni siedzieli w milczeniu. Ferriano nie zdążył dać znać tylko Mariowi Terlaccowi i Jordanowi Pecciniemu z Meksyku. W siedem godzin od pierwszego, amerykańska mafia odbywała drugie spotkanie — wydarzenie niespotykane w annałach syndykatu. Tym razem jednak sytuacja wymagała środków nadzwyczajnych. Zastosował je Frank Ferriano, drugi po Josephie Pulverinie człowiek, który miał względny posłuch wśród bosów.

Don Ferriano powiadomił zebranych o celu ponownego spotkania. Powiedział im, że tuż po objęciu urzędu Capo Tutti Capi Joseph Pulverino został zatrzymany przez policję. Powiedział im również dlaczego. Zdał przed Radą sprawozdanie z kroków, jakie podjął samodzielnie i bez konsultacji. Wyraził nadzieję, że znani mu funkcjonariusze FBI dotrzymają słowa i wywiążą się z podjętych zobowiązań.

— Zmuszony jestem jednak przekazać wam coś jeszcze — mówił. — Nikt z nas nie jest omylny, tak myślę. Wszyscy ceniliśmy i szanowaliśmy Carla Gambina, ale on nie może nam już służyć radą. Wiem, że został dzisiaj zastrzelony w Hamilton Club... — urwał.

Sala zareagowała ciszą.

— Nie naszą sprawą jest rozstrzygać, kto go zabił, chociaż możemy domyślać się powodów. Nie o to jednak chodzi. Carlo Gambino pomylił się, tak, pomylił się, bo nie sprzyjała mu pamięć i wiek.

— Czy możesz jaśniej, don Ferriano? Nie czas na długie mowy — odezwał się Albert Stracco z Bostonu.

— Powiem, Stracco, nie bądź niecierpliwy. Don Pulverino nawiązał kontakt ze swym adwokatem i od niego wiemy, co się stało. Don Joseph żąda od nas, byśmy go wydobyli z opałów. Jest to naturalne i nawet gdyby nie powiedział ani słowa, zrobilibyśmy co tylko możliwe, aby go wyciągnąć z opresji. Don Pulverino jednak nie ograniczył się do żądania. On nam grozi, grozi Cosa Nostrze... Chce, abyśmy go wydobyli z więzienia przed procesem, gdyż adwokat twierdzi, że oskarżą go o współudział w zabójstwie policjanta i pomoc dla mordercy jakiegoś sklepikarza. Nie wiem, doprawdy nie wiem, jak Capo Tutti Capi mógł wdać się w podobne głupstwa. Don Pulverino grozi, że jeśli nie wydobędziemy go przed rozprawą, wyda tajne dokumenty organizacji. Nie muszę chyba mówić, co dla nas znaczą owe papiery. Są to nazwiska ludzi nam oddanych, mogących wiele, szyfry kont w naszych bankach, spisy dotyczące tu zebranych. Bez dokumentacji Cosa Nostra przestanie istnieć jako całość, rozpleni się nieodpowiedzialna dzicz, zaczną się walki, nastąpi rozkład, zapełnią się więzienia.

Po sali przebiegł szmer szeptów.

— Dlatego też twierdzę — ciągnął dalej don Ferriano — że don Gambino pomylił się. Nie powinien był wybierać tchórza, bo Pulverino jest tchórzem i człowiekiem bez honoru. Skończyłem.

Capo Rodzin słyszeli i widzieli w życiu wiele. Teraz siedzieli jednak zaszokowani. Zanosilo się na ka-

katastrofalną wpadkę, której rozmiary będą nieobliczalne.

Wstał Marco Stallone z Nowego Jorku.

— Sono cosa nostra — zaczął wolno — oto są nasze sprawy... Jesteśmy tutaj, by je rozwiązywać. Zgadzam się z don Ferrianem, że Capo Tutti Capi nie postąpił jak należało. Pamiętajmy jednak o interesach i o własnych skórkach. Teraz nie pora sądzić don Pulverina. Trzeba rozstrzygnąć, co czynić. Widzę dwa wyjścia: spróbować uwolnić dona Pulverina lub go zabić, by nie zdradził omerta.

— Należy go bezwzględnie zabić, panowie. Nad czym jeszcze debatować? On już złamał omerta, świętą znowę milczenia. To, że nie wydał szczegółów, jest kwestią czasu. On już zdradził — powtórzył Anthony Accardo.

— Nie sądzmy pochopnie — wpadł mu w słowa Franco Cappucini. — Nie wiemy, jaka jest prawda, a podejmujemy decyzje. Don Ferriano, jak przedstawia się sprawa z FBI?

— Nie obiecują zbyt wiele, ale zrobią, co będą mogli. Im zależy tak samo jak nam. Nie znam dokumentacji, ale przypuszczam, że służy nam wielu ludzi. Jeśli nie pomogą, posypią się ich głowy. I głowy innych, najwyższych.

— Zastanówmy się — kontynuował Cappucini. — Nie możemy zabić Pulverina. Jeśli się go pozbędziemy, co stanie się z dokumentacją?

— Bosowie milczeli. Don Pulverino jako jedyny posiadał klucz do sejfu, o którego istnieniu wiedzieli wszyscy. Nikt jednak, oprócz niego, nie znał ani nazwy banku, w którym sejf był ulokowany, ani też niezbędnych szyfrów. Te tajemnice przekazał Gambino tylko nowemu Capo Tutti Capi, nikomu więcej. Takie obowiązywało prawo. Bosowie zrozumieli, że Pulverino trzyma ich w rękę.

— Uważam — mówił Cappucini — że trzeba za wszelką cenę odbić dona Pulverina. W przeciwnym wypadku...

— A ja nie uważam, panowie — przerwał mu Accardo. — Zgoda, Pulverino nas trzyma i szantażuje. Gardzę nim. Myślę, że nawet kosztem odbudowy wszelkich struktur i powiązań powinniśmy pozbyć się takiego Capo. Ten kto łamie omerta, nie jest nas godny. Nawet, powtarzam, kosztem wspólnych pieniędzy organizacji, nawet takim kosztem trzeba usunąć czarną owcę. Don Ferriano, czy to możliwe?

Zgromadzeni wiedzieli o jakich pieniądzach mówił Accardo. Syndykat posiadał kilkadziesiąt kont bankowych, na które regularnie co miesiąc wpływały określone kwoty od Rodzin oraz sumy pochodzące z obrotów mafii. Pieniądze owe stanowiły zabezpieczenie i spoiwo, były krwiobiegiem, bez którego poszczególne jednostki Cosa Nostry nie utrzymałyby się zbyt długo. Don Pulverino znał wszystkie numery rachunków i jedynie on mógł dokonywać wszelkich centralnych operacji finansowych. Kolejny cios.

Ferriano podniósł się ponownie.

— To jest możliwe, ale wymagać będzie od nas szalonej dyscypliny i rozwagi. Przyjdą lata suche i biedne. Tak biedne, że najstarsi nie pamiętają takiego regresu.

Głos zabrali inni bosowie. Emilio Barti i Jules Creonti byli zdania, że należy zadziałać z obu stron — próbować zabić dona Pulverina, ale jednocześnie czynić wysiłki, by go wydostać z opałów i porachować się później.

Joseph Manulli podniósł kwestię, która umknęła z dotychczasowych rozważań. Organizacja musi zrobić co tylko możliwe, aby przede wszystkim opóźnić proces. Jest sporo czasu, twierdził, za-

nim zadziałają sędziowie, zanim zacznie się śledztwo i podpisany zostanie akt oskarżenia.

Michael Grazziani dodał rzeczy równie ważne.

— Znamy dobrze Hannah — zaczął. — Jest nieprzekupny, ma bardzo dobre powiązania. Mam absolutną pewność, że sprawi nam kłopot. Don Ferriano powiedział na początku, że szefowie Hannah spróbują odsunąć go od sprawy. Oby się im udało. W przeciwnym razie przybędą nam dodatkowe trudności. On jest zdolny do wszystkiego. Pamiętajmy też o Mellonie, panowie. Mellon pociągnie wszelkie sznurki, aby nie dopuścić do uwolnienia Pulverina i spowodować rozsypanie się naszej organizacji. Zbyt często wchodziliśmy sobie w drogę. Głównym wrogiem naszych planów i ewentualnych poczynań będzie jednakże Hannah. Wolałbym go mieć za przyjaciela, panowie.

Narada trwała krótko i w końcu osiągnięto porozumienie. Ster syndykatu na czas bezkrólewia powierzono don Ferrianowi. Nie otrzymał on jednak tytułu Capo Tutti Capi i władza jego była symboliczna. Pełnił rolę koordynatora akcji, zmierzającej do wyjaśnienia sytuacji i uratowania firmy.

Don Ferriano zarządził głosowanie, którego celem było znalezienie właściwej drogi poczynań. Mimo kilkunastu głosów zdecydowanego sprzeciwu, postanowiono działać na oba fronty: próbować uwolnić Pulverina poprzez wpływy Cosa Nostry, a jednocześnie usiłować go zabić.

Werdykt nie był żadnym paradoksem i bosowie to rozumieli. W przeszłości, gdy pojedyncze rozwiązanie nie zadowalało mafii, postępowano podobnie — podejmowano kroki wiodące w dwóch lub nawet trzech pozornie sprzecznych kierunkach. Jeden ze sposobów okazywał się z reguły skuteczny, i jeśli wyprzedzał inne, uznawano go potem za ten właści-

wy i najlepszy. Problem Pulverina nie był wyjątkiem. Jeżeli udałoby się wyciągnąć Dona z więzienia przed procesem, sprawa zostałaby załatwiona. Gdyby natomiast przedtem udałoby się go zabić, kwestia także przestałaby istnieć. Oczywiście drugie rozwiązanie pociągało za sobą olbrzymie konsekwencje w postaci odbudowy struktur syndykatu, opanowania anarchii i zdobycia nowych pieniędzy. Upłynęłyby lata, nim na czele Cosa Nostry stanąłby znów ktoś silny i zaufany, kto zjednoczyłby wszystkie Rodziny.

Gdy wydano już wszystkie polecenia i salka hotelu Hilton opustoszała, don Ferriano podszedł do jedynej kobiety, która uczestniczyła w obradach.

— Wiem, co czujesz, wiem — powiedział. — Ale tak trzeba, moje dziecko.

— Rozumiem, don Ferriano, nie można inaczej, rozumiem. Tylko mi przykro...

14

New York City, 13 kwietnia, godzina 21.00

Wieczór był gwiazdny i Boeing 747 zniżył lot przed kwadransem. Z pokładowego głośnika padła zapowiedź lądowania w Newark. Hannah zapiął pasy i odruchowo przybliżył twarz do okienka.

Przemierzał tę trasę wielokrotnie, lecz za każdym razem fascynował go moment, gdy z granatu nocy wynurzał się nieskończony dywan światła nadbiegających z oddali w kierunku samolotu. Niebieskie i czerwone wysepki neonów, żółte strugi ulic, morze światła w otchłani czarnej pustki. Zawsze też doznawał wtedy uczucia niejasnego oczekiwania i napięcia. Serce biło mu szybciej, szerzej otwierał oczy wpatrując się w dal.

Lotnisko w Newark przejęło ciężar spoczywający od wielu lat na J.F. Kennedy International Airport. Położone na brzegu New Jersey, o pół godziny drogi od Nowego Jorku, jest ważnym węzłem ruchu pasażerskiego Ameryki. W terminalu piętnastym oczekiwało Hannahą czterech ludzi.

Pierwszy z nich, John Moore, siedział na ławeczce przyglądając się bezmyślnie tablicy przylotów. Miał 32 lata i od roku 1982 służył w FBI. Przedtem pracował jako agent w CIA, jeszcze przedtem był płatnym najemnikiem w Rodezji. Znakomicie władał pięcioma językami i wszelkimi rodzajami broni, z nożem włącznie. Hannahą poznał w Berlinie Zachodnim. Moore nie mówił wiele. Przywykł do działania.

Thomas Hatton w zapiętym szczelnie płaszczu krążył bezcelowo przed zamkniętą jeszcze bramą przylotów, przechadzając się od drzwi do wysoko przeszklonych okien i z powrotem. Był rówieśnikiem Hannahą i razem bawili się w piaskownicy. Jego losy potoczyły się inaczej i nie miał nic wspólnego ani z policją, ani z wojskiem. Prowadził początkowo interes swojego ojca. Gdy ojciec zmarł, sprzedał warsztat i chwycił się różnych zawodów. Nikt dokładnie nie wiedział, skąd Hatton ma pieniądze. Jedno nie ulegało wątpliwości — Hatton zawsze miał ich dużo. Ponadto lubił ryzyko i świetnie strzelał. To do niego telefonował Brocks z polecenia Hannahą.

Eric Bowler i Clifford Jones stali razem i rozmawiali półgłosem o amerykańskiej lidze baseballowej. Obaj pracowali w C-3 Hannahą od dwóch lat. Wysocy, postawni, występowali kiedyś jako duet akrobatów cyrkowych. Bowler zrezygnował, a Jones odszedł razem z nim. Poznali Hannahą dawno, przypadli sobie do gustu i Hannahą zaproponował im pracę u siebie. Ofertę przyjęli. Bez bólu przeszli

przeszkolenie dzięki swej niezwyklej sprawności fizycznej i od 1984 uczestniczyli w każdej akcji prowadzonej przez ich szefa.

Cała czwórka rzadko spotykała się razem. Było tak tylko w sytuacjach, gdy Hannah potrzebował ludzi pewnych i oddanych. Pierwszy raz zetknęli się ze sobą już w 1984 podczas likwidacji trzech nielegalnych banków Joe'a Taza w Nowym Jorku. Wypadli znakomicie, chociaż bezpośredni szef Hannah, Vordan, miał pretensje o angażowynię nie związanego z policją Hattona. Później widywali się jeszcze czterokrotnie, wychodząc cało z karkołomnych oparów. Gdy Hatton przekazał im wiadomość, wiedzieli, że znosi się na poważne sprawy.

Drzwi otworzyły się i wyszli pierwsi pasażerowie z Waszyngtonu. Hannah zatrzymał się w progu i ogarnął wzrokiem hol. Bowler, Hatton, Jones i Morre stanęli wokół. Przywitali się krótko i bez słowa skierowali się ku wyjściu.

— Wystaw „koguta”, sygnał na pełną parę i jedziemy na posterunek piąty, Eric, na Manhattan — rzucił Hannah, gdy zatrzasnęli drzwi samochodu.

Znał dobrze tych chłopców. Nie zadali żadnego pytania, nie okazali zniecierpliwienia czy niepewności, gdy jechali z ogłuszającym wyciem syreny z Newark do Nowego Jorku. Pół godziny po prostej jak strzała, idealnie gładkiej autostradzie z usuwającymi się na boki samochodami starczyło, by Hannah wyłożył im cały problem. Zrozumieli. Jak zawsze.

— Nie ma sprawy, Richard — Hatton zapalił papierosa i uchylił okno. — Dopilnujemy ptaszka. A później zobaczymy.

— Zamknij okno, wieje jak cholera — powiedział siedzący z tyłu Jones i już do końca podróży jechali w milczeniu.

Na ulicę Dziewięćdziesiątą wpadli o 21.20 i w momencie gdy Bowler brał z piskiem opon zakręt, Hannah ujrzał w oddali otwarte drzwi posterunku, a w nich dobrze sobie znaną sylwetkę Pulverina. Stał na szczycie schodów w asyście dwóch policjantów i jakiegoś cywila. Hatton, Jones i Moore wiedzeni chyba szóstym zmysłem sięgnęli po broń.

— Spokojnie — powiedział cicho Hannah. — Pełny gaz, Eric, zasłoń go.

Tuż przy krawężniku parkował policyjny radiowóz z otwartymi drzwiami, wyraźnie czekający na schodzących ludzi. Na przeciwko Hannah zauważył dużego citroena z wygaszonymi światłami. Wewnątrz majaczyły sylwetki trzech mężczyzn. Bowler zahamował, stawiając wóz w poprzek jezdni. Hatton kopnął klamkę i wyskoczył na asfalt, padając tuż przy przednim kole. Po drugiej stronie samochodu wylądował Moore. W tym samym czasie Hannah i Jones z bronią w ręku biegli w kierunku Pulverina i policjantów.

— Na ziemię! Na ziemię, kretynie! — krzyknął Hannah, widząc osłupiałe twarze mundurowych i bladego cywila.

Kierowca citroena zapalił świała i uruchomił silnik. Tylne szyby były otwarte i stamtąd poszła długa seria z pistoletu maszynowego. Spóźnili się o ułamek sekundy. Pulverino, policjanci, cywil, Hannah i Jones leżeli już za radiowozem, a Hatton pociągnął za spust swego krótkiego uzi.

Citroen mknął w dół ulicy. Jechał jednak dziwnym zygzakiem, aż uderzywszy z trzaskiem w kosz na śmieci zatrzymał się na chodniku. Zanim jeszcze ostatecznie stanął, trzech ludzi wydostało się pośpiesznie na zewnątrz. Pędzili teraz przed siebie, nie oglądając się w tył.

Moore podniósł się i spojrzał pytająco na Hanna-

ha. Ten skinął głową. Moore prawą ręką ujął broń, lewą przytrzymał nadgarstek i oddał trzy szybkie strzały.

Hannah zostawił przy Pulverinie Jonesa i poszedł w tamtym kierunku. Odwrócił pierwsze ciało. Młoda, pozbawiona wyrazu twarzy, zamknięte oczy. Nie znał go. Drugie zwłoki spoczywały o trzy kroki dalej. Tego też nie znał. Trzeci mężczyzna leżał na jezdni. Był to Bill Dobey z oddziału Rodziny Ottilio Garzi.

— Usiłują wykończyć Pulverina — mruknął do zbliżającego się Moore'a. — Mafia pozbywa się niewygodnych ludzi...

— Pulverino będzie mówił? Boją się?

— Diabli wiedzą. Ale jeśli Garzia wysłała swoich ludzi na robotę, nie robi tego dla własnego widzimisię. Dostał rozkaz. Nie zabija się Capo Tutti Capi w dniu koronacji ot tak sobie. Może i powie...

Wrócili do komisariatu. Pulverino, policjanci i cywil doszli już do siebie po przeżytych szoku. Cywil okazał się korpulentnym, czterdziestoletnim mężczyzną o ruchliwej twarzy i zapadłych oczach.

— Kim pan jest? — zapytał gniewnie, gdy Hannah podszedł bliżej. — I do czego to podobne, żeby...

Hannah odsunął go na bok i spojrzał na Pulverina.

Capo Tutti Capi wyraźnie się bał. Unikał jego wzroku, starając się patrzeć gdzieś w bok.

— Gdzie szef posterunku? — zapytał Hannah migając legitymacją FBI.

— Wezwany pilnie do komendy — padła odpowiedź mundurowego.

— O tej porze? A gdzie chcieliście wywieźć aresztowanego? I po jaką cholerę ruszaliście się na ulicę? Ilu was jest?

— Wszyscy odwołani. Zostaliśmy tylko my.

— Powariowali... Kto odwołał?

— To było tak — wtrącił się drugi mundurowy.

— Pulverino został przywieziony do nas około czternastej. Zatrzymał go porucznik Brown od was. Potem, gdzieś koła siedemnastej, wezwano go do komendy, ludziom pozwolono pójść do domu. Pół godziny temu był telefon, żeby przekazać zatrzymanego do centrali. I wtedy...

— A kto to jest? — przerwał mu Hannah, spoglądając na kręcącego się nerwowo cywila.

— Jego adwokat. Zjawił się natychmiast po telefonie.

— Pozwoliliście, aby Pulverino telefonował?! Banda głupków! Porucznik Brown?

— Nie, porucznika już nie było, a myśmy tak jakoś...

— Pan Pulverino miał wszelkie prawo do skontaktowania się z prawnikiem, panie... Jak się pan nazywa? — zapytał obcesowo adwokat.

— Kto pana pytał o zdanie, do diabła?! — rzucił Hannah, nie odwracając głowy w kierunku prawnika.

— Przecież... — zaczął tamten, ale Hannah zniknęła już za drzwiami, a za nim podążyli jego ludzie, trzymając pod rękę Pulverina.

W środku znajdowały się cztery pokoje służbowe, łazienka, toaleta, mała kuchenka i areszt. Z sufitu padało migające światło jarzeniówki. Jones zamknął okratowane okno i sprawdził tylne wejście. W pomieszczeniach rzeczywiście nie było nikogo.

— Rewidowaliście go?

— Nie było rozkazu.

Hannah usiadł za biurkiem i dał znak Hattonowi. Ten zbliżył się do wciąż milczącego dona i kazał mu się rozebrać do naga.

— Stanowczo protestuję! — wyrwał się adwokat.

— Pan nie posiada nakazu rewizji ani nakazu arestowania! Pan za wszystko odpowie!

Hannah popatrzył zmęczonym wzrokiem na małego człowieczka i uśmiechnął się ciepło.

— Clifford, wyrzuć go za drzwi i przekręć klucz w zamku.

Jones chwycił prawnika za klapy marynarki, podniósł do góry i poszedł tak ku wyjściu, nie zważając na wrzask i wierzganie nogami tamtego. Potem zapanowała cisza.

— Rozbieraj się — rzucił Hatton.

Don Pulverino zdjął koszulę, spodnie i podkoszulek. Hatton przeszukał kieszenie i położył na biurku portfel z dokumentami. Hannah przejrzał pobieżnie zawartość przegródek i nie znalazł w nich nic interesującego.

— Ściągaj kalesony — powiedział cicho.

Pulverino zdusił w sobie odruch protestu i wolno zdjął ostatnią część garderoby. Zdawał sobie sprawę ze swej śmieszności i opuściwszy głowę zakrył nagość rękami.

— Podnieś łapy — Hatton uważnie oglądał ciało dona. — Jest tutaj, Richard!

Hannah podszedł bliżej. Pod pachą Pulverina tkwił mały kluczyczek przyklejony samoprzylepną taśmą. Wziął go w dłoń i spostrzegł inicjały C.T.C.

Hannah przeżywał wielki moment. Nikomu przedtem nie udało się zdobyć klucza do tajemnicy tajemnic, do skarbcza mafii. Chociaż wiedział, że jest zaledwie w połowie drogi i że Pulverino nie zdradzi mu lokalizacji sejfu, osiągnięcie było niepodważalne — miał w ręku Capo Tutti Capi amerykańskiej Cosa Nostry. Przeczuwał jednak coś niedobrego, a w jego głowie zaległy się pytania, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Kto i dlaczego odwołał Bro-

wna? Kto i dlaczego zwolnił policjantów? Pulverina próbowano zabić akurat wtedy, gdy posterunek pozbawiony został obstawy — zbieg okoliczności, czy dowód współpracy? Współpracy między kim a kim? Między mafią a policją? Bezpośrednia linia łączności posterunku z komendą zapewniała zupełną anonimowość rozmówcy. Telefon stamtąd równał się rozkazowi i nie sposób było domyślać się nawet, kto wydał polecenie. Znowu mur nie do przebiccia.

— Z którego aparatu dzwonił Pulverino? — zapytał szukając wzrokiem telefonu.

— Z tego — policjant wskazał duży model Bella na biurku.

— Podłączony do magnetofonu?

— Tak jest — odrzekł policjant wyraźnie zadowolony.

Hannah podniósł słuchawkę i wykręcił numer Kane'a w Waszyngtonie.

— Zamknijcie go w areszcie i zostańcie przy drzwiach. Eric, pójdziesz z nimi.

Policjanci, Pulverino i Bowler zniknęli na zapleczu, a Hannah połączył się wreszcie z Kanem. Brocks dotrzymał słowa i adwokat uruchomił już mechanizm — starał się o natychmiastowy nakaz aresztowania. Zgodnie z przewidywaniami szło opornie. Mimo iż dowody były oczywiste, Kane napotykał na trudności. Twierdził jednak, że wszystko załatwi. Zapisał numer posterunku i pożegnał się.

Hannah odłożył słuchawkę i wcisnął klawisz magnetofonu.

— A teraz posłuchamy, o czym rozmawiał nasz Capo, chłopcy...

New York City, 14 kwietnia, godzina 7.00

Hannah, Moore, Hatton, Bowler i Jones czuwali na zmianę przez całą noc. Drzemali w fotelach i w wolnej celi aresztu, tuż obok Pulverina. Nie działo się nic, nie odezwał się żaden telefon. To właśnie było dziwne. Posterunek piąty na Manhattanie, tak jak każda inna placówka tego typu w Nowym Jorku, pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Statystyki podawały, że w dwudziestomilionowej metropolii co dwie minuty dokonuje się kradzieży, co trzy minuty włamania lub napadu, co pięć minut ktoś kogoś gwałci, a co dziesięć minut zabija. Przeliczając owe dane na znikomą do potrzeb ilość stanowisk policyjnych, nie sposób nie dojść do wniosku, że posterunek piąty powinien w nocy z 13 na 14 kwietnia otrzymać chociaż jedno, symboliczne wezwanie. Nie nadeszło żadne. Podejrzany był spokój i Hannah wietrzył w nim ciszę przed burzą. Nie omylił się.

Zaczął się parę minut po siódmej. Ostatnim, który pełnił dyżur, był Hatton. Ledwo zdążył dobrać kolegów, gdy rozdzwonił się telefon. Hannah wcisnął przełącznik zewnętrznego głośnika i podniósł słuchawkę. Bowler, Moore i Hatton zamarli w bezruchu.

— Komenda miasta do „piątego”. Będzie mówił Robert Gardner z FBI. Dajcie sierżanta Connolly'ego.

Hannah westchnął.

— Nie ma sierżanta Connolly'ego. Pilnuje więźnia — powiedział sucho.

W głośniku zachrobotąło, po czym odezwał się inny głos.

— Gardner. Z kim mówię?

— Richard Hannah, FBI, Waszyngton, C-3, do usług, panie Gardner.

— Hannah? — Głos zawahał się, lekko. — Co pan tam robi?

— Czekam na nakaz aresztowania dla niejakiego Josepha Pulverina. Mam nadzieję, że nikomu nie przeszkadzam.

— Słuchaj, Hannah, nie czas na wygłupy. Tutaj ja jestem szefem, a ty rządz sobie w Waszyngtonie. Pulverino został zatrzymany jako podejrzany o udział w morderstwie i nie podlega C-3, która, o ile mnie pamięć nie myli, zajmuje się mafią. Ten twój Pulverino może ma jakieś powiązanie z Cosa Nostrą, ale dla nas jest teraz pospolitym kryminalistą. Zrozumiałeś pan?

— Szczerze mówiąc, nie bardzo. Niech mi pan w takim razie wytłumaczy, od kiedy to Federalne Biuro Śledcze zajmuje się pospolitymi kryminalistami? O ile mnie pamiętać nie myli, zawsze robiła to policja stanowa. Zaszły jakieś zmiany? I jeszcze jedno, Gardner. Skoro jest pan aż tak dobrze zorientowany w sprawach nowojorskiej władzy, niech mnie pan łaskawie poinformuje, dlaczego posterunek piąty ma zdekompletowaną obsadę? Dlaczego odcięto go od wezwań dzisiejszej nocy? Chyba nie twierdzi pan, że Nowy Jork stał się nagle najspokojniejszym miastem w Ameryce...

Po tamtej stronie zapadła cisza. Później dał się słyszeć lekki trzask i Gardner odezwał się ponownie.

— Nie będę z panem dyskutował. Otrzymałem rozkaz odstawienia Pulverina do aresztu FBI. Zawiadamiam pana oficjalnie, że za kwadrans zjawię się tam z moimi funkcjonariuszami. Proszę przygotować zatrzymanego do transportu. Żegnaj.

Trzask słuchawki.

Hannah wyłączył aparat i popatrzył na Hattona.

— Thomas, zwolnij sierżanta Connolly'ego. Drugiego też. Niech sobie idą do diabła.

Gdy mundurowi opuścili posterunek przy ulicy Dziewięćdziesiątej, ludzie Hannaha pozamykali wszystkie drzwi i okna. Bowler zrobił kawę i znalazł jakieś puszki w lodówce. Zjedli kanapki.

Dokładnie o 7.30 przed posterunkiem zatrzymały się trzy samochody. Hatton naliczył dziesięciu uzbrojonych policjantów w cywilu. Usłyszeli szarpnięcie klamki w korytarzu i głos, który znali z telefonu.

— Otwieraj, Hannah, przyjechałem po Pulverinal

Hannah dał znak Jonesowi. Ten stanął obok drzwi i szybko otworzył je z klucza. Później wykonał cztery czynności prawie jednocześnie: wciągnął zaskoczzonego Gardniera do środka, wytrącił mu z ręki broń, popchnął w kierunku pokoju i zatrzaskał wejście przed nosem najbliższego policjanta.

Z trudem odzyskał równowagę, Gardner zatrzymał się tuż przed dopijającym kawę Hannahem.

— Zapłacicie mi za to! — krzyknął. — Otwórzcie drzwi i wpuscście moich ludzi! Natychmiast!

Hannah odstawił filiżankę i uśmiechnął się łagodnie.

— Panie Gardner, niech się pan uspokoi, bo w przeciwnym wypadku będziemy musieli zachować się bardzo niegrzecznie.

Gardner poprawił marynarkę. — Hannah, wiesz co robisz? Przeszkadzasz funkcjonariuszowi w wypełnianiu jego obowiązków. Znasz przepisy? Odpowiedz za to.

— Niech pan rozkaże tym na ulicy, by przestali się awanturować. Jeśli będą hałasować dalej, Jones wystrzela ich jak kaczki.

— Nie ośmielisz się idioto, nie ośmelisz się...
Słuchaj...

— Uspokój ludzi, Gardner. — Hannah bawił się pistoletem.

Gardner podszedł do okna i pokiwał komuś ręką. Łoskot w korytarzu umilkł.

— Grozisz policjantowi, jeszcze jedno przestępstwo.

— Pokaż dokumenty, Gardner.

— Nie będę się legitymował przed byle kim — rzucił z wściekłością.

Jones podszedł do niego z tyłu, chwycił za łokcie i posadził na podłodze. Wyłuskał portfel z kieszeni marynarki i rzucił Hannahowi. Ten przejrzał papiery i odnalazł czarną, twardo oprawioną książeczkę z metalową wkładką w środku. Gardner rzeczywiście pracował dla FBI.

— Posłuchaj teraz, Gardner — mówił cicho i spokojnie. — Nie jestem byle kim. Nie bardzo rozumiem, co tutaj jest grane, ale stanowczo to mi się nie podoba. Powinieneś wiedzieć, chłopczyku, że reprezentuję komórkę C-3. Ma ona zasięg ogólnokrajowy, jak ci zapewne wiadomo, i kiedy spotkamy się następnym razem, życzę sobie, abyś nie strugał waśniaka, bo możesz niechcący oberwać. Zaraz wyjdiesz przed budynek, zgarniesz swoją bandę do samochodów i znikniesz w przeciągu trzydziestu sekund. Jeśli tego nie zrobisz, Moore cię zabije. Bo Moore, Gardner, będzie cię trzymał cały czas na muszce. I nie próbuj brudnych sztuczek, on nigdy nie chybia. Gdy wezwą cię ci, od których dostajesz pieniądze za różne plugawe sprawy, powiesz im, że nie wydam Pulverina nikomu, dopóki nie otrzymam nakazu aresztowania na piśmie. Mało tego, nakaz aresztowania dostarczy mi osobiście pan Neil Kane z Waszyngtonu i nie przyjmę go od

nikogo innego. Sam też dostarczę Pulverina do więzienia stanowego. Czy mnie dobrze zrozumiałeś?

— Wywałą was na zbity pysk, Hannah, wszystkich! I ja przy tym będę — wycharczał Gardner.

— Powiedz swoim szefom, że ich gra śmierdzi na odległość. Powiedz im, że gdy skończę z Pulverinem, zabiorę się do nich. A teraz zjeżdżaj stąd, bo rzygać mi się chce, gdy na ciebie patrzę. — Hannah odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Jones przymierzał się znowu do Gardnera, lecz ten, wietrząc widocznie kolejną nieprzyjemność, podniósł się sam z podłogi i szybko znalazł się przy drzwiach. Zerkał na Moore'a, który tkwił obok okna, opierając długą lufę rewolweru o kraty.

Dokładnie pół minuty później trzy samochody uruchomiły silniki i chodnik przed komisariatem piątym opustoszał.

16

New York City, 14 kwietnia, godzina 12.00

Do dwunastej panował spokój. Telefon nie odezwał się już ponownie i Hannah rozmyślał nad tym, co usłyszał z taśmy magnetofonowej nagranej w komisariacie. Miał duże szanse — jeśli uda mu się doprowadzić do procesu, Pulverino będzie sypał. Tak przynajmniej twierdził w rozmowie z adwokatem.

Hannah zdawał sobie sprawę, że wypowiedział wojnę mafii, wiedział, że Cosa Nostra nie da łatwo za wygraną. Wczoraj usiłowali zabić Pulverina i wczoraj on zdobył pierwszy punkt. Dzisiaj zadziałało FBI i Hannah odparł drugi atak, narażając się na wszelkie konsekwencje, które mogą nastąpić. Punkt drugi. Nie był tylko pewien, do jakiego stopnia

Biuro Federalne zostało skorumpowane przez syndykat i jak mają się do tego jego własne wpływy i poparcie, jakie posiadał wśród ludzi nielicznych, lecz dysponujących dużą siłą przebicia. Uczciwość względem samego siebie wciąż przeważała — trzymał w rękę Capo Tutti Capi, człowieka, który po latach bezkarności nareszcie wpadł. Gdyby go oddał dzisiaj Gardnerowi, Pulverino uległby wypadkowi, zastrzelono by go podczas ucieczki lub zostałby zwolniony za kaucją.

Hannah szybko podsumował sytuację: biegun A — syndykat chce usunąć swego Capo i spróbuje każdej możliwości, by to zrobić; biegun B — Pulverino musi stanąć przed sądem i podać szczegóły działalności organizacji. Hannah nie wiedział, kto stoi za biegunem A. On reprezentował biegun przeciwny.

O godzinie 12.10 przed oknami budynku zatrzymała się taksówka Yellow Cab. Wysiadł z niej elegancko ubrany mężczyzna z czarną aktówką pod pachą, zapłacił za kurs i stanąwszy na krawężniku zlustrował fasadę komisariatu. Po chwili zbliżył się do drzwi i nacisnął klamkę.

Jones powtórzył swoje czynności sprzed kilku godzin — odebrał mu aktówkę i obawiając się ewentualnego podstępu wyrzucił ją na ulicę. Później obszukał mężczyznę i nie znajdując niczego, co można nazwać pistoletem lub rewolwerem, wpuścił do środka.

Niech się pan nie denerwuje, panie Hannah — zaczął gość, rozglądając się spokojnie po pokoju. — Nazywam się Ervin Marton.

Hannah zauważył, że Marton zachowuje się pewnie i nie okazuje żadnych oznak zdenerwowania czy lęku. Ocenił go na jakieś pięćdziesiąt lat. Pachnący dobrą wodą kolońską, w nienagannie skrojonym garniturze — wzór biznesmena mówiącego

w dodatku dobrą, środkowozachodnią amerykańską, którą Hannah tak lubił.

— Czy mogę usiąść? Zmęczyłem się trochę. Te taksówki...

— Hatton przysunął do biurka krzesło i ruchem głowy wskazał mu drogę. Moore i Jones nie spuszczała z Martona oczu. Bowler nasłuchiwał w celi Pulverina.

— Ma pan do mnie jakąś sprawę? — spytał Hannah. — Nie przypominam sobie, abyśmy się kiedyś poznali.

Marton uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni marynarki. Jones zrobił ostrzegawczy ruch ręką.

— Przecież pan wie, że mam tutaj tylko papierosy. Czy można?

Hannah rzucił na blat zapalki.

— Posiadam również zapalniczkę — powiedział tamten i pstryknął ronsonem. Z dużej srebrnej papierośnicy wydobyl dunhilla, stuknął nim o wieczko i zaciągnął się wonnym dymem. — Przychodzę od pana Neila Kane'a, od mojego chlebodawcy. Po cóż te nerwy? Jestem adwokatem i przyniosłem tutaj dokumenty, które powinien pan podpisać przed otrzymaniem nakazu aresztowania dla Josepha Pulverina. Niestety, w chwili obecnej znajdują się gdzieś na ulicy, o ile nie ukradł już ich jakiś włóczęga — mówił bawiąc się papierośnicą. — Pański pomocnik — patrzył na Jonesa — wyrzucił moją aktówkę. Doprawdy, czy pan nie przesadza, panie Hannah?

Moore wyjrzał przez okno i zniknął za drzwiami. Wrócił z czarną teczką, którą wolno otworzył. Zawierała nie wypełnione formularze proceduralnych czynności wstępnych.

— Pan Kane polecił mi dostarczyć owe dokumenty, gdyż sam znajduje się wciąż w Waszyngtonie.

Sprawa jest w toku, lecz pan Kane ma nadzieję na szybkie jej zakończenie. Kwestia kilku, może kilkunastu godzin. Wierzy, że upora się z kłopotami. Panu zależy na czasie, panie Hannah, dobrze by było, gdyby wypełnił pan owe druki przed jego, to jest pana Kane'a przyjazdem. I to wszystko. Dlaczego mi pan nie ufa? Przecież wystarczy zatelefonować, prawda?

— Tak zrobię — powiedział Hannah podnosząc słuchawkę. — Będzie lepiej dla pana, mecenasie, gdyby Kane to potwierdził.

— A po cóż miałbym tutaj przychodzić? Pchać się do jaskini lwa? Nie posiadam sztucera — uśmiechnął się chłodno.

Numer gabinetu Kane'a nie odpowiadał.

— Szkoda — rzucił adwokat gasząc papierosa. — W takim razie już uciekam, bo znowu posądzą mnie panowie nie wiadomo o co. Niech pan wypełni te papiery, dobrze? Czas to pieniądz — rzekł przysuwając krzesło do biurka. — Czy mogę odejść?

Hannah kiwnął głową i Marton eskortowany przez Jonesa ruszył do korytarza.

Stojąc dotychczas Moore usiadł ciężko na blacie i przeglądał formularze. Położył nogi na krześle, na którym przed chwilą spoczywał ich gość. Krzesło wywróciło się z głośnym trzaskiem, a Moore błyskawicznie zerwał się z miejsca.

— Zatrzymaj go, Clifford, zatrzymaj! — wrzasnął nagle w kierunku drzwi. Przewrócone krzesło nie zaniepokoiło Moore'a, który nie denerwował się byle czym. Ot, zwyczajne krzesło: dermowe obicie, metalowa rama u podstawy i dookoła oparcia. Moore dostrzegł jednak coś, co go natychmiast zaalarmowało, czego nie spotyka się w wyposażeniu tak prostego mebla. Przyczepiona do stalowej rurki bie-

nącej pod siedzeniem błyszczała srebrna papierośnica. Ta papierośnica, którą zapamiętał u mecenasa Martona.

Hannah pochylił się, obejrzał dokładnie obcy przedmiot, a potem ujął go delikatnie w rękę. Papierośnica była namagnesowana i silnie przywierała do metalu. Pociągnął ją ku sobie, oderwał od stelaża i obejrzał się na Martona znieruchomiałego pod lufą uzi Jonesa.

— Będiesz gadał? — spytał cicho.

Marton utkwil wzrok w podłodze.

— Dobrze, nie będziesz. Mam dla ciebie propozycję, mecenasie. Nie chce ci się przypadkiem siusiu?

Twarz Martona spopieliała. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

— Jak uważasz...

Hannah dał znak Jonesowi, a ten zaprowadził przerażonego adwokata do toalety. Hannah wrzucił tam papierośnicę i przekręcił w zamku klucz.

Przez pewien czas w środku panowała cisza, zakłócona szmerem ciekącej gdzieś wody. Potem dał się słyszeć jakiś hałas, plusk i odgłos spuszczonego rezerwuaru. Jeszcze później usłyszeli głos Martona.

— Wypuście mnie! Co robicie? To za chwilę... Nie chce się zmieścić w otworze.

Zamilkł.

Hannah czekał.

— Wypuście mnie! Tam jest gaz! Wszystko powiem, tylko szybko! Chryste! Zaczyna... — urwał i zakaszłał jakimś dziwnym, nienaturalnym rżeniem.

Hatton wziął głęboki wdech, zakrył usta chusteczką i dopadł drzwi. Chciał je otworzyć, ale nie dał rady. Jones skoczył mu na pomoc. Szarpnął klamkę i uchwyt pękł, zostając w jego dłoni. Kopnął w zamek i drzwi otworzyły się na oścież. Obaj odrucho-

wo zamknęli oczy, odskoczyli do tyłu dławiąc się i krztusząc.

Niewielka przestrzeń kabiny wypełniona była gęstym, żółtym dymem o niebywałym stężeniu. Gdy otworzyli okna, by spowodować przeciąg, opary opuściły wolno pomieszczenie i zaczęły pełznąć w stronę cel. Bowler skuł Pulverina i chciał wyprowadzić go na ulicę, ale naprzeciwko zauważył dwa podejrzane samochody z ludźmi wewnątrz. Zawrócił więc z progu i popychając przed sobą Capo pobiegł do tylnego wyjścia wiodącego na ślepe podwórze. Tam byli bezpieczni. Wkrótce dołączyli do nich Hannah, Hatton i Moore.

Wszyscy odczuwali przykry zapach i drapanie w gardle. Okazało się, że Hatton zdołał chwycić puszkę piwa z otwartej lodówki. Starczyło po łyku.

— Zamknąłeś drzwi, Eric? — spytał Hannah ciężko chwytając powietrze.

Bowler dopijał bulgocącą na dnie resztkę Heinekena. Gestem ręki dał znak, że zamknął.

— Widzisz, panie szefie — Jones popatrzył na Pulverina — co twoi chłopcy wyczyniają? Ciut, ciut, a byłoby po nas. Po tobie również.

Pulverino milczał.

Hatton poprosił Hannah na stronę.

— Słuchaj, Richard, zabieramy go i dajemy nogę. Po pierwsze — Hatton mówił szybko i treściwie — cholera ich wie, jakie świństwo nam tutaj podłożyli i jak długo to się utrzyma w pomieszczeniach. Po drugie, jeśli zdecydowali się na taką robotę, możesz być pewien, że dziś lub jutro będziesz miał na karku pluton uzbrojonych po zęby gangsterów, którzy nie zawahają się przed niczym. Widocznie sprawa za bardzo dla nich śmierdzi i rozwalą nas bez względu na konsekwencje. Co ty na to?

- Dosłownie.
- Co dosłownie?
- Dosłownie śmierdzi. Nie czujesz?

W kabinie toalety, wśród trującej mgiełki leżał na podłodze Ervin Marton. Zginął wdychając kilka-naście litrów szybko działającego gazu bojowego produkcji Army Chemical Ltd.

17

New York City, 14 kwietnia, godzina 16.00

Po kilku godzinach zdecydowali się na powrót do wnętrza komisariatu. Okna były wciąż otwarte i całe, chociaż zerwał się dość ostry, północny wiatr. Wszędzie jednak unosił się przykry swąd jakby rozkładającego się mięsa. Cofnęli się na zamknięte podwórze i tutaj omówili plan działania.

Plan nie był skomplikowany i jedyny z możliwych. Hannah miał przy Cowley Lane na Bronxie niewielki domek odziedziczony po zmarłej żonie. Domek liczył sześć pokoiów i otaczał go mały ogródek z parkanem, porośnięty z rzadka niskimi krzakami róż. Lodówka była zawsze pełna, gdyż Hannah nigdy nie potrafił przewidzieć, kiedy znajdzie się w Nowym Jorku i na wszelki wypadek trzymał w niej zapas żywności i piwa. Wystarczyło dostać się na Bronx i zabarykadować wewnątrz posiadłości, nie dopuszczając nikogo do drzwi. Na pozór proste, lecz aby dostać się na Bronx, trzeba było przeciąć południowy Harlem, później minąć most Triborough nad odnogą East River i przejechać jeszcze pięć mil do Cowley Lane. Istny tor przeszkód.

Pod komisariatem, po przeciwnej stronie, stały dwa samochody. Ludzie w nich siedzący nie wyglą-

dali na przypadkowych podróźnych, których zawiodła w okolice ulicy Dziewięćdziesiątej chęć zwiedzania miasta. Przeciwnie, Hatton dawał głowę, że zna kierowcę forda parkującego najbliżej. Był to Hans Müller, z pochodzenia Niemiec, pracujący dla Rodziny Garzi. Müller wykonywał zwykle tylko brudną robotę i jego obecność nie wróżyła pogodnej przejaźdźki ulicami Nowego Jorku. Oprócz niego naliczyli jeszcze sześciu ludzi. Jeżeli tamci reprezentowali pokrewne z Müllerem profesje, nie można było liczyć na łatwą przeprawę.

Hannah dysponował jednym samochodem. Zakładając, że Müller nie uszkodził wozu, w czasie gdy znajdowali się na podwórzu lub, co gorsza, nie podłożył pod maskę ładunku trotylu, chrysler dawał gwarancję względnie szybkiej jazdy.

Ruch na Dziewięćdziesiątej rósł z minuty na minutę. Nadchodziła pora popołudniowego szczytu. Strumień pojazdów stanowił co prawda osłonę, ale gdyby utkwiał w korku pod Triborough Bridge, marne mieliby szanse. Podobnym niebezpieczeństwem groziły ulice Harlemu. Rzadko uczęszczane, wyludnione, aż zapraszały do bezprawia. Inna droga jednak nie istniała.

Hannah wierzył w umiejętności Bowlera. Ten, zanim został akrobatą, startował w kilkunastu rajdach. Prowadził pewnie i ostro, niezbyt przestrzegając przepisów kodeksu. Teraz będzie musiał dać z siebie wszystko. Wiedział o tym i lekko się denerwował. Jeśli zawiedzie, nie znajdzie nawet okazji do przeprosin.

O 16.15 sprawdzili broń i Bowler ruszył przodem wchodząc do korytarza. Zatrzymali się przed drzwiami wiodącymi na ulicę. Bowler otworzył je i wolno wyszedł na zewnątrz. Stał na górnym stopniu, przeciągnął się i spokojnie zszedł na dół.

Chrystler stał tuż przy krawężniku, tak jak zostawili go wczoraj. Bowler przyjrzał się uważnie pokrywie maski. Czarny lakier zalegała gruba nienaruszona warstwa kurzu i nie było widać na niej śladów rąk. Otworzył drzwi i usiadł na fotelu kierowcy. Wsunął kluczyk do stacyjki, przeżegnał się i nacisnął starter. Silnik zaskoczył natychmiast i pracował cichym, monotonnym szumem.

W momencie gdy Bowler przekręcał starter, Hannah odmawiał pacierz. Nie stało się jednak nic. Bowler nie wyleciał w powietrze, a osobnicy po przeciwnej stronie nie okazywali na razie ochoty na interwencję.

Chodnikiem szli niczego nie podejrzewający przechodnie. Kiedy przed komisariatem znalazła się grupka powracających z pracy urzędników, Hannah rozwarł wejście na oścież i zasłaniając Pulverina swym ciałem poprowadził go prędko do samochodu. Za nim podążyli Moore i Hatton z dłońmi na rękojeściach pistoletów ukrytych pod marynarkami.

W tej samej chwili fordys ruszyły. Pierwszy mrugał kierunkowskazem, usiłując przedostać się na drugą stronę jezdni poprzez gęstą rzekę pojazdów. Bowler nie czekał. Gdy tylko zatrzasnęły się drzwi, a Hannah krzyknął: „Już!”, wcisnął gaz do deski i wyrwał do przodu pełną mocą stu pięćdziesięciu koni mechanicznych motoru. Pulverino runął do tyłu rzucony siłą bezwładności, Moore, spodziewając się impetu, trzymał się uchwytu, a Hatton i Hannah głębiej wtłoczyli się w siedzenia. Zapięli pasy bezpieczeństwa, włączyli alarm i ruszyli w górę ulicy.

Hans Müller kłął, próbując wcisnąć się między nadjeżdżające samochody. Wreszcie włączył sygnał, zamrugał reflektorami i nie zważając na protesty kierowców wepchnął się na pasmo, którym ucie-

kał policyjny chrystler. Usłyszał przenikliwy zgrzyt metalu o metal, później dźwięczne uderzenie o asfalt i domyślił się że zgubił zderzak zaczepiwszy o któryś z mijających go wozów. Na jezdni powstało gwałtowne zamieszanie. Uszkodzony samochód zatrzymał się nagle blokując drogę drugiemu fordowi, który na próżno usiłował wydostać się z pułapki. W ten sposób Müller pozostał tylko z trzema ludźmi. Gnali teraz za oddalającym się chrystlerem środkiem wolnej od ruchu strugi, utworowanej przez syrenę Hannah.

Tuż przed chrystlerem pojawił się jakiś samochód tarasując drogę. Bowler włączył klakson, szarpnął kierownicą w prawo i ocierając się o bok bentley'a wyprzedził go.

— Siedzą nam na ogonie — mruknął Hatton.
— Dobrze, że chociaż zgubił tego drugiego.

Bowler wcisnął gaz. Wskazówka licznika podeszła pod sześćdziesiątkę, zawahała się i pełzła dalej. Samochody pryskały przed nim na boki, a oni pędzili przez Dziewięćdziesiątą kierując się na południe Harlemu.

— Gubisz ich — powiedział Hannah zerkając do tyłu. — Zaraz ich stracimy.

Bowler spojrział w boczne lusterko. Ford oddalił się nieco, ale ulica kończyła się zaraz dużym skrzyżowaniem, gdzie trzeba było mimo syreny zwolnić.

— Uważajcie! — rzucił i skręcił gwałtownie w lewo, wpadając na trawiastą wysepkę oddzielającą pasma ruchu.

Chrystler podskoczył do góry na krawężniku, opadł czterema kołami na sąsiednią jezdnię i z rykiem silnika wyrwał z powrotem. Wjechali w pierwszą przecznicę po prawej stronie, wywracając po drodze stoisko z gazetami i popędzili do Harlemu ulicą równoległą do Dziewięćdziesiątej.

Nie docenili jednak Müllera. Ten przewidział ruch Bowlera i w chwilę później powtórzył jego manewr. Chrysler zniknął już za zakrętem, gdy Ford z piskiem opon rwał za nim środkiem prawego pasa.

— Uważaj, Hans, do cholery, zaraz będzie zakręt! — krzyknął któryś z jego ludzi, kurczowo wbijając palce w oparcie.

— Zamknij gębę! — warknął Müller gwałtownie hamując.

Ford zarzucił, uderzając lewą stroną w znak zakazu wyprzedzania, wyrównał i znalazł się o dwieście jardów za chrystlerem.

Mknęli przez Harlem po suchym, brudnym asfalcie.

— Znowu są — powiedział Hannah. — Przyduś go, Eric.

— Zostaw, on wie, co robi — uspokajał Jones.

Wydostali się na ulicę prowadzącą prosto na Triborough Bridge. Wycie syreny stało się nieznośne. Samochody wciąż ustępowały z drogi, ale Müller umiejętnie to wykorzystywał, wpychając się tuż za chrystlera.

— Na ziemię z nim, Thomas! — krzyknął Hannah, gdy otworzyła się przed nimi kilkukilometrowa wstęga jednopasmowej jezdni, a w oddali zamaczająca stalowa konstrukcja mostu.

Hatton pchnął Pulverina za przednie fotele i przyduśił kolanem.

— Będą strzelać? — spytał przekrzykując hałas.

Mężczyzna siedzący obok Müllera otworzył okno i odbezpieczył pistolet.

— Po kołach! Wal po oponach! — wrzeszczał Müller. — Musimy ich dostać przed Triborough!

Ludzie Hannah osunęli się w swoich fotelach. Tylko Bowler pozostał lekko pochylony, wbijając oczy przed siebie.

Trzask szyby i grad bđłamków szkła.

— Mają nas, cholera! — zaklął Hannah. — John, przepłósz ich trochę. Dósyć takiej zabawy.

Moore podniósł broń i wpakował pięć kul w chłódnicę forda. Miał idealne pole strzału, gdyż tylna szyba już nie istniała. Ford jednak wciąż gnał naprzód, choć uzbrojona ręka cofnęła się do wnętrza kabiny.

— Uwóżaj! Ta cysterna nie widzi nas! Uwóżaj! — rzucił Hatton, patrząc jak olbrzymi potwór sunie środkiem jezdni wprost na nich.

Cysterna niczym widmo z piekieł zjawiła się o kilkadziesiąt metrów przed nimi. Kierowca, albo pijany, albo ślepy, prowadził pojazd opętany zygzakiem pod prąd. Bowler skręcił w prawo wjeżdżając na krawężnik. Zmagał się z drgającą kierownicą i ostatnim wysiłkiem utrzymał samochód w ryzach. Szalejąca cysterna minęła ich o kilka cali.

Kiedy Müller zobaczył gigantyczną masę o kilkadziesiąt jardów przed maską, automatycznie spojrział na szybkościomierz. Sześćdziesiąt pięć mil na godzinę. Wiedział, że jest za późno na wymyślne manewry. Wiedziony instynktem doświadczonego kierowcy, szarpnął fordem w prawo, wpadł przednim kołem na beton obrzeża i ostatnim świadomym gestem przekręcił kluczyk w stacyjce wyłączając zapłon. Jeżeli cysterna była pusta, mógł zdarzyć się jeszcze cud.

Jego kompan z tyłu zaniósł się głośnym zwierzęcym wyciem. Rozpędzone monstrum uderzyło impetem dwudziestu ton ropy naftowej Shella w bok forda, rozdzierając metal karoserii i miażdżąc ciała trzech ludzi. Zdruzgotana kabina kierowcy naderwała blachy poszycia zbiornika o pojemności dwudziestu tysięcy litrów i strumień cieczy chlusnął na

zewnątrz, pokrywając ziemię śliską, na centymetr grubą warstwą. Pchając przed sobą pogruchotany szkielet samochodu cysterna zderzyła się z czerwoną ścianą nie zamieszkaną kamienicy, stając natychmiast w płomieniach silnej eksplozji.

Cud się nie zdarzył...

O 17.00 Hannah z resztą ludzi dotarł na Cowley Lane. Zabarykadowali się i powiadomili Kane'a o zmianie adresu.

18

New York City, 15 kwietnia, godzina 8.00

Kane miał liczne powiązania w stolicy i czasami zwykł mawiać, że tajemnice polityków nie są dla niego tajemnicami i że właśnie dzięki temu utrzymuje się na powierzchni. Hannah nigdy nie sprawdził, czy czterdziestoosmioletni Kane nie kłamał. Jedno było bezsporne — jak do tej pory z Kane'm nikt jeszcze nie wygrał.

O godzinie ósmej rano Neil Kane zjawił się na Cowley Lane przed domem Hannah. Nie przybył sam. Towarzyszyły mu cztery radiowozy wypełnione po brzegi funkcjonariuszami policji stańowej i karetka więzienna o kuloodpornych szybach.

— Jest ten cholerny nakaz — powiedział Kane po krótkim przywitaniu. — Trzymaj i niech cię diabli. Człowieku, czy ty mnie zawsze musisz wkozać w tarapaty? — Podał mu kartkę formularza. — Czy wiesz, o kogo oparła się cała afera? Lepiej nie mówić. Grunt, że już jest. Nadal chcesz z nim jechać? — spytał patrząc na Pulverina.

Hannah skinął głową. Najważniejszy etap został za sobą — Capo został aresztowany, a resztą

zajmie się Kane. Jemu wierzył. Proces odbędzie się. Chciał teraz dokończyć dzieła. Wciąż jednak nie potrafił wyzbyć się uczucia dręczącej go niepewności, że jeszcze może zdażyć się coś złego, coś, czego nie przewidział.

Przebiegł wzrokiem nakaz, zbliżył się do Pulverina i poprosił go, by wstał. Wtedy odczytał mu pismo i dodał odpowiednie formułki. Przedstawienie skończone. Oczekiwała ich tylko droga do Rhinebeck, 55 mil, które mieli przebyć policyjnym helikopterem, a później wprowadzenie aresztowanego do specjalnie dla niego przygotowanej celi.

— Od pewnego czasu nie wierzę policji, Neil — rzekł Hannah z uśmiechem. — Dobrze, że wzięłeś tych najpewniejszych. Tak, pojedę z nim.

Kane popatrzył na ludzi Hannah.

— Twoja czwórka znów w komplecie, co? Aha, masz pozdrowienia od starego Reginalda.

— Od Price'a? Żartujesz chyba. Myślałem, że już nie pracuje dla FBI.

— Nie jest tak źle. Price ma swoje wady, ale trzeba go umieć podejść. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że pan Pulverino jeszcze aż tak wysoko nie dotarł...

Stojący obok Capo odwrócił oczy.

— No, dobrze... — ciągnął dalej Kane. — W takim razie możemy startować.

O 8.15 sprzed furtki ogrodu Hannah wyruszyła kawalkada pięciu samochodów. Hatton skuł się kajdankami z Pulverinem i trzymał na wierzchu gotową do strzału broń. Hannah i Kane jechali w pierwszym radiowozie poprzedzającym więzienną karetkę. Bowler z Jonesem w drugim, a Moore zajął fotel tuż obok kierowcy ambulansu. Dwa pozostałe wozy torowały drogę.

Podczas przejazdu na Manhattan nie zdarzyło

się absolutnie nic. Nie byli śledzeni, nie utknęli w tunelu Lincolna i dość szybko znaleźli się przed wieżami World Trade Center.

Tak jak mówił Kane, oba budynki obstawiła policja. Karetka zjechała w dół do garażu i zatrzymała się tuż przy szerokich drzwiach szybkobieżnej windy. Hatton, Moore, Jones i Bowler sprawdzili pobieżnie jej wnętrze, po czym Bowler wszedł do środka i sam udał się na górę, aby upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Wrócił po czterech minutach cały i zdrowy. Wprowadzili do kabiny Pulverina i w szóstkę udali się na dach drapacza chmur. Tam, na Downtown Heliport, skąd rozciągała się fantastyczna panorama Nowego Jorku, czekał już helikopter.

Downtown Heliport oddaje miastu nieocenione usługi. Tutaj mieści się baza napowietrznych taksówek, skąd każdy żądny przeżyć turysta może za trzydzieści dolarów odbyć niezapomniany przelot nad metropolią. Dzisiaj zamkniętą dla normalnego ruchu płytę lądowiska otoczyli mundurowi i oprócz maszyny, którą mieli lecieć, stały tam tylko jakieś dwa cywilne helikoptery bez obsługi.

Pilot otworzył przeszklone drzwi i zajęli miejsca. Kane popatrzył jeszcze na daleki Battery Park i wszedł również. Na kwadracie dachu pozostał jedynie Hannah i policja obstawy...

Nie wiadomo dlaczego Hannah doznał nagle niejasnego wrażenia rosnącej nerwowości. Coś takiego ogarniało go rzadko i nigdy nie umiał oprzeć się owemu niezwykle, pełnemu napięcia odczuciu. Potoczył wzrokiem po kamiennych twarzach stojących przy barierkach funkcjonariuszy, wzruszył ramionami i chwycił poręczę drabinki helikoptera. Znalazł się w środku i zatrzasnął za sobą drzwi.

Jęknął hydrauliczny rozrusznik... Łopaty wirni-

ka zaczęły obracać się najpierw wolno, a potem coraz prędzej wraz z ogłuszającym łoskotem wału napędowego. Pilot ujął mocniej drążek i odwrócił się do tyłu, by sprawdzić, czy pasażerowie siedzą wygodnie.

— Niech pan zaczeka, mój płaszcz! — krzyknął nagle Hannah, próbując wyszarpnąć poję z za plek-siglasowej ścianki. — Zaczekaj pan! — powtórzył głośnie, pomagając sobie gestem, gdyż pilot wyraźnie nie zrozumiał ani słowa wśród huku wypełniającego kabinę. Zauważył jednak przycięty prochowiec i hałas nieco zelżał.

Hannah odsunął drzwi, wy dostał materiał z pułapki i popatrzył na ziemię. Znajome napięcie znowu wzrosło i poczuł, że musi coś zrobić. Nim zdążył pomyśleć, wbrew zdrowemu rozsądkowi i wszelkiej logice zeskoczył na beton i dał znak pilotowi, by wyłączył silnik. Zapalił papierosa i podszedł do barierki okalającej dach.

Policjanci już zeszli z posterunku i na Downtown Heliport nie było nikogo oprócz nich. Zaciągając się dymem patrzył na Liberty Island i bryłę Statuy Wolności.

— Co ci jest, Richard? — usłyszał głos Kane'a.

Do portu wpływał jakiś frachtowiec pchany przez dwa małe holowniki. Na tej wysokości panowała prawie idealna cisza.

— Zmiana planu — odpowiedział. — Nie pytaj dlaczego, Neil, ale polecimy tamtym — wskazał na cywilną maszynę noszącą oznakowania Ny 43. — Przesiadka, OK?

Kane kiwnął głową. Pytania na nic się tu nie zdadzą. Przynajmniej teraz. Wrócił do policyjnego śmigłowca i zaklął.

— Szef zmienił zamiar, panowie, przenosimy się do taksówki. Szybko, czekają na nas w Rhinebeck.

Pilot potrzebował kilku minut na oględziny, zanim na górze ruszył krąg wirnika. Oderwali się wolniutko od podłoża i unieśli na sześćdziesiąt jardów w górę. Drażek pochylony „od siebie” pchnął cielsko helikoptera do przodu. Przeźroczysty dziób obrócił się wokół osi i znaleźli się na trasie.

— O co chodzi, Richard? — spytał Moore zbliżając usta do ucha Hannah.

Ten nie odpowiedział. Patrzył na dół. Tarasowate lądowisko oddalało się coraz bardziej i coraz szybciej. W pewnej chwili zauważył, jak z pozostawionej przez nich policyjnej maszyny poczęły wydobywać się kłęby czarnego, smolistego dymu. Zamigotał żółty płomień, który błyskawicznie ogarniał wązkowaty korpus i dążył w kierunku ogona. Później nastąpiła krótka, silna eksplozja i szczerńnię szczątki pokryły dach World Trade Center.

Pulverino zemdłał.

Do Rhinebeck State Prison przybyli o 10.15. Spóźnili się tylko o kwadrans.

Rozdział II

1

Washington, 10 lipca, godzina 16.00

Od kwietnia, kiedy był tutaj ostatnim razem, Downtown Hills zmieniły się nie do poznania. Pokryły się kwiatami, zazieleniły liśćmi krzewów i małych drzewek. W powietrzu unosił się aromat pełni lata.

Przez trzy miesiące tkwiła w jego pamięci ta dziewczyna. Jej postać pochylona nad obrazem, zapach przypadkowo zaplątanych włosów, które odgarniał ze swej twarzy, rozmowy o niczym, obiad... Trzy miesiące temu wsadził Pulverina do aresztu i myślał, że w nawale pracy zapomni...

Dolecieli wtedy do Rhinebeck kwadrans po dziesiątej i natychmiast zamknęli Capo w celi numer 27. Na polecenie prokuratora dyrektor więzienia opróżnił uprzednio całe drugie piętro, zakazując tam wstępu wszystkim, którzy nie mieli osobistej zgody Hannah lub Kane'a na wejście. W celi numer 27 dzień i noc czuwał przy Pulverinie Hatton, posiadający tym razem oficjalną zgodę FBI na chwilową współpracę z biurem. Nie spuszczał z aresztanta oczu, nawet podczas jego rozmowy z adwokatami. Jedzenie przed spożyciem było chemicznie sprawdzane w laboratorium, by uniknąć prób otrucia. Codziennie o godzinie siódmej rano Hatton telefoniował do Kane'a lub Hannah i powiadamiał ich o sytuacji. Zabroniono Pulverinowi wszelkich odwiedzin i kontaktów, poza niezbędnymi wizytami pracowników. Dzień procesu wyznaczono początkowo na

dziewiątego lipca, lecz później przesunięto na dwudziestego ósmego. Jakoby z przyczyn proceduralnych. Do tego czasu Pulverino miał przebywać w odosobnieniu, a jego starania o zwolnienie za kaucją legły w gruzach dzięki Kane'owi...

Tenisówki nie czyniły żadnego hałasu, gdy stał po miękkim piasku. Usłyszał tę samą piosenkę.

Siedziała tak jak wtedy, na małym krzeselku przed sztalugami i malowała. Patrzył na nią. Nosiła białą bluzkę, niebieskie szorty, na nogach miała korkowe sandały. Jasne włosy rozwiewane lekkim wiatrem i rozrzucone na plecach lśniły miodowym blaskiem w promieniach słońca. Duże oczy śledziły ruch pędzla i nie odrywały się ani na chwilę od obrazu.

Stał i gapił się na nią. Podwójna szkocka, którą wypił w samochodzie, dawała mu złudne poczucie bezpieczeństwa. Pulverino, bieżące sprawy, mafia zdawały się teraz tak nierzeczywiste jak zły sen. Zniknęły gdzieś w oddali i istniała jedynie ta dziewczyna przy sztalugach.

— Cześć, Richard — zauważyła go Sheila. — Co za spotkanie! Cieszę się, że cię widzę. Nie przywitasz się ze mną?

Wysunął się na polankę i zrobił kilka kroków w jej kierunku.

— Stęskniłem się za tobą, Sheila — powiedział cicho i niezdarne. — Dlaczego nie zadzwoniłaś? Czekałem.

Zarumieniała się i popatrzyła na swój malunek.

— Podoba ci się? — spytała z uśmiechem.

— Piękny.

Odpięła uchwyty i zdjęła akwarelę ze sztalug.

— Proszę, to upominek ode mnie. Na pamiątkę.

Wziął do ręki sztywny karton i nie wiedział, co powiedzieć.

— Nie podoba ci się?
— Jest piękny, naprawdę piękny.
— Nawet mi nie podziękowałeś. Co ci jest? No, podziękuj mi.

— Dziękuję, Sheila, bardzo.

— Nie tak, głuptasie, pocałuj mnie.

Stała wyprostowana z lekko rozchylonymi ustami, gdy podszedł do niej. Całowała delikatnie i bynajmniej nie było to przyjacielskie cmoknięcie w policzek.

Po dwudziestominutowej jeździe znaleźli się w jej mieszkaniu.

— Usiądź i czuj się jak u siebie w domu — powiedziała, kiedy weszli do living-roomu. — Przyniosę ci drinka. Za sekundę jestem z powrotem.

Nie było jej dłużej niż sekundę i Hannah przechadzał się po pokoju z papierosem w ręku. Gdy wróciła, zrozumiał, dlaczego zniknęła na dziesięć minut. Przebrała się w prostą, białą sukienkę. Dał jej dziesiątkę za dobry gust.

Przyniosła tacę z kanapkami i paroma butelkami. Usiadła przy stole i uśmiechnęła się.

— Na co czekasz? Wypij i zjedz coś. Jeśli będzie za mało, mam pełno jedzenia w lodówce.

Nalał sobie dużą szklanekę whisky i zaczął zastanawiać się, jak wróci do domu po takiej ilości alkoholu. Ona piła jakiś sok i przypatrywała się Hannahowi.

— Wiesz, nie powiedziałaś mi nawet, gdzie pracujesz, Richard.

— Ty też nie — odrzekł myśląc, że za chwilę nastąpi koniec miłego spotkania. Rzadko kto przepada za policją.

— O Boże, żadna tajemnica. Jestem ekspertem Pentagonu do spraw bezpieczeństwa lotów kosmicznych. Hannah zakrztusił się kanapką.

— Kim? — wyszeptał ochryple, przełykając kawałek szynki. — Byłem pewien, że zatrudniają tam wyłącznie mężczyzn.

Roześmiała się.

— Złe mnie rozumiałeś, ja nie biegam z pistoletem po polu startowym. Skończyłam fizykę i astrofizykę, a później w NASA zwolnił się etat w dozorcze technicznym. Na razie nie robię nic szczególnie ciekawego. Coś w rodzaju praktyki. Przeszłam przez wszystkie oddziały, a teraz tkwię po uszy właśnie w Sekcji Bezpieczeństwa. Mówią, że nawet dobrze mi idzie — dodała nie bez dumy. — Czternastego mamy start, słyszałeś?

Kiwnął głową.

— Zazdroszczę ci — powiedział. — Zawsze chciałem zostać astronautą. Na razie mi to nie grozi.

— Naśmiewasz się ze mnie. Zjedz jeszcze kanapkę — podsunęła tacę. — A ty, co robisz?

— No cóż, jakby ci... — zaczął, szukając nerwowo zapalniczki. — Więc, pracuję, to znaczy...

— Jesteś policjantem, Richard — stwierdziła nagle Sheila.

Zamarł w pół gestu.

— Dziwisz się? — patrzyła mu prosto w oczy. — Wszystkie gazety o tym pisały. Mam tutaj twoje zdjęcia. „Hannah z FBI i Capo Tutti Capi Pulverino”. Jesteś sławny, Richard. Teraz już wiesz, dlaczego chciałam, abyś mnie wtedy pocałował.

— To... To dlatego? — wyjąkał niezgrabnie.

Parsknęła śmiechem.

— Mój Boże i to jest ten nieustraszony pogromca przestępczego świata! Powiedz, czy wszyscy, którzy na co dzień szaleją wśród ognia karabinów maszynowych, zachowują się tak nieśmiało w stosunku do kobiet?

— Nie wiem.

— Bardzo cię lubię, Richard, naprawdę. I bardzo mi cię brakowało po tamtym spotkaniu. Dobrze, że jesteś — powiedziała poważnie.

Okoła dziewiętnastej pojechali na obiad do Andreeasa. Była to mała grecka restauracja, w której ściany wbudowano akwaria wypełnione egzotycznymi rybkami. Do tego pluszowe fotele, blask świec i przyjemny półmrok salki.

Andreas, gruby, wesoły właściciel, podawał im osobiście do stołu. Powiedział, że wie, co im będzie smakowało i nie zadawszy żadnego pytania zaczął od znakomitej fasolówki. Później zaserwował pieczeń z zółwia i szparagi. Zakończyli deserem — mocną kawą i dwoma kieliszkami koniaku.

Jedli i rozmawiali. Potem Hannah nie potrafił sobie przypomnieć o czym. Pamiętał tylko, że Sheila była wspaniałym słuchaczem i że podczas posiłku ani przez chwilę nie panowała przy stole cisza.

O jedenastej wieczorem odwiózł ją do domu.

— Szkoda, że już idziesz — powiedział, gdy znaleźli się przed drzwiami mieszkania.

Sheila milczała.

— Zadzwonisz? — spytał.

— Zadzwonię, Richard.

Hannah pocałował ją mocno w usta i odwrócił się ku schodom.

— Richard! — zawołała za nim.

— Tak?

— Zostań ze mną. Na śniadanie zrobię ci pyszne grzanki. Lubisz?

New York City, 12 lipca, godzina 11.00

Trzy miesiące wystarczyły, aby amerykańska Cosa Nostra poczęła odczuwać pierwsze, poważne oznaki wewnętrznego rozkładu. Syndykat pozbawiony dostępu do dokumentacji, do centralnej kartoteki, bez wsparcia wspólnej kasy, zachwiał się w niezniszczalnych dotychczas osadach. Poszczególne Rodziny coraz częściej popadały w lokalne konflikty, gdyż nie istniało odgórne prawo, któremu przedtem oddawały do rozstrzygnięcia swe racje.

Don Ferriano nie miał tytułu Capo Tutti Capi i tym samym nie posiadał władzy. Mafia ma święte, zachowane przez całe wieki zasady, a te mówiły, iż tylko ten, kto otrzymał błogosławieństwo od ustępującego wodza, może objąć ster organizacji. Mimo upływu czasu i dwudziestowiecznej cywilizacji, „przyjaciele przyjaciół” dochowali wierności tradycji. Ferriano zdawał sobie sprawę z sytuacji. Jego Rodzina w Nevadzie nie była dostatecznie silna, by przemocą opanować anarchię. Nawet jeśli udałoby się mu sprzymierzyć z innymi, byłiby i tak w mniejszości. Większość bowiem, zaślepiona iluzją bezkarności, wolała działać na własny rachunek. Widział to jak na dłoni i posiadał niezaprzeczalne dowody. Sala, gdzie zwołał kolejny zjazd, świeciła pustkami. Przybyli tylko nieliczni.

— Niestety spadło na nasze Rodziny — mówił siedząc za stołem. — Nie słuchają już głosu sumienia, nie kontrolują się, nie pragną zmobilizować sił dla dobra jedności. Wiecie dobrze, że struktury pękają, że co chwila wybuchają bratobójcze wojny między tymi, którzy jeszcze nie tak dawno jawili się wspaniałymi przyjaciółmi. Na poprzednim zebraniu

podjęliśmy zobowiązania. Nic z nich nie wyszło. Dlaczego, don Garzia?

Nowojorczyk wstał i potoczył wzrokiem po sali.

— Dostosowałem się do zaleceń Rady, don Ferriano. Nie ma tu mojej winy, wierzcie mi. Robiłem, co mogłem. Wszystkie próby zostały udaremnione i w tej chwili nie istnieją żadne szanse, by dotrzeć do don Pulverina. Jest zbyt dobrze strzeżony przez Hannaha i jego ludzi. Poświęciłem najlepszych, a kilku z nich nie wróci już nigdy do swych żon i dzieci — zakończył.

Don Ferriano skinął głową.

— Wierzymy ci, don Garzia. Mnie również zupełnie się powiodło. Być może, gdybym miał dostęp do naszych list... Jedyne, co osiągnąłem, to przesunięcie w czasie procesu don Pulverina. Niezłazęście oddaliło się jedynie, nie zniknęło. Jeśli dojdzie do rozprawy, don Pulverino nie oszczędzi nikogo. On, niestety, podtrzymuje swą decyzję.

Sala milczała.

— Pozostaje nam jedno, przyjaciele — mówił dalej. — Jeżeli nieskuteczne okazały się próby don Garzi, bezsensowne są jekielkolwiek poczynania zmierzające do zlikwidowania Pulverina. Wierzę Garzi, on jest najlepszy z nas wszystkich. Nie udało się, trudno. Zapytam was teraz, tych nielicznych, którzy okazali się rozumni i przewidujący. Co możemy zrobić, by uniknąć klęski? Odpowiedzcie, a może znajdziemy radę.

Nikt nie zabrał głosu.

— Don Cappucini? — pytał Ferriano.

Don Cappucini pokręcił smutno głową.

— A ty, don Marco?

Stallone poszedł w ślady Cappucinięgo.

— Nikt nie chce mówić... Tego się spodziewałem, przyjaciele, i nie śmiem was oskarżać o bezmyśl-

ność, gdyż do niedawna sam nie miałem pojęcia, co robić.

— Czy to oznacza, że teraz już wiesz, don Ferriano? — spytał Garzia.

Ferriano pił wodę dużymi łykami.

— Syndykat — zaczął, gdy opróżnił szklanke — znalazł się w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Po raz pierwszy w historii jesteśmy w sytuacji, kiedy ciosy nas mogą dosięgnąć z dwóch stron: ze strony ludzi, których opłacamy, a którzy poczuli się nagle bezpieczni w anonimowości, i ze strony naszego Capo Tutti Capi, co jest nieszczęściem bez miary. W takiej sytuacji, przyjaciele, mafia musi się bronić. Aby się bronić, musi posunąć się do ostateczności.

3

Washington, 13 lipca, godzina 8.00

Hannah obudził się z potwornym bólem głowy. Poranny kac jest rzeczą straszną, zwłaszcza gdy ma się przed sobą cały dzień bieganiny, bezsensownych rozmów i zebrań.

Wczoraj spotkał znajome małżeństwo Cardów, którzy zaprosili go na oblewanie urodzin ich pierwszego dziecka. Spił się na smutno i nie bardzo wiedząc jakim sposobem, znalazł się w swoim mieszkaniu o drugiej nad ranem. Nie miał w dodatku pojęcia, co dzieje się z Sheilą. Telefonowała dwa dni temu, a później znów gdzieś zniknęła bez słowa pożegnania.

W kuchni zrobił kawę, zapalił papierosa. Wypalił go do połowy i ze wstrętem odrzucił. Kawa mu smakowała. Siedział bezmyślnie przez dobry kwadrans, wreszcie podniósł się ciężko i ruszył do drzwi po poranną pocztę.

Wyjął ze skrzynki kilka listów, stos rachunków, które zaraz odłożył do szuflady, by o nich zapomnieć, i szarą kopertę bez adresu zwrotnego. Popatrzył na stempel, ale go nie było. Nie było również znaczka. Wszedł do pokoju i położył przesyłkę na stoliku. Nożyczkami przeciął papier. Zajrzał do środka. Wewnątrz znalazł kasetę magnetofonową i nic więcej. Otworzył podręcznego philipsa, wsunął taśmę i przycisnął guziczek „play”.

Kilkanaście minut później, Hannah, zupełnie już trzeźwy, podniósł słuchawkę telefonu.

— Przepraszam, że cię budzę, Neil... Co? Nie spałeś? Dobrze. Posłuchaj mnie, dostałem dzisiaj dziwną przesyłkę. O nic nie pytaj, Neil... Nie, nic konkretnego nie powiem. Musisz natychmiast skontaktować się z doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego... Nie, nie zwariowałem... To nie żarty. Nie żartuję o ósmej rano... Tak, chcę się z nim spotkać. Jak najszybciej. Koniecznie dzisiaj... Stań na głowie i umów mnie. Znasz go przecież, do diabła. Jeszcze kilka dni temu żłopałeś z nim koniak... Co? Tak, jak najszybciej. Powiedz mu, że chodzi o „Atlantisa”... Tak, o „Atlantisa”. Cześć.

„...Nie zabiorę wam dużo czasu przyjaciele. Powiem krótko i proszę, byście mnie z uwagą wysłuchali. Dobrze wiecie, czym jest prom kosmiczny (niezrozumiały szmer głosów) Tak... Otóż z czterdziestu lotów planowanych do końca 1989 roku dwie trzecie to misje militarne i ładownie wypełnione będą wówczas sprzętem Pentagonu. Pentagon skompletował też swoją własną bazę w Vandenberg, w Kalifornii, i stamtąd chce wysyłać w przestrzeń stacje orbitalne, których trasa, przebiegająca ponad biegunami, pozwoli zintensyfikować działalność wywiadowczą. W przeciągu dwóch następnych

lat promy stanowiąc będą główną podstawę rozwoju potęgi wojennej Ameryki. Jak dobrze wiecie, USA ma już na orbicie broń laserową. Wprowadzono też w kosmos coś, co Pentagon nazwał „kamikaze”. Jest to rodzaj satelity, który samoczynnie zbliża się do obcych pocisków i eksploduje. Nie jest jednak prawdopodobne, by promy kosmiczne angażowały się bezpośrednio w walkę, tak twierdzą specjaliści. Są one jakby stawiaczami min, wynoszącymi w przestrzeń różnego rodzaju broń. Oto ich rola i zadanie (trzask, odgłosy przesuwania). Czternastego lipca, przyjaciele, czyli już pojutrze, nastąpi dla Pentagonu wielki dzień. Dzięki wiernym nam ludziom posiadamy cenne i pilnie strzeżone informacje, które nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego. Czternastego lipca z przylądka Cape Canaveral wystartuje „Atlantis”. Oficjalnie jest to misja naukowa, lecz my wiemy, iż tak nie jest. W ładowniach spoczywa bowiem sprzęt niezwykle cenny dla Ministerstwa Obrony. Nie znam szczegółów, ale nasza przyjaciółka Jay zaraz je nam przedstawi.

To co powiem (trzask, ledwie czytelny głos kobiety), musi pozostać między nami. W przeciwnym wypadku nie uda nam się dojść do niczego. Znajduje się tam korpus uzbrojonego satelity (szmer, trzask...) w głowicy nuklearnej. Satelita jest częścią programu pod kryptonimem „Teal Ruby” i może, w zależności od orbity, stanowić tak broń ofensywną, jak i defensywną, „Atlantis” umieści go na trajektorii defensywnej, to jest stacjonarnej, i powróci na ziemię. Odpalenie ładunku może nastąpić na rozkaz z promu lub z bazy. Pentagon posiada tylko cztery załogi zdolne przeprowadzić lot. Dwie w Kalifornii oraz dwie na Florydzie. W sumie ośmiu ludzi, którzy przeszło specjalne przeszkolenie. Pamiętajmy, że to pierwszy krok „Teal Ruby”. Pozostali astronauty

przewidują rozmieszczenie w przestrzeni serii obiektów zdolnych do rażenia celów naziemnych... (trzask, zmiana głosu na męski). Jaki ma to związek z naszą sprawą? (znów głos, który rozpoczynał nagranie). Jak uprzednio powiedziałem, zastanawialiśmy się długo, czym właściwie dysponujemy. Czy znajduje się w naszych rękach coś takiego, co zmusiłoby rząd do wydania nam Pulverina? Otóż nie, jeszcze nie (trzask, zmiana głosu na kobiecy). Mamy wśród ośmiu astronautów swojego człowieka. Ojciec jego jest nam winien pieniądze. Termin płatności minął i syn robi, co zdecydujemy. Jest bezwolny i miękki. Gdyby jednak odmówił, chociaż nie przypuszczam, możemy zaopiekować się jego żoną i dzieckiem. W ostateczności. Pozostaje jeszcze kwestia drugiego astronauty, ale nie sądzę, by pojawiły się trudności... Nie będzie o niczym wiedział, a na orbicie nasz człowiek już go zmusi do posłuszeństwa. Nic na chybcika, wszystko jest przygotowane. A więc zamierzamy... (nagranie przerwane, trzaski)... Tak, ta ostateczność to porwanie »Atlantisa«' (koniec taśmy).

Hannah wyłączył magnetofon i popatrzył na Malcolma. Doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa narodowego drżącymi rękami przypalał papierosa, zerkając od czasu do czasu to na Kane'a to na niego.

Była godzina 10.00. Neil Kane rzeczywiście znał Malcolma i w ciągu dwóch godzin załatwił spotkanie. Malcolm nigdy przedtem nie widywał się z nim na gruncie służbowym. Zaalarmowany telefonem adwokata zmienił rozkład dnia i przyjmował ich teraz w swoim gabinecie w zachodnim Skrzydle Białego Domu.

— Co to znaczy? — spytał po chwili ciszy.
— Kane, odpowiedz, na litość Boską! Jakiś ka

wał? Jeśli kawał, to w nie najlepszym stylu, Kane.

Prokurator skinął głową w stronę Hannah, a ten dokładnie opowiedział Malcolmowi historię Pulverina.

— Chryste Panie!!! — Malcolm wstał, podszedł do barku w rogu pokoju i nalał trzy kieliszki. — Nie do wiary... Nie mogę uwierzyć, że banda zwykłych przestępców porwie się na... Ludzie! Przecież oni są wyraźnie nienormalni! — wybuchnął z purpurową twarzą. — Jak można...

— Mafia nie jest grupą zwykłych przestępców, Nick. Nie wolno ich lekceważyć — przerwał Kane.

— A skąd pan wie, panie Hannah, że to nie dowcip? Głupi dowcip jakiegoś z pańskich kolegów. Niech pan odpowie, Hannah, no?

Hannah usiadł wygodniej w fotelu. Poranny kac nie ustępował i miał w tym momencie ochotę na szklankę zwykłej wody.

— Po pierwsze, nikt nie znał detali operacji „Atlantis”. Prasa donosi wyłącznie o kolejnej misji naukowej. Po drugie, te informacje, jeżeli są ścisłe, oznaczałyby, iż ludzie Cosa Nostry posiadają dostęp do najtajniejszych planów Pentagonu. Nie przypuszczam bowiem, aby Pentagon wprowadzał w sprawę „top secret” byle kogo. Po trzecie, prowadzę komórkę C-3 FBI i wydaje mi się, że pracuję nieźle. Niech pan sobie wyobrazi, że rozpoznałem na taśmie pewien głos. Głos człowieka, z którym kilka razy miałem do czynienia.

— Czyj? — rzucił nerwowo Malcolm.

Hannah sięgnął po papierosa. Przypalił go i zaciągnął się dymem.

— Głos Franka Ferriana.

Malcolm wypił duszkiem koniak i usiadł za biurkiem.

— Tego samego Ferriana, który...

— Tego samego Ferriana, który zrobił kiedyś jatkę w Las Vegas — dokończył za niego Hannah. — Jednak pan pamięta, prawda? Widocznie wybrali go na tymczasowego zastępcę Pulverina. Widzi pan, Cosa Nostra upada, rozłazi się w szwach i dopóki ich Capo siedzi w Rhinebeck, dopóty oni nie zazną spokoju. Dlatego Frank Ferriano obmyślił plan. Plan rzeczywiście diabelski.

— A inni ludzie? Poznał ich pan?

— Taśma jest nagrana po amatorsku. Jakaś kobieta... — zawahał się. — Prawie jej nie słyhać. Prawdopodobnie mikrofon był gdzieś pod ubraniem... Ale głosu Ferriana jestem zupełnie pewien.

— Ale dlaczego podrzucili kasetę właśnie panu? Nie pojmuję.

— Proste. O aferze Pulverina pisała codzienna prasa. Ot, kolejna sensacja. Pojawiło się tam moje nazwisko, zdjęcia i tak dalej. Myślę, że ktoś z nich zdradził.

— Z prasy?

— Nie, wracam do taśmy. Wygląda, jakby nagranie zrobiono w czasie narady czy spotkania. Ktoś zdradził, nie mam zielonego pojęcia kto i dlaczego. Wciąż mają swoje wewnętrzne porachunki. Przepraszam, czy dostanę szklankę zimnej wody? — spytał z trudem przelitykając ślinę.

— Co teraz zrobisz, Malcolm? — odezwał się Kane. Doradca podał Hannahowi butelkę toniku.

— Boże, co za galimatias... Co zrobię? — Ocknął się z zadumy. — Jak to co? Natychmiast powiadomię prezydenta.

Washington, 13 lipca, godzina 12.00

Siedem miesięcy prezydentury Norberta Dillona upłynęło dość bezboleśnie. Było to zapewne zasługą następcy Bakera, jak myślała większość Amerykanów nie zdająca sobie sprawy z rozgrywek zakulisowych. Potrafił on w znacznym stopniu przywrócić zaufanie wyborców do Białego Domu, chociaż otaczała go stara Bakerowska ekipa z Hughesem, Fallem i Hardingiem, a nad wszystkimi czuwał niewidoczny Mellon.

Po śmierci Bakera wyciągnięto z zanadru jego brudne sprawki i rzucono na żer prasie, która zachłystywała się szczegółami skrytobójczych zamachów na przywódców afrykańskich, aferami łapówkowymi, przekupstwami i szantażem. Sto procent winy zrzucono na zmarłego prezydenta, w rezultacie czego Norbert Dillon pojawił się na politycznym firmamencie Stanów Zjednoczonych czysty jak łąza. Był prezydentem głęboko religijnym i naród w niego wierzył.

Dillon głosił, że należy żyć i rządzić po bożemu. Organicznie nie znosił krytyki i słuchał, gdyż musiał słuchać, tylko Mellona. O tym jednak nie wiedział nikt.

Po dwóch godzinach oczekiwania Hannah i Kane znaleźli się w Oval Office, w gabinecie prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zastali tam kilka osób zwołanych na nadzwyczajne zebranie. Nick Malcolm dokonał prezentacji. Na Dillona oczekiwali: Reginald Price, dyrektor FBI, generał Sheenan z Pentagonu, Brian Hatcher, dyrektor NASA, i Albert Conn, dyrektor CIA. Oprócz Price'a, Hannah nie znał osobiście nikogo. Kane był w o wiele lepszej

sytuacji. Z Connem grywał w golfa, z Hatcherem korespondował, a parę lat temu syn Sheenana odbywał praktykę w jego kancelarii adwokackiej w Waszyngtonie.

Punktualnie o godzinie 12.00 do gabinetu wszedł Dillon. Uścisnął ręce przybyłym i zasiadł za dużym, rzeźbionym biurkiem. Na honorowym miejscu po jego prawej stronie stała flaga Stanów Zjednoczonych Ameryki, a po lewej flaga prezydencka.

Nick Malcolm uruchomił magnetofon. Wyłączył go po kilkunastu minutach. Na życzenie Dillona puścił taśmę jeszcze raz, później po raz trzeci. Po czwartym przesłuchaniu magnetofon wyłączono i w gabinecie zapadła martwa cisza.

— Panowie — zaczął prezydent — znam tło sprawy i uważam, że nie należy jej lekceważyć. Proponuję odwołać start, ewentualnie przesunąć go do czasu wyjaśnienia sprawy. Nie możemy pozwolić, by cała administracja ośmieszyła się na samym początku kadencji. Wykluczone, zupełnie wykluczone. Pan Price, zbada problem i przedstawi nam wyniki.

Generał Sheenan wstał z fotela.

— Panie prezydencie — mówił — wydaje mi się, że powinniśmy zrobić wszystko, aby uniknąć pochopnych decyzji.

— Nie bardzo rozumiem, co ma pan na myśli, generale. To pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych atomowy szantaż.

— Tak, panie prezydencie, ale odwołanie lotu pociągnie za sobą stratę pięciu miliardów dolarów, gdyż odwołanie pierwszego startu zniweczy resztę projektu „Teal Ruby”. Nie śmiem panu doradzać, ale opinia publiczna może zaprotestować przeciwko takiemu marnotrawstwu. Wybory...

— Panie generale — przerwał mu Dillon — pozwoli pan, że sprawą wyborów zajmę się sam. Teraz nie

czas ani miejsce ku temu. Podtrzymuję swoje zdanie, pragnąłbym usłyszeć opinie panów.

— Czy można? — Conn uniósł rękę. — Myślę, że nie powinniśmy zanadto unosić się emocjami. Przyznaję, zrazu przerażała mnie perspektywa porwania. Nie mieściło mi się po prostu w głowie, aby ktoś podjął takie ryzyko. Uważam jednak, panie prezydencie, że generał Sheenan ma rację. Lot powinien odbyć się, zgodnie z planem. Podziela pańskie obawy i sądzę, że należałoby utworzyć rodzaj sztabu, którego zadaniem będzie dodatkowe zabezpieczenie misji.

— Zgadzam się z panem, Conn — przyklasnął Sheenan. — Należy wyświetlić sprawę. Start mamy jutro o 12.00. Dwadzieścia cztery godziny przy możliwościach FBI i CIA w zupełności wystarczą.

— Niech pan nas nie przecenia, panie generale — odezwał się Price. — Samą techniką nie wszystko można załatwić. Dwadzieścia cztery godziny to wcale nie tak wiele.

— Jestem za tym, aby mimo braku czasu próbować, panie prezydencie. — Conn poprawił się w fotelu. — Lepsze to niż bezczynność.

— A co pan sądzi? — Dillon zwrócił się do Hannah.

— Panie prezydencie, nie potrafię wyzbyć się myśli, że ludzie ci jednak zdolni są do porwania. Znam ich nie od dziś, pracuję kilka lat nad ich metodami i sposobem postępowania, myślenia. Oni są w stanie posunąć się do ostateczności. Czasy się zmieniają. Kiedyś szantażowali metodami znacznie prymitywniejszymi, bo wpływy ich organizacji nie sięgały tak daleko jak dzisiaj. A teraz... Cóż, podtrzymuję swoją opinię. Lot należałoby odwołać, panie prezydencie.

Dillon w milczeniu pokiwał głową.

— Dyrektor Hatcher? — spytał.

Na biurku rozległ się cichy brzęczyk telefonu. Prezydent podniósł słuchawkę.

— Tak, proszę wprowadzić — powiedział i prze-rwał połączenie. — Ktoś od pana — zwrócił się do generała.

— Uprzedzała, że się spóźni, ale ona już wie, o co chodzi — odrzekł Sheenan.

— Proszę — rzucił Dillon, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Hannah siedział twarzą do wejścia, więc nie potrzebował nawet odwracać głowy, by zobaczyć, jak do gabinetu wsunęła się bezszelestnie śliczna dziewczyna o miodowych włosach. Była to Sheila Pickard.

— Panowie — Sheenan wstał. — Panna Sheila Pickard, nasz ekspert od spraw bezpieczeństwa.

Sheila przywitała się najpierw z prezydentem, a potem z resztą zebranych. Gdy podeszła do Hannah, uśmiechnęła się i lekko ucisnęła mu dłoń.

— Więc co pan sądzi, dyrektorze? — kontynuował Dillon.

Hatcher nie widział innego rozwiązania, jak odwołanie lotu.

— Jest ratunek, jeśli można — powiedziała w ci-szy Sheila.

Wszyscy popatrzyli w jej stronę.

— Zgodnie z planami Agencji Badań i Projektów Obrony, zaakceptowanymi przez pana prezydenta, przygotowania do jutrzejszego startu trwają zarówno na Cape Canaveral, jak i w pentagońskiej Vandenberg. A może by tak po prostu zmienić bazy?

— Nie rozumiem. — Dillon patrzył na dziewczynę w napięciu. — Proszę jaśniej.

— Słusznie! Ona ma rację! — zawołał Sheenan. — Panie prezydencie, podczas naszego kwietniowego spotkania przedstawiłem panu raport. Pamięta

pan? Otóż rzeczywiście, start może zostać w każdej chwili przeniesiony z Florydy do Kalifornii. I tu, i tam mamy dublowane załogi zdolne do wykonania zadania. Na Canaveral i w Vandenberg stoją na platformach identyczne promy z identycznym wyposażeniem „Teal Ruby”. Oni wiedzą, że „Atlantis” odpali na Florydzie. Gdy zamienimy bazy, problem przestanie istnieć!

— A jeśli mają swych ludzi w obu bazach?
— zapytał Price.

— O ile pamiętam, na taśmie była mowa tylko o jednym człowieku — wtrącił Conn. — Nie sądzę, by szantażowali dwóch.

— Jeżeli tak, to czy nie można wymienić wszystkich astronautów? Byłoby po sprawie. Wymieńcie ich i już — rzucił Dillon.

— Wykluczone, panie prezydencie — pokręcił głową Sheenan. — Dysponujemy na razie tylko ósemką. W bazach są dwie pierwsze załogi po dwóch ludzi i dwie dublujące również po dwóch. Raczkuje my w „Teal Ruby”, a obsługa aparatury sterującej pociskami nuklearnymi tego typu nie jest rzeczą prostą. Tylko ta ósemka może lecieć. Nikt inny.

W gabinecie zapanowała cisza.

— O ile dobrze rozumiem, generale — zaczął Price — musimy ryzykować...

— Tak, podsumujmy więc, panowie, szkoda czasu — przerwał mu prezydent. — Mamy ośmiu ludzi, wśród których znajduje się jeden człowiek mafii. Z tego, co panowie mówicie, wnoszę, że lot musi dojść do skutku już jutro, zgadza się? Tak... Padła propozycja, by miejsce startu przenieść do Kalifornii, jak twierdzi generał Sheenan, jest to najzupełniej możliwe.

— Tak jest. Sądzę, panie dyrektorze — Sheenan zwrócił się do Price'a — że nie ponosimy wielkiego

ryzyka. Gwarantuję, że ich człowiek, zakładając iż taśma nie jest jakimś fałszywym wybrykiem, znajduje się wśród czwórki z Cape Canaveral. Nikt oprócz nas nie wie o możliwościach zmiany baz, więc on musi tam być, skoro wszyscy mówią o starcie z Florydy. Absolutnie wszyscy, dyrektorze. Panowie, przecież „Atlantis” rzeczywiście ma lecieć z Florydy! Mało tego, dopóki pan prezydent nie wyda odpowiednich poleceń, prom wystartuje właśnie stamtąd! Z Florydy! Więc gdzie jest ich człowiek, jak nie tam?

Dillon zapisał coś w notesie.

— Dobrze. Zgoda. Przenosimy się do Vandenberg — powiedział. — Panie Hannah, obejmie pan kierownictwo grupy specjalnej, która zabezpieczy „Atlantisa”. Daję panu do dyspozycji wszelkie pełnomocnictwa. Tylko jednego panu nie wolno zrobić bez porozumienia ze mną: nie ma pań prawa odwołać całej misji. O tym zdecyduję wyłącznie ja. Panna Pickard będzie współpracowała z panem z ramienia Pentagonu. Przydzielam panu samolot. Proszę udać się na Florydę i do Vandenberg celem zbadania sytuacji na miejscu. Sekretarz do spraw bezpieczeństwa powiadomi i uprzedzi bazy o pańskim przybyciu. Pytania?

— Tak, panie prezydencie, jedno. Gdybym stwierdził, że start z Vandenberg nie jest z jakichś powodów wskazany, czy możemy z powrotem wrócić na Florydę? Jakim czasem będę dysponował?

— Nieistotne, panie Hannah — wyreczył Dillona Hatcher. — Wystarczy, by powiadomił pan Centrum Kontroli Lotów w Houston, a oni załatwią resztę.

— W takim razie, panie prezydencie — mówił Hannah — chciałbym, o ile to możliwe, wprowadzić w błąd Cape Canaveral. Niech w dalszym ciągu myślą, że start nastąpi u nich. Gdybyśmy ich powiadomili o zmianie planów, mafia miałaby cień nadziei

na opanowanie Vandenberg. Niech będą do samego końca przekonani, iż są górą. Dobrze też byłoby, gdyby załoga „Atlantisa” w Vandenberg dowiedziała się o wszystkim tuż przed startem. Czy to wykonalne?

— Chyba pan przesadza, Hannah, ale zgoda. Dyrektorze, proszę kontynuować odliczanie w obu bazach i o niczym nie informować Florydy. Gdy wystartują z Vandenberg, zajmę się prasą. Trzeba im coś powiedzieć. Czy coś jeszcze?

Nikt nie zabrał głosu.

— No cóż, zatem problem rozwiązany, panowie. Start z Vandenberg o 9.00 czasu zachodnioamerykańskiego.

5

Houston, 13 lipca, godzina 12.00

Roy White obserwował pracujących ludzi. Miał za kilkanaście minut objąć najważniejszy w życiu dyżur. Wiedział o tym i z trudem opanowywał nerwy.

Sala główna Kontroli Lotów Kosmicznych leżała pod trzydziestometrową warstwą ziemi, całkowicie odseparowana od świata zewnętrznych zakłóceń. White stał na galerijce obiegającej pomieszczenie siedem metrów ponad poziomem podłogi i odciętej od stanowisk grubą taflą szkła. Patrzył na czterdzieści stołów roboczych obsadzonych specjalistami najwyższej klasy, których zadaniem było czuwanie nad bezawaryjnym funkcjonowaniem najdrobniejszego nawet podzespołu promu, kierowanie przebiegiem lotu w przestrzeni, sprowadzenie „Atlantisa” na ziemię i utrzymywanie nieustan-

nej łączności między stacjami przekaźnikowymi.

Galeryjka, gdzie znajdował się White, była jasno oświetlona mlecznymi promieniami ukrytych pod niskim sufitem żarówek. Inaczej sala. Ponieważ nie posiadała okien, dniem i nocą tonęła w bladezielnym, fosforyzującym blasku ekranów i monitorów, rozświetlona czterdziestoma punktami lampek przy konsolach. Panował tu wieczny półmrok.

Wzdłuż ścian i w poprzek pomieszczenia rozlokowano najnowocześniejszy sprzęt, jakim dysponuje współczesna technika. Kilkanaście komputerów najnowszej generacji, aparatura nadawczo-odbiorcza, niezliczone ilości czujników i najczulsze radary pełniły nieustanny dyżur. Kontrolerzy pracowali zwykle w koszulkach z krótkimi rękawami, gdyż niezależnie od pory roku panowała tutaj stale taka sama temperatura $+26,5^{\circ}\text{C}$. Temperatura wyższa lub niższa tylko o jeden stopień mogłaby zniszczyć delikatny sprzęt.

Przestrzeń wypełniał słaby, monotony szmer płynących prądów. Dawał poczucie spokoju. Był to jednak spokój pozorny. Czterdziestu ludzi pracowało w trzech grupach oznaczonych kryptonimami A-1, A-2, i A-3. Grupa pierwsza przeżywała teraz najcięższy okres. Na dwadzieścia cztery godziny przed startem „Atlantisa” pracownicy A-1 w napięciu wpatrywali się w monitory, z których nieprzerwanym potokiem wylewały się cyfry i symbole. Każda literka, każda liczba przynosiła informacje niezwyklej wagi. Gdyby, przykładowo, ekran stanowiska trzeciego wyświetlił cyfry 4536 + zamiast 4537 +, na pulpicie głównego kontrolera i na pulpicie trzecim odezwałby się przytłumionym buczeniem sygnał awarii systemu hydraulicznego podnośnika „Atlantisa”. Należałoby przerwać odliczanie i usunąć uszkodzenie, gdyż misja nie miałaby wów-

czas żadnego sensu. Zespół A-1 dublował i koordynował pracę teamów startowych w Cape Canaveral i w Vandenberg. Tam również tkwili przy konsolach ludzie, którzy odpowiadali za płynny start. Wszystkie dane przekazywano do Houston i w tej właśnie sali głównej zapadały ostateczne decyzje. Dzisiaj grupa A-1 miała szczególnie ważne i nietypowe zadanie. Podczas poprzednich lotów praca koncentrowała się tylko na jednym zespole startowym. Ponieważ jednak pentagońskie Centrum Kontroli w Colorado Springs nie funkcjonowało, Houston prowadził odliczanie symultaniczne dla Cape Canaveral i dla Vandenberg. Taka praca wymagała niezwyklej rozdzielności uwagi i odporności nerwowej.

Na ścianie sali głównej umieszczono cztery ekrany. Pierwszy z nich miał pokazać start „Atlantisa”. Kamera w Vandenberg obejmowała całą sylwetkę zespołu nośnego i orbitowego, i przekazywała obraz właśnie tutaj. Na drugim ekranie, gdy wahadłowiec znajdzie się na orbicie, ukążą się twarze astronautów i wnętrze kabiny. System łączności telewizyjnej jeszcze nie działał. Trzeci ekran był rozłożoną mapą świata, na tle której wyrysowano zaplanowaną trajektorię lotu. Wzdłuż kilkunastu skomplikowanych linii miał przesuwać się świetlny punkcik „Atlantisa”. Na mapę naniesiono także lokalizację pięćdziesięciu trzech stacji nasłuchu rozsianych po całej kuli ziemskiej. Sprawdzenie łączności między nimi a Houston było pierwszym zadaniem grupy A-3.

Grupa A-2 to Zespół Orbity. W momencie gdy prom znajdzie się tam, gdzie powinien się znaleźć, A-2 przejmie nad nim kontrolę i będzie czuwać nad misją wspomaganą przez owe pięćdziesiąt trzy stacje, dzięki którym możliwa jest łączność z kosmosem. Łączność między Houston a „Atlantisem” zostanie

bowiem nawiązana tylko wtedy, gdy „Atlantis” wejdzie w zasięg jednej czy kilku baz odbiorczych w Madrycie, Dakarze, Gabarone w Botswanie, w Santiago, w Quito, w Orroral Valley czy w australijskim Yarragadee, nie licząc kilkudziesięciu baz w USA.

Kontrolerzy A-3 nie odczuwali jeszcze takiego napięcia, jak ich koledzy z A-1. Oni rozpoczną pracę za trzydzieści cztery i pół godziny. Dzięki nim „Atlantis” powinien bezpiecznie osiąść na stałym gruncie. Grupa A-3 to Zespół Przyziemia.

Roy White przywarł twarzą do szyby. Był wewnętrznie spięty, lecz usiłował za wszelką cenę trzymać nerwy na wodzy. Gdyby ktoś, kto dobrze znał White’a, nie widział się z nim przez minione dwa tygodnie, byłby zaszokowany zmianą, jaka zaszła przez ten czas w jego zachowaniu. Przedtem pogodny i dobronuduszny, stał się nagle zamyślony i ponury. Miał czterdzieści lat. Wyglądał na pięćdziesiąt.

Zmiana ta nie uszła uwadze jego podwładnych. Keith Benty, zastępca White’a, coraz częściej przyłapywał szefa na zadumie, odrętwieniu i opryskliwości. Zastanawiał się, czy z nim nie porozmawiać. Wszystkim było wiadomo, że White popadł rok temu w poważne tarapaty finansowe, z których bezskutecznie usiłował się wyplątać. Wszyscy wiedzieli, że jego żona jest koszmarną heterą i że jedynie praca w Centrum stanowiła dla White’a ucieczkę przed domem. Nikt też nie wyrażał zbytniego zdziwienia, że White spędzał ostatnio długie godziny w opustoszałych salach ośrodka.

Roy White zszedł na dół i zajął miejsce przy swoim pulpicie. Spojrzał na zegarek. Czas zaczynać. Teraz, gdy już postanowił, nerwy go opuściły. Będzie tak, jak zaplanował. On rozpocznie pierwszy akt dramatu. Aktorami będą ludzie, którymi kierował. Ale nie tylko oni. White nie mógł przewidzieć, że

jego przedstawienie obejmie Amerykę i rozszerzy się na całą kulę ziemską. Miejscem spektaklu będzie „Atlantis”, Biały Dom i Centrum w Houston. Czas — za dwadzieścia cztery godziny.

A kim był reżyser sztuki? Roy White był głównym kontrolerem Centrum Kierowania Lotów NASA i Pentagonu.

6

Washington, 13 lipca, godzina 15.00

— Jeżeli nie odwołasz tego parszywego lotu, diabli wezmą ciebie i mnie. Ale ja nie dbam o ciebie, rozumiesz? Obchodzi mnie tylko moja własna skóra, Dillon.

Słowa te wypowiedział Andrew Mellon w Niebieskim Saloniku, gdzie prezydenci Stanów Zjednoczonych zwykli przyjmować swoich prywatnych gości. Wizytę Andrew Mellona trudno było nazwać prywatną. Mellon wciąż dzierżył tekę ministra finansów i jako minister przemawiał służbowo. Choć przyczyna jego odwiedzin daleka była od spraw fiskalnych, Dillon zmuszony został do pilnego wysłuchania słów człowieka, dzięki któremu zasiadł w Białym Domu.

Andrew Mellon miał wszelkie powody do zmartwienia i zdenerwowania. Od lat rywalizował z Cosa Nostra o wpływy w amerykańskim biznesie. Początkowo nie czuł się zagrożony, ale gdy mafia poczęła wypierać go z coraz to nowych przedsiębiorstw, grunt zaczął palić się mu pod nogami. Zmobilizował fundusze i wszczął dolarową walkę przeciwko konkurentom.

Problem polegał na tym, że o ile łatwo przycho-

dziło konkurować z grubymi rybami finansjery, o tyle coraz częściej napotykał na trudności z rozpoznaniem konkretnego przeciwnika wśród ludzi reprezentujących dona Carla Gambina. Rozmywali się gdzieś, znikali we mgle biurokracji, uniemożliwiali poczynania sprytnymi znowami na giełdzie i na Wall Street. Andrew Mellon, wspierany przez kilku innych przemysłowców, nie poddawał się. Wciąż jeszcze był na pozycjach wygranych.

Gdy nowojorska policja zatrzymała Pulverina, Mellon popadł w ekstazę. Otwierała się przed nim szansa ostatecznego zwycięstwa. Sobie tylko wiadomymi kanałami wsparł nie zdającego sobie z niczego sprawy Neila Kane'a, który w miarę szybko otrzymał nakaz aresztowania. Był nawet gotów ustanowić specjalną nagrodę dla Hannah, ale powstrzymał zapędy i skupił się na operacjach rynkowych. Dobrze wiedział, że mafia nie posiada już tak wielkiej jak kiedyś siły przebicia, że upadnie, że upłynie dużo wody w Potomacku, zanim syndykat ponownie zewrze szeregi. Do tego czasu Mellon opanuje firmy, które mu odebrano.

Toteż gdy dowiedział się o zagrożeniu misji „Atlantisa” i o szantażu, jakim znienawidzony wróg próbuje odzyskać dostęp do swej dokumentacji, nie umiał nad sobą zapanować.

— Uspokój się, Andrew, na miłość boską, uspokój się. Mówisz do prezydenta — łagodził Dillon.

W Mellona strzelił piorun.

— Kim ty jesteś?! Nikim! Nędzną kukłą, Dillon, kukłą. Ja trzymam sznurki, ja, rozumiesz? Czy nie dotarło do ciebie, że to dzięki mnie tutaj siedzisz? Przypomnij sobie Bakera. No, pamiętasz? — odwrócił się na pięcie i ruszył wokół stołu. — I nie wspominaj o żadnym Bogu. Ja też wierzę i trzymam Boga dla siebie. Skoro jesteś taki pobożny, to dlaczego,

gdy zaproponowałem ci prezydenturę, Dillon, zgodziłeś się na wszystko? Na śmierć Bakera też.

Dillon milczał. Dotychczas nie było między nimi mowy na temat sprawy Bakera. Nigdy też sam o niej nie wspominał, albo przynajmniej starał się nie wspominać. Czuł jednak, że wcześniej czy później będzie musiał stanąć twarzą w twarz z Mellonem i znieść upokorzenie. Moment ten właśnie nadszedł.

— Umówiliśmy się — monologował dalej spokojniejszy już Mellon — że ja nie wtrączę się do twojej polityki, dopóki nie poprowadzisz jej przeciwko moim wpływom. Nic od ciebie nie chcę, Dillon, i w gruncie rzeczy postępuję uczciwie. Jestem Amerykaninem, a ty masz obowiązek dbać o obywateli USA. O wszystkich obywateli, Dillon, o mnie też. A co ty robisz? Niszczysz mnie, po prostu mnie niszczysz.

— Andrew, nie przesadzaj. Przecież nic się nie dzieje. Polecilem zbadać sprawę i gwarantuję, że to fałszywy alarm.

— Słuchaj, Dillon, ja znam tych ludzi. Mają wejścia wszędzie, gdzie ich nie trzeba. A ty się temu spokojnie przyglądasz, zamiast działać. Działać, Norbert, a nie siedzieć w przytulnym gabinecie przymykając oko na najtrudniejsze.

Dillon zebrał w sobie całą odwagę i powiedział:

— Nie mogę odwołać lotu, bo Pentagon straci duże pieniądze. Jeśli straci, ja odpadnę jeszcze przed wyborami. Nie wspomnę już o niesnaskach z Ministerstwem Obrony, Andrew. Ty wtedy też przegrasz.

— Nie martw się o Pentagon. Nie zapominaj, że w „Teal Ruby” są też moje pieniądze. Duża forsa, Norbert. Ale mogę stracić znacznie więcej, gdy „Atlantis” wystartuje, rozumiesz? Żeby wygrać, trzeba umieć przegrać.

— Ale wybory...

— Wybory zostaw mnie — powiedział Mellon podchodząc bliżej. Dillon dostrzegł głębokie zmarszczki na jego starej twarzy. — Człowieku, otworzę ci nieograniczone konto na kampanię, dam ci najlepszych speców od reklamy, zrobię z ciebie bohatera narodowego. Ty masz tylko słuchać i wykonywać polecenia, Norbert. Ja nie rzucam słów na wiatr i masz na to dowody. Czy nie obiecałem ci Oval Office? Obiecałem. A gdzie teraz siedzisz?

— Posłuchaj, Andrew. — Dillon wstał, bo nie potrafił dłużej znieść widoku twarzy Mellona. — Nie mogę cofnąć decyzji. Zrozum mnie, na miłość boską. Zgodziłem się na start w obecności kilku ważnych ludzi. Mało tego, wydałem szczegółowe instrukcje. FBI rozpoczęło śledztwo, taśma jest w laboratorium. Przeanalizują każdy szczegół i prawdopodobnie coś znajdą. Nie mogę, pojmij wreszcie, że nie mogę teraz odwołać „Atlantisa”. Poza tym jeszcze raz ci powtarzam, że wygląda to na marny dowcip. Tak, na głupi kawał.

Dillon z trudem panował nad swoim głosem. Po raz pierwszy odczuł, że nienawidzi starego Mellona. Mądry po szkodzie... Powinien był zastanowić się znacznie wcześniej. Teraz płaci. Za co? Za chęć kierowania państwem? Za nieuczciwość? Zrozumiał, że płaci za siebie samego, za swoją słabość.

Mellon zapiął marynarkę i gotował się do wyjścia.

— To posłuchaj, Dillon — rzucił od drzwi. — Odmówiłeś mi dzisiaj po raz pierwszy. Nie uznaję zasady do trzech razy sztuka. Zapamiętaj to sobie, nie uznaję. Jeżeli Pulverino znajdzie się na wolności, stracisz wszystko. Nie tylko Biały Dom, ale wszystko. Przemyśl moje słowa. Stracisz wszystko.

Dillon usiadł za biurkiem i patrzył tępo w podłogę.

Baza Vandenberg, 13 lipca, godzina 15.00

Oba promy, ten na Cape Canaveral i ten w Vandenberg, wylądowane były po brzegi częściami pięćdziesięciu trzech podstawowych systemów: hydraulicznego, elektrycznego, łączności, wewnętrznej cyrkulacji wody, regeneracji atmosfery, nawigacji i innych. Każdy z systemów składał się średnio z trzystu dwudziestu podsystemów, a każdy podsystem zawierał tysiące części składowych. Razem — miliony obwodów, z których każdy trzeba było po raz setny sprawdzić tuż przed startem, pięćset sześćdziesiąt kilometrów kabli przetestowanych centymetr po centymetrze, dwa tysiące pięćset przełączników otaczających astronautów ze wszystkich stron, z sufitem włącznie, magnetofony, kamery telewizyjne, zbiorniki paliwa, zawory, anteny, grzejniki, chłodnice, pompy, zespół gaśnic przeciwpożarowych, wentylatorów i wreszcie cztery pokładowe komputery podporządkowane K-4.

Komputer nazywany K-4 podawał dane finalne. Wykonywał 325 000 operacji na sekundę. Gdyby któraś z czterech pozostałych maszyn popełniła najdrobniejszy nawet błąd w obliczeniach lub wykazała najmniejsze oznaki awarii, K-4 mógł ją zdezaktywować, przejmując wszystkie jej funkcje. K-4 koordynował też idealne zgranie całego zespołu. W czasie poprzednich startów musiano kilkakrotnie przerywać czynności odliczeniowe, gdyż najczulsze na promienie instrumenty odmawiały zgodnej współpracy. Dopuszczalne opóźnienie reakcji wynosiło czterdzieści milisekund, a maszyny odpowiadały po sześćdziesięciu. Dopiero K-4 obniżył próg do wymaganego limitu i nigdy nie dopuszczał do jego przekroczenia.

Od dziobu po rufę „Atlantis” utkano mikrofonami, wskaźnikami napięć materiałowych, czujnikami reagującymi na temperaturę, hałas, ciśnienie, wibracje i siły działające na kadłub w czasie poszczególnych faz lotu. Każdy prom zabezpieczało 45 000 sensorów i 300 „czarnych skrzynek”.

W kabinie wahadłowca znajdowały się trzy poziomy: górny, gdzie koncentrowała się większość urządzeń sterujących i kontrolujących lot, środkowym, na którym umieszczono przedziały sypialne, toaletę, kuchnię i sprzęt techniczny, oraz dolny z urządzeniami klimatyzacji. Te ostatnie utrzymywały niezmienny skład atmosfery, temperaturę i ciśnienie panujące na statku. Astronauci oddychali mieszkanką 21% tlenu i 79% azotu, temperatura wahała się w granicach od 16 do 22°C, a ciśnienie odpowiadało ciśnieniu ziemskiemu.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych powracające z przestrzeni zasobniki miały kształt trójkątny. Tuż przed wejściem w gęste warstwy atmosfery zasobnik odwracał się ku ziemi zaokrąglonym spodem i spód ten pochłaniał całe gorąco, jakie się wytwarzało w rezultacie tarcia. Materiał ochronny ulegał wypaleniu, a astronauci nie odczuwali większych skutków cieplnych. Później kapsuły opadały do oceanu na spadochronach i były wylawiane przez oczekujące tam okręty. Zniszczone pojemniki nie nadawały się do ponownego startu.

Warstwa ochronna, jaką stosowano w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zwiększałaby ciężar promu trzykrotnie. Co więcej, cała zewnętrzna powłoka statku musiałaby być każdorazowo wymieniana. Ponieważ NASA planowała mniej więcej stokrotne wykorzystanie każdego promu bez żadnych remontów kapitalnych, jedyną drogą wyjś-

cia stała się zupełnie nowa koncepcja pancerza ciepłego.

Inżynierowie wysunęli pomysł, by zastosować płytki czystego silikonu o różnej gęstości. Wytrzymały one temperatury rzędu 1648°C i gdyby któraś odpadła podczas lotu, można było ją łatwo zastąpić inną.

Pomysł przeszedł i 70% powierzchni „Atlantisa” pokryło 30 000 takich płytek. Każda z nich została dokładnie dopasowana kształtem i grubością do tego wycinka kadłuba, jaki zabezpieczała. Jej położenie zatem nie mogło ulec dowolnej zmianie. Każda posiadała swój numer katalogowy i rejestracyjny, każdą przyklejano ręcznie, a później testowano odporność na zerwanie. Jedna płytka kosztowała sześćset dolarów.

Zarówno w Vandenberg, jak i na Cape Canaveral przystąpiono do rutynowych czynności przedstartowych. Wskazówki zegarów kontrolnych rozpoczęły szaleńczy bieg odmierzając godziny, minuty i sekundy dzielące statki od oderwania się od betonowych platform. Zespoły ludzi kierujących przygotowaniem śledziły monitory kontrolne, sto dwadzieścia minut temu zakończono napełnianie głównego zbiornika paliwem ciekłym i sprawdzono połączenia i synchronizację boosterów na paliwo stałe.

Cecil Robinson i Robert Crippen nie wiedzieli jeszcze, że polecą. Byli wciąż spokojni i opanowani. Tysiące godzin w symulatorach i dwa loty w kosmos awansowały ich na weteranów. Stanowili pierwszą załogę „Atlantisa” w Vandenberg Air Force Base w Kalifornii. W załodze awaryjnej znaleźli się Allan McDovery i James Lowe. Cała czwórka odpoczywała teraz w hotelu wzniesionym o pięć mil od wyrzutni

numer 34, skąd za dwadzieścia jeden godzin miał nastąpić ćwiczebny w ich mniemaniu start.

Według czasu Zachodniego Wybrzeża była w chwili obecnej godzina 12.00. W Waszyngtonie zegary wskazywały 15.00.

8

Floryda, Cape Canaveral, 13 lipca, godzina 18.00

Cape Canaveral jest częścią Florydy, ale nie jest, ani nigdy przedtem nie był miejscem, z którego pisuje się do domu wakacyjne pocztówki. Cape Canaveral nie wytrzyma porównania z Miami Beach, Palm Beach czy choćby z Key West. Cape Canaveral to Cocoa Beach.

Kilkanaście lat temu Cocoa Beach okupowali wczasowicze, którzy nie mogli sobie pozwolić na luksus słonecznego i drogiego Miami. Z tamtych czasów do dzisiejszego dnia pozostały tutaj maleńkie jak kartonowe pudełka domki z werandami i metalowymi fragmentami ram, szybko rdzewiejącymi w słonym powietrzu.

Sama plaża ma trzysta stóp szerokości przy przyplwywie i jest twarda jak zastygły cement. Morze wypłukało cały piasek pozostawiając czerwoną glinę, na której mieszkańcy pobliskich miasteczek Cocoa i Titusville urządzają czasami wyścigi samochodowe.

Cocoa i Titusville oddzielone są od oceanu dwoma rzekami i wyspą. Rzeki to Banana River i Indian River. Wyspa nazywa się Merritt Island. Na zachód od niej leży historyczny już pas stanowisk testowych pierwszych amerykańskich rakiet balistycznych, które transportowano tutaj z pobliskiej Patrick Air Force Base oddalonej o kilkanaście mil od

Cocoa Beach. Stąd też poleciały w kosmos pierwsze amerykańskie sputniki i pierwsi astronauty.

W roku 1973 kwatera główna Cape Canaveral przeniosła się na Merritt Island. Od tego też roku z Merritt Island odbywają się wszystkie starty w kosmos.

Kennedy Space Center położone jest na środku wyspy, o pięć mil od Vehicle Assembly Building, budowli w rodzaju potężnego hangaru o wysokości stu sześćdziesięciu metrów. Montuje się tu rakiety i wyposaża w niezbędne urządzenia. W pozycji pionowej transportuje się je stąd na platformy startowe.

Hannah obserwował ten właśnie budynek, gdy samolot podchodził do lądowania. Nieustannie zadziwiała go możliwość tak szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Kilka godzin temu był jeszcze w Waszyngtonie, teraz — w Bazie Lotniczej USA na Florydzie. Myślał o Sheili.

Dziewczyna siedziała obok niego i zdawała się być zagubiona w marzeniach. Oczywiście miała zamknięte, ale nie spała. Gdy samolot dotknął kołami ziemi, uniosła głowę i pogłaskała ręką policzek Hannah. Uśmiechnął się do niej.

Zgodnie z rozkazami Norberta Dillona mieli za kilkanaście minut stanąć w Centrum na Cape Canaveral i przesłuchać czwórkę astronautów, wśród których mógł znajdować się człowiek mafii. Hannah musiał go odnaleźć.

Przy pasie startowym oczekiwał na nich wojskowy lażik z dwoma cywilami i sierżantem za kierownicą. Cywile przedstawili się. Joe Arch był dyrektorem Kennedy Space Center, a Silvester Stallone szefem Zespołu Startowego. Oni również nie zostali poinformowani o zmianie programu i zameldowali o gotowości do odpalenia „Atlantisa”. Owszem, Waszyngton uprzedził ich o wizycie FBI, ale nie

przedstawił konkretnych przyczyn nagłych podejrzeń w stosunku do astronautów. Niemniej jednak nie zamierzali niczego ukrywać przed gośćmi i zapraszali do zwiedzania ośrodka.

Hannah odmówił. Porozmawiał chwilę z pilotem samolotu, prosił go o uzupełnienie zbiorników i razem z Sheilą wsiadł do łazika.

— Dokąd pojedziemy? — zapytał niepewnie Arch z przedniego fotela.

— Do Hangaru „S” — odparła Sheila.

Sheila Pickard doskonale orientowała się w terenie Merritt Island. Spędziła tutaj kilkanaście miesięcy jako przedstawiciel Pentagonu. Dobrze знаła też Archa. Joe nie był złym człowiekiem, ale nie wiadomo dlaczego bał się policji jak ognia. Za każdym razem, gdy w grę wchodziły kontakty z władzą, Arch zachowywał się jak małe dziecko: odpowiadał drżącym głosem, tracił pewność siebie, zbaczał z tematu, unikał spojrzeń. Samochód ruszył szybko, kierując się w stronę bramy. Strażnicy zaszalutowali i podnieśli szlaban. Znaleźli się nad oceanem.

Trasę dwudziestu kilometrów dzielących ich od Kennedy Space Center przebyli w kwadrans. Za mostem nad Banana River droga skręcała na południe i wiodła wprost do ośrodka.

Hangar „S” położony był tuż za siatką. Astronauci przygotowujący się do startu spędzali tutaj ostatnie dni przed lotem. Mieścił cztery izby treningowe, dwie komory ciśnień, jadalnię, sypialnie, kilka gabinetów lekarskich i pokój nazywany „Komorą Gotowości”, służący za swego rodzaju szatnię, w której astronauta zakładali kombinezony przed zajęciem miejsca w kabine statku.

Gdy weszli do budynku, Joe Arch zwołał na żądanie Hannah specjalne zebranie. Hannah i Sheila Pickard znali życiorysy całej czwórki astro-

nautów. Dokumenty dostarczone przez rejestry FBI oraz dane NASA zawierały detaliczne informacje o karierze zawodowej i życiu prywatnym każdego z nich. Materiały te otrzymali godzinę po spotkaniu w Białym Domu od dyrektora Price'a, z poleceniem dokładnego ich przestudiowania.

Pierwszą załogę „Atlantisa” na Cape Canaveral stanowili Alvin Brown i John Nulty. Alvin Brown był doświadczalnym pilotem wojskowym i latał już w kosmos dwukrotnie, w tym raz podczas misji „Challenger” razem z Robinsonem i Studleyem z Kalifornii w 1984. Jego dokumenty były bez zarzutu: staż w bazie pilotów oblatywaczy w Jacksonville, transfer do Patuxent River, gdzie przeszedł przeszkolenie w bazie Lotnictwa Marynarki Wojennej, transfer do bazy Muroc i zakwalifikowanie do grona astronautów, znów intensywne szkolenie i start „Challenger”. Alvin Brown był żonaty i miał dwoje dzieci. Jego ojciec już nie żył.

John Nulty urodzony w Hamlin, West Virginia, był najpierw pilotem doświadczalnym w Wright Fields w Dayton, gdzie wylatał 8000 godzin na eksperymentalnych typach maszyn bojowych. Przeniesiono go do Murock na Pustyni Majave i wcielono w zespół przyszłych astronautów. Spotkał tam Alviną Browną, z którym szybko się zaprzyjaźnił. Brał udział w wyprawie „Challenger” jako drugi pilot i nawigator. Był żonaty, miał czwórkę dzieci. Rodzice Nulty'ego mieszkali wciąż w Hamlin.

W jadalni zasiedli: lekarz ekipy „Atlantisa”, psychiatra opiekujący się astronautami, szef Zespołu Szkolenia i Joe Arch. Silvester Stallone nie mógł być obecny. Wezwały go zajęcia.

— Proszę mi powiedzieć — Hannah zwrócił się do zebranych — czy astronauta ma szansę ucieczki z promu już po starcie? — spytał, chcąc zbadać

ewentualność ewakuacji szantażowanego członka ekipy. — Chodzi mi o to, czy w wypadku, powiedzmy, awarii — zawahał się lekko — może wydostać się na zewnątrz i bezpiecznie wrócić na ziemię?

Szef Zespołu Szkolenia popatrzył zdziwiony na Hannaha.

— Nie wiem, po co panu potrzebne takie informacje, ale cóż... Tak, teoretycznie tak. Jeśli awaria nastąpi jeszcze na platformie startowej, mogą zjechać w dół w specjalnym przewodzie i ukryć się w bunkrze. Gdy uszkodzenie uniemożliwi lot na wysokości do 30480 metrów, astronauta ratują się poprzez katapultowanie z kabiny i użycie spadochronów. Gdy niebezpieczeństwo wyniknie powyżej tej wysokości, można jeszcze próbować tak poprowadzić „Atlantisa”, by wylądował tutaj, w Kennedy Space Center. Musiał pan mijać nasze lotnisko, prawda? Pas jest wystarczająco długi, ma 4572 metry.

— Tak, ale czy jeden, podkreślam, jeden z astronautów może uciec? Niech się pan nie dziwi pytaniem, zapewniam pana, że nie są pozbawione sensu.

Szef szkolenia pokręcił głową.

— Nie, to nie jest możliwe. We wszystkich przypadkach niezbędna jest pomoc i współpraca z drugim.

— Rozumiem. Panie doktorze, jest pan psychiatrą, prawda? Niech pan mi powie, czy stan psychiczny obu astronautów nie uległ w przeciągu ostatnich kilku dni jakiegóż zmianie?

Lekarz zastanawiał się chwilę.

— Nie — odpowiedział. — Jestem pewien, że nie. Badamy ich codziennie, zaprzyjaźniłem się z nimi podczas rozmów i raczej musiałbym coś zauważyć.

— Interesuje mnie Brown i Nulty, doktorze.

— Może Nulty... Podczas ostatnich testów wykazywał pewną nerwowość. Ale to normalne przed startem.

— Czy był mocno zdenerwowany? Sądzi pan, że ma tremę? — spytała Sheila.

— Chyba tak. Tak przypuszczam.

— Czy Nulty kontaktował się ostatnio z kimś spoza ośrodka — ciągnęła dalej dziewczyna.

— Nie mam pojęcia.

Joe Arch wyprostował się w krześle.

— Osobiście nie, przynajmniej w przeciągu ostatnich dni. Wykluczone — powiedział. — Ale istnieją telefony i zawsze mógł zadzwonić, gdyby chciał. Nie bronimy im tego.

— Czy każdy może do was telefonować? — wtrącił Hannah.

— Nie, oczywiście, że nie. Numer jest zastrzeżony. Poza tym, gdyby ktoś niepowołany poprosił do telefonu kogoś z astronautów, centrala nie połączyłaby go.

— Nie rozumiem pana. Centrala reaguje tylko na określone nazwiska?

— Właśnie — potwierdził Arch. — Dzwoni najbliższa rodzina i nikt więcej.

— Proszę więc sprawdzić, dyrektorze, do kogo ostatnio były jakieś telefony, dobrze? Czy to możliwe?

Joe Arch wyszedł z jadalni.

Hannah podziękował zebrany i zostali sami.

— Nulty mi się nie podoba, Richard — zaczęła Sheila. — Nie wiem dlaczego, ale...

— No?

— Nerwy, żyjący ojciec... Nie miał prawa do tremy. Latał już przecież w kosmos. Wiesz, musimy z nim spokojnie, nic na chybcika.

Hannah przerzucał dokumenty dublerów pierwszej załogi.

Herbert Dusk, lat 43, urodzony w Texasie. Był

pilot myśliwców Marynarki Wojennej, pracuje dla NASA od pięciu lat. 6000 godzin w powietrzu, 544 godziny w kosmosie, 1300 godzin treningu w symulatorach „Skylab”. Doskonale przygotowany do lotu. Rodzice mieszkają pod Houston. Żonaty, dwoje dzieci w wieku dziesięć i dwanaście lat.

Thomas Scott, lat 42, pilot myśliwców doświadczalnych w Dayton. 6000 godzin w powietrzu, 250 godzin w kosmosie, 1300 godzin ćwiczeń w symulatorach. Od czterech lat pilot Pentagonu. Żonaty, troje dzieci w wieku od dwóch do piętnastu lat. Ojciec i matka mieszkają w Nowym Jorku.

— Masz coś? — spytała dziewczyna.

— Nic, Scheila, nic tutaj nie widzę — zerknął na zegarek. — Coraz mniej czasu, cholera jasna.. Oni wszyscy mają rodziców, ojców...

Do pomieszczenia wszedł Joe Arch z zestawieniem rozmów telefonicznych w rękę. Centrala zarejestrowała kilka połączeń z ośrodka na zewnątrz. Do ośrodka zadzwoniła tylko jedna osoba: ojciec Nulty'ego. Rozmowa trwała piętnaście minut. Nulty senior dzwonił z Waszyngtonu.

— Niech pan go tutaj poprosi, dyrektorze. Tak, Johna Nult'ego.

Nulty był nieco zbity z tropu.

— Proszę pana — mówił — miałem cztery dni temu urodziny. Cóż w tym dziwnego, że telefonował mój ojciec? On bardzo mnie kocha i martwi się, że lecę. Chyba normalne prawda? Ojciec jest bardzo samotny, ponieważ moja żona nie przepada za nim, a matka — zawahał się — matka go nie szanuje. Ich związek źle się ułożył. Ojciec miał kłopoty...

— Jakie kłopoty? — spytała Sheila.

— Nie wiem, nie zwierzał mi się. Zdaje mi się, że finansowe. Ale kto ich dzisiaj nie ma? Co to ma do rzeczy? A w ogóle nic nie rozumiem. Dlaczego FBI

mieszają się do spraw Pentagonu? Co ja mam wspólnego z...

— Dziękujemy panu, panie Nulty. Może pan odejść — powiedział Hannah.

Gdy Nulty wyszedł, Sheila zapaliła papierosa i podała paczkę Hannahowi.

— Słuchaj, Richard, odstaw ich, zmień załogi — powiedziała. — On mi się zdecydowanie nie podoba. Tamci są czyści.

— Kto?

— Dusk i Scott. Popatrz — podsunęła kartkę rozmów z ośrodkiem. — Nikt do nich nie telefował, nikt się nie kontaktował. Kto mógłby im przekazać rozkazy mafii i jeszcze odpowiednio przekonać? Nie robi się tego w trzy minuty. Dossier też czyste, w idealnym porządku. Co ty na to?

— Dziecko drogie, przecież oni i tak nie polecą.

— A wiesz, co zastaniemy w Vandenberg? Gwarantujesz, że tam wszystko będzie OK? Co z tego, że start nastąpi z Kalifornii? A jeśli coś zawalą? Nie ma czasu, Richard.

Hannah zastanawiał się. Dziewczyna miała rację. Musieli się śpieszyć. A Nulty? Nulty w gruncie rzeczy nie wydał mu się podejrzany. Ot, zwyczajne nerwy. Ale rzeczywiście... Gdyby coś się stało w Vandenberg...

— Dobrze, zmienimy ich na Duska i Scotta. Na wszelki wypadek.

9

Vandenberg, 14 lipca, godzina 1.00

Do startu pozostało osiem godzin. Tutaj, w Kalifornii, była pierwsza w nocy. Na Florydzie godzina czwarta rano.

Lecieli w kierunku Santa Maria Airport i mieli wylądować za dziesięć minut. Santa Maria leży czternaście mil od Vandenberg Air Force Base. Z lotniska do bazy prowadzi szeroka, asfaltowa droga biegnąca przez pobliskie Lampa i Surf. Samo Vandenberg tkwi niczym klin w dolinie między Point Arguello i Purisima Point tuż nad Pacyfikiem.

Ponieważ na południu wznoszą się tam góry Santa Yaez, a od północnego wschodu bazę otacza łańcuch San Rafael, pogoda tutejsza w niczym nie przypomina słonecznej Kalifornii. Dolina ma własny mikroklimat, gdzie latem temperatura sięga 45°C w ciągu dnia, a nocą potrafi opaść do prawie 0°C. Roślinność jest skąpa i karłowata; rzadko padają deszcze. Gdy już padają, liczne niecki wypełniają się błotnistą mazią, w której lęgną się miliardy komarów.

Do roku 1974 baza Vandenberg nie różniła się od innych baz lotniczych USA. Przeprowadzane tutaj loty ćwiczebne samolotów bojowych, tutaj ulokowała się Piąta Dywizja Sił Powietrznych. W 1974, zgodnie z harmonogramem prac Pentagonu, rozpoczęto budowę ośrodka lotów kosmicznych. Prace trwały do 1978 roku, po czym Kongres USA obciął niezbędne kredyty. Przerwa ciągnęła się do roku 1980, a już w 1984 Pentagon wprowadził stąd na polarną orbitę swój pierwszy telekomunikacyjny sputnik. Stąd też pod koniec tego roku wystartował „Voyager-4”, pierwszy prom amerykańskiego Ministerstwa Obrony sterowany przez własne Centrum Kontroli Lotów w Colorado Springs.

— Martwy punkt, Sheila — mówił Hannah wpatrzony w iluminatory. — Do kogo mam się przyczepić? Nulty? Czy ja wiem...

— Jeżeli trzymać się taśmy, wszystko się zgadza, Richard. Mafia szantażuje ojca Nulty'ego, ojciec

dzwoni do syna, ten, w obawie o niego i o swoje dzieci, postanawia wypełnić zadanie. Trzeba jeszcze kilka rzeczy sprawdzić. Gdzie mieszka stary Nulty?

— W Hamlin.

— Właśnie, w Hamlin. Musisz dać znać Price'owi. Richard?

Odwrócił ku niej wzrok.

— Kocham cię, Richard.

Od czasu ostatniego spotkania w mieszkaniu Sheili nie mieli nawet chwili na pocałunek. Poza tym, było coś jeszcze, czego Hannah nie umiał określić, a co podświadomie łączył z dziewczyną. To coś wciąż go nurtowało i nie dawało spokoju, nie zgadzało się, nie pasowało do całości, a może pasowało, ale jakoś dziwnie i nieskładnie. Kilkakrotnie wydawało mu się, że jest bliski odgadnięcia, co go tak dręczy, ale kończyło się na niczym.

Podziwiał Sheilę. Dziewczyna trzymała się dzielnie i mimo zaledwie paru godzin snu w samolocie nie wyglądała na zmęczoną. Objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

Odczuwał zmęczenie, gwałtowną potrzebę odpoczynku. Co go, do diabła, obchodzi „Atlantis”? Porwanie promu kosmicznego! Wizja ogarniętego szaleństwem fantasty... Gdyby posiadał więcej danych, konkretnych szczegółów, może wówczas poszłoby łatwiej. Taśma została co prawda zbadana i jej autentyczność potwierdzili najlepsi eksperci FBI, ale co z tego? W dalszym ciągu nic.

Nagle drgnął. Taśma... Coś z taśmą... Dlaczego właśnie taśma...

— Richard, o czym myślisz? Pocałuj mnie.

Wątek prysnął jak mydlana bańka.

O 01.30 znaleźli się w baraku noclegowym Vandenberg, gdzie oczekiwali ich Robinson, Crippen, Mc Dover, Lowe i pułkownik George Page, dyrektor

Zespołu Startowego. Page był jedynym człowiekiem w bazie, któremu Waszyngton i NASA dały znać o zmianie programu „Atlantisa”. Poza nim nie wiedział o tym nikt. Astronaucci, chociaż to ryzykowne, mieli zostać postawieni przed faktem dokonanym na godzinę przed startem.

W samolocie Hannah przewertował ich papiery. Tak, jak się spodziewał, nie znalazł niczego ciekawego. Crippen był znanym astronautą. Razem z Youngiem odbył pierwszy w historii lot na pamiętnej „Columbii” w 1981 roku. Od tamtego czasu nie przebywał w kosmosie. Służył kolegom doświadczeniem i z pasją oblatywał superszybkie T-38. Żonaty, dorosły syn, ojciec nie żyje.

Robinson spędził 9600 godzin w powietrzu i 108 godzin na „Voyagerze-4” i „Challengerze”. Był kandydatem na „Columbię”, lecz przegrał z Youngiem. Jego ojciec mieszkał w Nevadzie i opiekował się dwójką dzieci syna. Żona skończyła architekturę i przebywała obecnie w Meksyku.

McDover i Lowe od urodzenia stanowili nierozdzielny duet. Razem wyrosli, razem poszli do wojska i razem zostali przyjęci do lotnictwa. Po latach treningu w kilkunastu bazach, znaleźli się w ekipie astronautów. Trzy lata temu przyjęło ich Vandenberg i odbyli z Robinsonem lot na „Voyagerze-4”. McDover był starym kawalerem, a Lowe ożenił się w 1985. Ich rodzice żyli i mieszkali w Colorado Springs, tam gdzie mieściła się Mission Control Pentagonu.

Hannah stał obok Sheili i patrzył na tych ludzi. Znał ich życiorysy. Posługując się kartoteką FBI mógł im powiedzieć, kiedy poderwali pierwszą dziewczynę i jak miała na imię, chociaż oni sami pewno już dawno o tym zapomnieli. Zadawał sobie pytanie, co tutaj właściwie robi. Życiorysy nie sta-

nowiły o niczym. W głowie każdego z nich mogła zalegnąć się myśl o łatwym zarobku. Może nie tyle łatwym, ale niewątpliwie dużym. Mogli zwyczajnie bać się o swe rodziny, o siebie samych. Dla nich dzień dzisiejszy był kolejnym dniem treningu. Nic jeszcze nie wiedzieli o locie. Ale dowiedzą się — na godzinę przed czasem 00.00. Czy jedna godzina, sześćdziesiąt minut zamknięcia w hermetycznej kabinie na szczycie osiemnastopiętrowej wieży, da szansę mafii?

— Nie śpij, Richard — usłyszał obok szept Sheili.
— Oni czekają.

Hannah zadał kilkanaście pytań czwórce astronautów, porozmawiał z pułkownikiem, sprawdził rejestr telefonów i nie odkrył 'niczego. Gdy Page spojrział znacząco na zegarek, Hannah przeprosił wszystkich i życzył powodzenia podczas prób.

O godzinie 03.00 samochód odwiózł Hannahą i Sheilę Pickard do Santa Maria. Pilot nie spał i natychmiast uruchomił silniki. Wracali do Waszyngtonu praktycznie z niczym.

Start „Atlantisa” nastąpić miał za siedem godzin.

10

Vandenberg, Cape Canaveral, 1 lipca, godzina 5.00 czasu zachodnioamerykańskiego

Na cztery godziny przed startem, czyli o godzinie piątej rano czasu zachodnioamerykańskiego, a o ósmej czasu Florydy, astronauta przebywali w „Komorze Gotowości”. W Vandenberg Robinson i Crippen rozmawiali z lekarzem i pułkownikiem Page'em. Towarzyszyło im czterech pracowników

obsługi. Dublerzy pierwszej załogi, Alan McDover i James Lowe, ubierali się tuż obok.

W tym samym czasie na Cape Canaveral przygotowywali się Thomas Scott i Herbert Dusk. Alvin Brown i John Nulty, przekwalifikowani na załogę drugą, siedzieli na ławkach ubrani już w skafandry.

Lekarze przeprowadzili ostatnie badania: tętno, temperaturę, oczy. Do ciał astronautów przytwierdzono po osiem czujników zapisujących reakcje organizmu na przeciążenie i próżnię. Technicy pomogli włożyć im ciężkie kombinezony, których uczestnicy lotu pozbędą się na orbicie, by włożyć je powtórnie podczas lądowania. Sprawdzono połączenia skafandrów z ŁDU, niewielką skrzynką zawierającą niezbędne podczas startu i przyziemia systemy, zapewniające ludziom swobodę oddychania, wymianę płynów i zbieranie odchodów. Podano im hełmy. Na głowę włożą je tuż przed wejściem do kabiny „Atlantisa”.

O 06.00 czasu zachodniego, czyli o 09.00 czasu wschodnioamerykańskiego, astronauta wyszli z „Komory Gotowości” przed budynek, gdzie czekały na nich specjalne półciężarówki. W Vandenberg Crippen, Robinson, McDover i Lowe wsiedli do przebudowanego łazika, a na Cape Canaveral Scott, Dusk, Brown i Nulty zajęli miejsca w otwartym fordzie. Samochody ruszyły dokładnie w cztery minuty później.

Z hangaru „S” ford udał się w kierunku „Kompleksu 39”. Z tej samej wyrzutni sześć lat wstecz wystartowała „Columbia”. Po dziesięciu minutach minęli Vehicle Assembly Building i pozostało im jeszcze pięć mil równej, betonowej drogi. Na jej krańcu majaczyła w porannej mgiełce wieża obsługi wahadłowca.

Wojskowy łazik wiozący astronautów w Van-

denberg jechał nieco wolniej. Stanowisko 34, z którego mieli wystartować, oddalone było zaledwie o trzy mile od Centrum Startowego.

Punktualnie o 06.30 łazik zatrzymał się przed betonowym wyniesieniem platformy. Załoga druga nie drgnęła z miejsca. Crippen i Robinson zeszli ciężko na ziemię i skierowali się ku schodom wiodącym wprost pod olbrzymie cielsko promu. Crippen spojrzął do góry. 24 metry wyżej znajdowała się kabina.

O 09.30 czasu wschodnioamerykańskiego obie załogi Cape Canaveral przybyły pod „Atlantis”. Thomas Scott i Herbert Dusk uścisnęli ręce Nulty’emu i Brownowi, pozdrowili Archa, po czym stanęli na platformie przeszklonej windy, która wynieść ich miała do zespołu orbitalnego kilkanaście pięter wyżej. Technik włączył prąd i klatka pomknęła wzdłuż stalowych prętów.

O 10.00 czasu wschodniego obie załogi znalazły się w kabinach. Przypasani do foteli, w niezwyklej pozycji twarzą do nieba, Scott, Dusk, Crippen i Robinson oczekiwali na zahermetyzowanie „Atlantisa”. Obsługa stanowisk zatrzasnęła drzwi, cichy świst oznajmił, że pompy wypchnęły już na zewnątrz powietrze i że zaczął działać system klimatyzacji. Dusk na Florydzie i Crippen w Vandenberg uruchomili pokładowe zegary. Z listą czynności przedstartowych w rękę rozpoczęli aktywowanie poszczególnych zespołów. Pulpity sterownicze roz błysły setkami kolorowych światełek.

Pięć minut potem na Cape Canaveral pułkownik Page, szef ekipy startowej Vandenberg, i Silvester Stallone ukryci w betonowych bunkrach o pięć mil od platform wyrzutni wcisnęli na tablicach rozdzielczych czerwony przycisk oznaczony literą „C”.

Poprawili mikrofony i w eter popłynęły pierwsze przed startem słowa.

Rozpoczął się finalny „countdown”.

11

Houston, 14 lipca, godzina 10.05

O 10.05 Roy White tkwił na stanowisku Głównego Kontrolera. Co chwila spoglądał na ręczny zegarek, chociaż na ścianie sali znajdowało się osiem chronometrów pokazujących aktualny czas we wszystkich strefach kuli ziemskiej.

W momencie gdy Vandenberg i Cape Canaveral nawiązały łączność radiową z „Atlantidem”, na jego pulpicie zapaliły się dwie lampki potwierdzające kontakt z obu promami. Roy White przycisnął do ust mikrofon i powiedział:

— Houston Mission Control, Houston Mission Control do Vandenberg. Jak mnie słyszycie?

Głośniki piśnieły cicho, jakby gotując się do ciężkiej pracy, i w sali rozległ się głos Crippena.

— „Atlantis” do Mission Control. Słyszę was dobrze.

Procedura finalnego „countdownu” miała zakończyć się 60 minut przed startem. Zespół A-1 w Houston dublował wszystkie czynności obu baz i na godzinę przed uruchomieniem silników powinien przejąć czynności Page’a i Stallone’a.

Grupa A-2 nawiązywała po raz ósmy kontakt ze stacjami nasłuchowymi. Sygnały były wyraźne, lecz jakby przytłumione. Keith Benty zwrócił na to uwagę White’owi, lecz ten kiwnął tylko głową, że za chwilę sprawdzi łączność osobiście.

Ekran oznaczony „Space” od pięciu minut po-

kazywał wewnątrz „Atlantisa” w Vandenberg. Crippen i Robinson nie zwracali uwagi na obiektyw kamery wycelowany prosto w ich twarze. Wpatrzeni w sztywne kartoniki sekwencji czynności rutynowych byli pochłonięci swoją pracą. Szef ekipy A-1 monotonnym głosem powtarzał krótkie hasła pułkownika Page’a z Vandenberg, który to z kolei potwierdzał bezusterkowe funkcjonowanie zespołów statku. „Cauntdown” trwał.

Roy White wiedział, że start ma nastąpić z Kalifornii. On musiał o tym wiedzieć i jemu pierwszemu Pentagon dał znać. O 10.15 Roy White opuścił swój pulpit, podszedł do kierownika A-1, który obsługiwał Vandenberg, i dał mu znak, aby przekazał mikrofon zastępcy.

— Co jest, Roy? — spytał szef A-1.

— Przejmiesz teraz Canaveral — powiedział White.

— Po co? Oni tylko ćwiczą, Roy. Tak mówiłeś.

— Chcę, żebyś przejął Canaveral, słyszałeś?

Bob weźmie Kalifornię.

Zmiana nastąpiła szybko i sprawnie.

Roy White po raz setny spojrzął na zegarek i wrócił na swoje miejsce.

12

Washington, 14 lipca, godzina 10.00

Zbliżali się do Waszyngtonu od zachodu i Hannah apatycznie spoglądała na białe chmury pod nimi. Do startu pozostały jeszcze dwie godziny.

Kompletne fiasko misji — myślał. — Żadnych szans na odnalezienie człowieka, co do istnienia którego nie mieli nawet pewności.

Ogarniało go coraz większe znużenie. Przetarł oczy i potracił niechcący Sheilę. Obudziła się.

— Hej, jak tam na pokładzie? — zapytała poprawiając bluzkę.

— Ponuro. Mam czarne myśli.

Zapaliła papierosa i wydołała z torby termos z kawą. Pili w milczeniu.

O 10.10 Sheila Pickard wylała filiżankę półcieplej kawy na swoje kolana. Zanim Hannah zdążył zareagować, zerwała się na równe nogi i szybko pobiegła do kabiny.

— Za ile będziemy w Waszyngtonie? — spytała pilota.

— Coś się stało? — tamten wyczuł zdenerwowanie w jej głosie.

— Za ile będziemy na miejscu? — powtórzyła z naciskiem.

W progu stanął Hannah.

— Za godzinę, panno Pickard — odparł pilot.

— Co się dzieje, Sheila? — Hannah wziął ją za rękę.

Dziewczyna nie zwróciła na niego uwagi. Patrzyła na zegarek.

— Nie można szybciej? To bardzo ważne, niech pan zrozumie.

— Ja nie jestem od rozumienia. Jeśli trzeba, to trzeba. Spróbujemy, ale nie zyskamy więcej jak kilkanaście minut — powiedział lotnik, ujmując rączkę przepustnicy.

Silnik zwiększył obroty.

— Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, co się, do diabła, stało? — Hannah z trudem panował nad sobą. — Nie poparzyłaś się? — spytał strzepując machinalnie jej spódnicę.

— Przestań, Richard, nie teraz. Czy może mnie pan połączyć z Waszyngtonem? — Usiadła na pustym fotelu drugiego pilota. — Mówiono mi, że to możliwe.

— Tak, panno Pickard. Ten samolot należy do Białego Domu — odpowiedział lotnik, jakby wy-

jaśniając tym samym absolutnie wszystko.

Sheila nałożyła na głowę hełmofon i wcisnęła wskazany przycisk. Po chwili w głośniczkach odezwała się centrala White House.

— Proszę mnie natychmiast połączyć z kwaterą główną CIA w Langley — powiedziała dziewczyna spoglądając na Hannaha.

Przedstawiła się i zażądała natychmiastowego przygotowania dossier ośmiu osób: Alvina Browna, Johna Nulty'ego, Thomasa Scotta, Herberta Duska, Cecila Robinsona, Herberta Crippena, Alana Mc Dovera i Jamesa Lowe'a. Na lotnisku będzie za czterdzieści minut. Prosi o samochód i jak najszybszy transport do Langley. Over and out.

Hannah nie dowierzał własnym uszom.

— Ty się dobrze czujesz? — spytał, gdy usiedli w fotelach tuż za drzwiami kabiny. — Co cię napadło, do cholery?

— Nie wiem, Richard, rzeczywiście chyba mnie coś napadło. Wiesz, gdy siedzieliśmy przy oknie, przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Dość nagle.

— Zupełnie nagle. Popelniliśmy kardynalny błąd, niewybaczalny błąd — zamilkła.

— Mów dalej.

— Price przekazał nam dokumenty FBI. Masz je teraz w teczce. A czym zajmuje się FBI? Ty powinienś wiedzieć.

— Przestępstwami federalnymi.

— Właśnie. Przestępstwa federalne, wewnętrzne i nigdy nie wykracza poza terytorium USA. Ma kartoteki dotyczące ludzi, którzy w jakiś sposób narazili się lub są groźni dla Stanów oraz osób wystarczająco ważnych, by założyć im kartotekę, tak? Ale FBI nie obchodzi ich działalność poza granicami państwa, prawda?

— Nie bądź śmieszna, Sheila. Od kilkunastu lat CIA i FBI prowadzą wymianę informacji i wiedzą osobie wszystko. O swych klientach również. Bzdura.

— Jesteś aż takim durniem, by wierzyć, że CIA nie trzyma czegoś w zanadru? Że niby jest zupełnie szczerą? A przypomnij sobie aferę za Johnsona i Nixona. No? Przecież sam, do diabła, stamtąd uciekłeś.

— Więc CIA przed tobą właśnie ma otworzyć swoje sejfy i tobie przekazać tajemnice, których nie przekazała FBI, tak?

— Tak, bo ci ludzie nie są aż tak groźni. Sam mówiłeś, że Conn chciał zabrać sprawę „Atlantisa” Price’owi. Czy myślisz, że nie będzie zadowolony, gdy to jego agencja wpadnie na trop? Stara gra, Richard. Przecież wszyscy wiedzą, że Price i Conn po cichu ze sobą rywalizują. A może nie?

Hannah skinął głową. Nerwy miał napięte do granic wytrzymałości. Sheila miała dużo racji. Zawalił robotę, zaniedbał akta CIA.

Umówili się, że prosto z lotniska dziewczyna pojedzie do Langley oddalonego o dwadzieścia minut drogi od Waszyngtonu. Obliczyli, że powinna tam być o 11.30, na pół godziny przed startem promu. Hannah natomiast miał się udać do Białego Domu, spotkać się z Malcolmem i w jego gabinecie czekać na wiadomość od Sheili. Tam też zdecydują ostatecznie, co robić dalej.

Zegary w kabinie samolotu wskazywały 10.30. W Kalifornii była 07.30. Za pół godziny w Vandenberg i na Cape Canaveral zakończy się sprawdzanie gotowości zespołów. Pozostanie zaledwie sześćdziesiąt minut do startu.

W oddali, pod chmurami leżał Waszyngton.

Vandenberg, 14 lipca, godzina 8.00

O 8.00 pułkownik Page wcisnął klawisz „OVER”, kończąc testowanie ostatniego obwodu „Atlantisa”. Zespół orbitalny, potężne boostery i trzy główne silniki były gotowe do odpalenia.

Na Cape Canaveral Silvester Stallone zrobił to samo, po czym obaj zgłosili bezawaryjny „count-down” do Houston Mission Control.

O 8.02 czasu zachodniego George Page powiedział do mikrofonu:

— „Atlantis”, tu Vandenberg Control. Chłopcy, mam niespodziankę. Za 58 minut już was nie będzie, więc słuchajcie uważnie.

— „Atlantis” do Control — zabrzmiał rozbawiony głos Crippena. — Wysadźcie nas w powietrze?

— Bez wygłupów. Słuchajcie, Pentagon zmienił plany. Cape Canaveral pozostanie na wyrzutni, a pod wami odpalą wszystkie silniki, jasne? Wystartujecie o 9.00 zgodnie z harmonogramem treningu. Tylko że tym razem to nie będzie trening, chłopcy. Znacnie instrukcje i postępujcie według nich. Wiem, że nie zawalicie „Teal Ruby”. Jak mnie zrozumiałeś, „Atlantis”?

Crippen i Robinson przyjęli wiadomość spokojnie. Potwierdzili odbiór i wpatrywali się w zegary pokładowe. Wskazywały 8.04.

O 11.03 Sylvester Stallone na Cape Canaveral otrzymał z Houston polecenie odwołania startu. Słowa Roya White’a były świętością, więc nie żądał nawet wyjaśnienia dlaczego. Miał kontynuować odliczanie do chwili 00.00 i dopiero wówczas powiadomić astronautów.

Na zalanym słońcem przyładku Canaveral zebrały się tłumy ludzi. Prasa, radio, telewizja, tysiące gapiów wpatrywały się w odległy o sześć mil punkcik wahadłowca. Publiczność zgromadziła się głównie na morskiej mierzei dzielącej Banana River od Atlantyku, w okolicy plaży najbliższej położonego miasteczka Cocoa Beach. Wyposażeni w lornetki, lunety, aparaty fotograficzne i kamery filmowe świętowali kolejne osiągnięcie amerykańskiej myśli technicznej.

Nikt z nich nie wiedział, bo przecież nie mógł wiedzieć, że „Atlantis” nie poleci.

W Vandenberg rozległ się monotony głos odliczający ostatnie 57 minut dzielące astronautów od oderwania się od ziemi: 3420, 3419, 3418, 3417...

Okolice kalifornijskiej bazy były puste. Publiczność nie przybyła. Start nastąpić miał przecież z Florydy.

14

Washington, 14 lipca, godzina 11.20

— Proszę powiadomić prezydenta, proszę mu przerwać, na moją własną odpowiedzialność!

Nick Malcolm, doradca prezydenta USA do spraw Bezpieczeństwa Narodowego, popatrzył w oczy stojącego przed nim Hannah. Wzrok policjanta nie wróżył nic dobrego. Malcolm sięgnął po słuchawkę.

Na Washington National Airport przybyli o 11.10. Czekają na nich dwa samochody. Sheila Pickard pojechała do Langley, a on po dziesięciu minutach stanął na podwórzu Białego Domu.

W kilku zdaniach zdał raport Malcolmowi. Ten zdziwił się wizytą Hannah.

— Więc dlaczego pan sam nie zmienił miejsca startu ponownie na Florydę? — zapytał. — Pan prezydent, o ile pamiętam, upoważnił pana do wszelkich poczynań z wyjątkiem odwołania misji, czyż nie tak? Skoro panna Pickard twierdzi...

— Powtórzę więc raz jeszcze, gdyż nic pan nie zrozumiał. Nie mogę wziąć na siebie aż tak wielkiej odpowiedzialności — mówił coraz bardziej zdenerwowany Hannah. — Na Cape Canaveral znajduje się podejrzewany przez nas człowiek. Nazywa się Nulty i jest obecnie członkiem załogi numer dwa. Ta załoga nie polecą, panie Malcolm, ale nie mogę dać też głowy za Scotta i Duska z Vandenberg. Panna Pickard sprawdza w tej chwili ich dane w CIA. Dane ich wszystkich, rozumie pan? W kilkanaście godzin przelecieliśmy cały kontynent tam i z powrotem, czyniąc po drodze jakieś głupie nic nie wnoszące badania. Nie mieliśmy wystarczająco dużo czasu. Jakże w takiej sytuacji mam decydować? Niech pan powiadomi prezydenta, że mimo wszystko „Atlantisowi” może grozić niebezpieczeństwo. My poczekamy tutaj. Niech on sam zadecyduje.

— Pan prezydent je teraz śniadanie.

Hannah zacisnęła pięści i podszedł o krok bliżej.

— Proszę powiadomić prezydenta. Proszę mu przerwać na moją własną odpowiedzialność.

Nick Malcolm odłożył słuchawkę.

— Pan prezydent będzie za moment w Oval Office. Gdyby zaszły nieprzewidziane trudności, jest do pana dyspozycji. Proszę, zechce pan usiąść, panie Hannah.

Hannah opadł na fotel i sojrzał na zegarek. Dochodziła 11.30. Za pół godziny start. Gdzie jest Sheila? Dlaczego nie dzwoni?

— Niechże się pan nie denerwuje. Nie przypuszczam, aby pańska koleżanka natrafiła na jakiś ślad

w CIA — powiedział Malcolm. — Ci ludzie zostali dobrze sprawdzeni, zapewniam pana. Może kawy? Hannah odmówił.

O 11.40 rozdzwonił się telefon. Odebrał Malcolm i twarz mu poszarzała.

— Do pana — podał słuchawkę przez biurko.

— Richard? — usłyszał daleki głos Sheili. — Posłuchaj, Richard, masz dwadzieścia minut na ponowną zmianę miejsca startu. Nie przerywaj mi tylko, już mówię. Nutly jest tutaj zupełnie czysty, ale jest ten cholerny Robinson. Robinson, Richard! Jego ojciec, Henry, zadarł z włoską mafią w 1967 roku. Mieszkał wtedy w Palermo, w samym pępku Cosa Nostry. Miał udziały w rafineriach i zbankrutował. Tamci pożyczili mu olbrzymie pieniądze, jak tutaj twierdzą, około dziesięciu milionów. Część spłacił, ale potem uciekł z rodziną do Stanów. Znaleźli go i od 1970 roku usługuje im, jak tylko chcą. Tyle lat, a wszystko w ramach kredytu. Mieszka obecnie w Newadzie. I wiesz, co? Nie sprawdziliśmy listów, Richard, najzwyklejszych listów! Dali mu najpewniej znać listownie, cholera jasna. Wiesz, gdzie przebywa żona naszego astronauty? W Meksyku! Sam mówiłeś, że Meksyk znakomicie prosperuje. Oni nie potrzebowali go pewnie szantażować. On sam mógł im podpowiedzieć rozwiązanie. Masz 19 minut, Richard. Przenieś start na Florydę i niech twoi ludzie zaopiekują się Vandenberg. Crippen jest OK. Jadę do ciebie do domu. Dzisiaj. Tylko spokojnie, nic na chybcika, Richard.

Hannah rzucił słuchawkę i zerknął na zegarek. Była 11.42.

— Jednak coś znalazła — szepnął Malcolm.

— Co robimy?

— Nareszcie trochę światła, prawda? Powtórna zmiana, panie Malcolm.

Powiadomili Dillona, że na pokładzie „Atlantisa” znajduje się poszukiwany przez nich człowiek. Zdecydowali się powrócić do pierwotnej koncepcji „Teal Ruby” i przenieść start ponownie na Florydę. Prezydent osobiście powiadomił Houston i zainteresowane ośrodki.

W kabinie promu nad brzegiem Pacyfiku Robinson i Crippen patrzyli w błękitne niebo. Zegary pokazywały 08.44 czasu zachodniego. Pozostało tylko 16 minut.

15

Houston, 14 lipca, godzina 11.40

Cztery minuty wcześniej Roy White nerwowo ocierał pot z czoła. Pierwszy ekran kontrolny wciąż ujmował skupione twarze Robinsona i Crippena; drugi — ogólną sylwetkę „Atlantisa” w Vandenberg. Ten sam monotony głos sączył z głośników: 2160, 2159, 2158... 2158 sekund do odpalenia.

Szef Zespołu A-1 żartował z załogą Cape Canaveral, która wiedziała już, że nie polecą. Pytał ich, czy chcieliby, żeby systemy blokujące nawaliły w momencie zapłonu. Mieliby wtedy dwa „Atlantisy” na orbicie. Mogłoby być ciekawie.

1195, 1194, 1193... Roy White patrzył z niepokojem na niebieski telefon przy swoim stanowisku. Aparat wyposażony w kilka przycisków zapewniał natychmiastową i bezpośrednią łączność z Białym Domem, z Cape Canaveral i z Vandenberg. Telefon milczał.

1192, 1191, 1190... White sięgnął ręką pod pulpit i dotknął klawisza magnetofonu. Był na miejscu.

Dokładnie 900 sekund przed startem, o 11.45 czasu wschodnioamerykańskiego, przy niebieskim

telefonie Głównego Kontrolera Houston zamigotała lampka i odezwał się cichy brzęczyk. White podniósł słuchawkę. W chwilę później, z wyraźną ulgą na twarzy zakończył rozmowę. Przełączył się na system nagłośnienia sali i ogłosił:

— Uwaga! Zmiana wariantu V1 na F2, zmiana wariantu V1 na F2. Proszę wykonać.

Znaczyło to: „Floryda po raz drugi, panowie”.

16

Washington, 14 lipca, godzina 11.48

— Z powrotem! Z powrotem, mówię! Pełnym gazem! Pełnym gazem! — krzyknął, potrząsając ramieniem zdeorientowanego kierowcy.

Samochód zarzucił, zgrzytnął hamulcami i obrócił się o 180 stopni. Ryknął maksymalnymi obrotami silnika i pomknął na Pensylwania Avenue.

Hannah opuścił Biały Dom kilka minut wcześniej. Wszedł do oczekującego go wozu, który miał go odwieźć do mieszkania, gdzie umówił się z Sheilą Pickard. Ruszyli.

Kwestia została ostatecznie rozwiązana. Pozostał tylko Robinson, ale nim zajmie się ktoś inny. Zamierzał zatelefonować do Daniela Brockska i do Price'a. Pierwszemu chciał jeszcze raz podziękować za wiadomości w sprawie Pulverina, a staremu Reginaldowi złożyć raport.

Hannah tęsknił do spotkania z dziewczyną. Podczas ostatnich kilkudziesięciu godzin nie miał czasu na miłostki, ale teraz przypomniał mu się tamten wieczór w jej mieszkaniu i odczuł nieodpartą chęć dotknięcia piersi Sheili.

Otrząsnął się. Pomyślał, że się starzeje. Spokojnie, nie tak prędko, Hannah, opanuj się. Jak to ona

przed chwilą powiedziała? „nic na chybcika...” Właśnie, nic na chybcika, Hannah.

W mózgu człowieka dzieją się czasem dziwne rzeczy. Jakiś prąd zawierający informację krąży godzinami, dniami, miesiącami, a nawet latami po zakamarkach szarej substancji i w żaden sposób nie daje się ująć w ryzy kontroli. Później, najczęściej wówczas gdy zupełnie nie jest już potrzebny, dociera do ośrodka jaźni, powodując kompletne zamieszanie wśród równo ułożonych i poszufladkowanych wiadomości. Tak stało się właśnie w przypadku Hannah. Nagle wiedział, co go tak bardzo dręczyło od kilku dni, wiedział, że pokpił akcję „Atlantis”.

Owo „nic na chybcika”, skądinąd bardzo rzadkie w potocznej angielszczyźnie, było mu znane. Im rzadsze, tym mocniej zapadające w pamięć. Zapadło też w pamięć Hannah, ale powędrowało tam, dokąd on nie potrafił sięgnąć mimo licznych usiłowań.

Przypomniała mu się taśma z nagraniem obrad Syndykatu. „Tak, leci tylko dwóch. Drugi nie będzie o niczym wiedział, a na orbicie nasz człowiek już go zmusi do posłuszeństwa. Nic na chybcika, wszystko jest gotowe” — pamiętał doskonale. Kobięcy, przytłumiony głos, ale teraz jakby znajomy; ta sama intonacja, charakterystyczne zawieszenie końcówek... Przypomniał też sobie wizytę na Cape Canaveral i ich rozmowę przed spotkaniem z Johnem Nultym. „Wiesz, musimy z nim spokojnie, nic na chybcika”. To już drugi raz.

John Nulty nie spodobał się jej od samego początku, tak jakby sobie założyła, że pierwsza załoga „Atlantisa” nie może polecieć. Hannah uległ i załoga numer dwa znalazła się w kabinie. Później wpadła na pomysł zbadania dossier Kalifornijczyków w

CIA. Hannah znowu uległ, zamiast osobiście udać się do Langley. Mało tego, uwierzył jej, nie fatygując się, by chociaż sprawdzić dane. I na nic nie zdadzą się tu argumenty, iż było mało czasu. Rezultat? Start przeniesiony ponownie na Florydę.

Hannah pobladł. Skoro doprowadziła do zdyskwalifikowania pierwszej załogi Canaveral i wprowadziła do promu załogę drugą, skoro zmyliła go, a dawał teraz na to głowę, fałszywymi dowodami i historyjkami o ojcu Robinsona, by odwołać lot z Vandenberg, a wiadomo było, że w takim wypadku wystartuje Floryda, nie zrobiła tego ot tak sobie. Sheila Pickard, dziewczyna, którą kochał, pracowała dla Cosa Nostry. Wygrała — jeden z astronautów załogi Cape Canaveral jest poszukiwanym przez Hannahą porywaczem. Dusk lub Scott. Obaj siedzieli w tej chwili w kabinie.

Spojrzał na zegarek. 11.55. Zostało mu tylko pięć minut.

— Pełnym gazem! Pełnym gazem! — ponaglał zdeorientowanego kierowcę.

Przed bramą numeru 1600 na Pennsylvania Avenue zatrzymał ich strażnik. Na szczęście rozpoznał Hannahą i wpuścił samochód na dziedziniec Białego Domu.

Gdy w chwilę potem wpadł do Zachodniego Skrzydła, drogę zastąpili mu dwaj ludzie z ochrony osobistej Dillona. Nie pomogły prośby i metalowa plakietka FBI. Jeden z nich zamienił kilka słów z Mike'em Deaverem, szefem tajnej policji Białego Domu i dopiero wtedy pozwolił Hannahowi przejść dalej.

Pędził jak szalony, myśląc co chwila drogę. Minął Salon Zielony, później zbiegł niżej zapominając w pośpiechu, że Oval Office znajduje się na parterze. Coraz to inne pomieszczenia, pokoje, hole, koryta-

rze, aż wreszcie stanął pod amerykańskim orłem dzierżącym w pazurach pęk strzał i oliwne gałązki pokoju. Nacisnął klamkę i bez pukania wszedł do środka.

Prezydent Norbert Dillon siedział w fotelu i wpatrywał się w monitor ustawiony na antycznym stoliku koło kominka. Odwrócił głowę.

Twarz Hannah musiała być straszna, gdyż zerwał się na równe nogi i bez słowa zrobił krok w jego kierunku.

— Niech pan... — zaczął Hannah, ale zdyszany nie potrafił wydusić z siebie ani słowa więcej.

— Boże, co się stało? — spytał Dillon.

— Niech pan odwoła, przerwie start — wykrztusił policjant, opierając się o framugę drzwi. — Natychmiast! On tam jest. Tam, na Florydzie — wskazał ekran.

Głos Silvestra Stallone'a, szefa Zespołu Startowego Cape Canaveral, brzmiał z głośnika jak zwiastun nadchodzącej śmierci: 12, 11, 10, 9,...

— Natychmiast! Teraz! — krzyknęła Hannah, rzucając się w stronę czterech telefonów na biurku Dillona.

Poderwał którąś słuchawkę, ale prezydent odepchnął jego rękę. Podniósł inną i drżącymi palcami wybierał numer z tarczy aparatu. Pomylił się i zaczął od początku.

17

New York City, 14 lipca, godzina 11.59

William Lawrence Ross przeciągnął się w brudnej pościeli i odrzucił na bok „Prawo” Brierly'ego. Czytał ostatnio dużo. Przypomnił sobie książki,

które pochłaniał jako student, przejrzał sterty artykułów starej prasy i zaprenumerował „International Law”. Miał czas. Dużo czasu.

Włączył telewizor. Odbiornik nie działał. Ross uderzył pięścią w drewnianą obudowę i ekran rozjarzył się wolno ogólną panoramą Cape Canaveral zalanego południowym słońcem. W tle przelewały się fale Atlantyku. Ross oddał się marzeniom.

Z tamtego skoku pozostało mu jeszcze 2000 dolarów. Aż dwa tysiące dolarów — poprawił sam siebie. Był zadowolony. Zwrócił Larsenowi dług, pospłacał innych, drobniejszych wierzycieli i ukrył się tutaj, na Bronxie.

Wtedy gdy Pulverino leżał na chodniku, a Puerti strzelał do policjantów, on przyczał się na podłodze mercedesa. Pośród zamieszania i tłumu przypadkowych gapiów, wymknął się cichutko na zewnątrz i wmieszał w zbiegowisko. Teczkę trzymał pod pachą. Reszta okazała się niesłychanie prosta — pieniądze zamykały ludziom usta, a środowisko, jakie go otaczało, nigdy nie należało do zbyt gadatliwych. Mieszkał na Bronxie od kilku miesięcy i rzadko wychodził na ulicę, aby nie zapeszyć dobrej pasy.

Dwa tysiące dolarów... Patrzył na daleki Atlantyk i myślał, że teraz może sobie pozwolić na bardzo wiele. Mógł pojechać na Florydę, ale nie do pracy, jak kiedyś bywało. Nie, pojechałby jako turysta. Mógł też pojechać do Kalifornii, dlaczego nie... Słońce, plaża... Jednak lepiej poczekać jeszcze trochę. Po co się spieszyć? Zawsze zdąży, a pieniądze nie uciekną. Ma je tutaj, pod poduszką.

William Lawrence Ross skupił się na ekranie telewizora. Nie przypuszczał, tak jak nie przypuszczały miliony ludzi, że „Atlantis” jest w niebezpieczeństwie, że niebezpieczeństwo to zawiśnie wkrót-

ce nad całą Ameryką. Nie wiedział też, że to właśnie on, poprzez przypadkowe zetknięcie z Pulverinem, jest poniekąd pośrednią przyczyną zagrożenia.

Do startu pozostało tylko dziesięć sekund...

18

Cape Canaveral, 14 lipca, godzina 11.59.55

Telefon zadzwonił na pięć sekund przed zapłonem. Zastępca Stallone'a sięgnął ręką po słuchawkę nie odrywając wzroku od monitora.

— Kennedy Mission Cont... — urwał blednąc nagle. — Jezus Maria... — wyszeptał.

Patrzył na ekran i czuł, jak traci władzę w nogach. Usiłował podbiec do Stallone'a, otworzył usta do krzyku, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego krtani. Jak przez mgłę słyszał spokojny i opanowany głos odmierzający ostatnią sekundę: 1, 0, Go!!!

Zapłon. Teraz drogi powrotnej nie było. Dokładnie o 12.00 czasu wschodnioamerykańskiego zaskoczyły trzy silniki „Atlantisa” zasilane przez czterdziestosiędmietrowy zbiornik główny pochłaniając 719 112 kilogramów płynnego wodoru i tlenu. Momentalnie osiągnęły pełną moc i wtedy, unicestwiając 8,5 tony paliwa na sekundę, dołączyły do nich dwa boostery wypełnione dwoma i pół milionami funtów sproszkowanego aluminium wymieszanego ze związkami znitrowanego amoniaku.

W platformę 39 uderzył potworny odrzut. Wśród ogłuszającego huk, ze szczytu wieży, przy której wciąż jeszcze tkwił „Atlantis”, runęła na prom masa 3 206 500 litrów wody na minutę, aby zmniejszyć rosnącą wibrację całego zespołu. W siódmej se-

kundzie od czasu 00.00, gdy wszystkie pięć silników uzyskało łącznie 90% mocy, statek zerwał osiem przytrzymujących go śrub, odchylił się o metr od pionu i masa 20 041 200 kilogramów, zrywając horrendalnym podmuchem barierki, paląc kable, odrzucając źle umocowaną kamerę o dwieście metrów dalej, ruszyła w niebo z szybkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Kadłub minął szczyt wieży i wspinał się coraz pręcej, okręcając się wokół własnej osi i ustawiając w niezwyklej, jakby odwróconej do góry nogami pozycji. W dwie minuty i dziesięć sekund od startu boostery oddzieliły się i opadły łagodnie do Atlantyku, o osiemnaście mil od oczekujących na nie okrętów. W sześć minut i trzysta sekund od odpalenia trzy główne silniki zamilkły, a olbrzymi, pusty już zbiornik został odrzucony. Wahadłowiec, zwrócony do ziemi zamkniętymi drzwiami ładowni, wchodził na orbitę. Znajdował się dokładnie sto pięćdziesiąt mil od powierzchni.

Los „Atlantisa” z dwumegatonowym satelitą na pokładzie zależał teraz od mafii.

Rozdział III

1

Washington, 14 lipca, godzina 13.00

Richard Hannah wrócił do domu po ponad trzydziestominutowej rozmowie z Price'em i położył się na sofie.

Zdał mu raport, ale nie taki, jaki chciał zdać. Powiedział całą prawdę o Sheili Pickard i o „Atlantisie”, obiecał, że będzie na specjalnej naradzie, którą prezydent Dillon zwołał w Białym Domu na 15.20, po czym odmeldował się i z trudem dotarł do swego mieszkania. Bał się spytać, jakie kroki podejmie FBI wobec dziewczyny.

Był skrajnie wyczerpany. Pierwszy raz znalazł się w sytuacji, gdy kobieta, którą kochał, stanęła tak nagle po drugiej stronie barykady. Czuł się oszukany i zniszczony. Podejrzewał również najgorsze — Sheila poszła z nim do łóżka wyłącznie w celu bliższego nawiązania kontaktu, potrzebnego do zgrabnego przygotowania i przeprowadzenia akcji. Odpędzał te myśli, ale natrętnie powracały.

Zapalił papierosa i poszedł do łazienki. Spojrzał w lustro i zaklął. Z tafli szkła spoglądała na niego blada, nie ogolona twarz z podkrążonymi oczami i zmierzwioną strzechą włosów; postarzał się o dobrych kilka lat. Rozebrał się i odkręcił prysznic.

Gdy zmywał mydło z policzków usłyszał dzwonek. Krótki, urywany, jakby niepewny. Z ręcznikiem przerzuconym przez ramię i butelką Old Spice'a w ręku przekręcił zatrząsk.

W progu stała Sheila Pickard.

— Mogę wejść? — spytała cicho. — Jestem sama.

Hannah odwrócił się i poszedł z powrotem do łazienki. Dobiegł go trzask zamka. Weszła do środka.

Po minucie był gotowy. Poprawił nowy krawat, nałożył beżową marynarkę i ruszył na spotkanie.

Sheila zatrzymała się na środku pokoju, rozglądając się nieśmiało po ścianach.

— Więc już wiesz, Richard...

Usiadł i patrzył na nią czekając na dalszy ciąg.

— Nie myśl o mnie źle, Richard, to nie jest tak, jak sądzisz.

— Skąd wiesz, jak ja sądzę?

— Nie proponujesz mi czegoś mocniejszego?

Nalał jej taniego maxima. Niczego lepszego w domu nie trzymał.

— Posłuchaj, Sheila — powiedział. — Nie oszukujmy się i oszczędźmy osobistych wynurzeń. Było, minęło, przeszło gdzieś obok.

— Nie, Richard, nie tak — przerwała.

— Muszę cię uprzedzić, że jesteś prawdopodobnie poszukiwana przez FBI. Teraz, już, w tym momencie. Przypuszczam jednak, że skoro tak dobrze rozegrałaś tę partię, to trzymasz coś w zanzardzu. Wy nie lubicie wielkiego ryzyka. No? Jakie masz zabezpieczenie? Przecież nie przybyłaś tutaj bez zabezpieczenia.

Sheila wypila koniak jednym haustem i odstawiła pusty kieliszek na podłogę. Milczała.

— W takim razie powiedz mi chociaż, który z nich jest waszym człowiekiem. A może to tajemnica? Scott?

— Nie, Dusk — odpowiedziała sucho. — Herbert Dusk.

— Czy ty zdajesz sobie sprawę, że ten człowiek jest już stracony? Bez względu na zakończenie tego waszego przedsięwzięcia, on jest przekreślony. Po-

sadzą go na krześle elektrycznym, zanim pojmie, co się właściwie stało. W najlepszym wypadku zgnije w więzieniu. Aż tak bardzo pozbawieni jesteście ludzkich odruchów?

— On ucieknie, Richard, nie wpadnie w wasze ręce. Są na świecie kraje, gdzie za pieniądze można kupić wszystko. Nawet wolność.

— Jak może uciec?! — wykrzyknął. — Co ty mówisz, kobieto?! Spodziewasz się, że nasi będą czekać z założonymi rękami, aż „Atlantis” siądzie na ziemi, Dusk zeskoczy na pas startowy, spocznie w podstawionym samochodzie i zniknie w sinea dali? Pomyśl chwilę!

— Mówisz tak, jakbyś usiłował mi pomóc, Richard. Czy to nie zabawne? — Sheila uśmiechnęła się blado. — A może ty chcesz mi pomóc? Bylibyśmy bogaci... I razem...

— Opamiętaj się, dobrze? Za kogo mnie masz? Oszalałaś?

— Kocham cię, Richard, tylko ty mi nie wierzysz, prawda?

— Powiedziałem już, abyśmy dali spokój uczuciom. Nie rozumiałaś? — rzekł wyłamując nerwowo palce. — Czy wiesz, że powinienem cię aresztować? Tak, Sheila, aresztować i odstawić do...

— Nie zrobisz tego, nie zrobisz... Jeżeli do 15.00 nie zgłoszę się tam, gdzie powinnam, może być bardzo niedobrze — zawiesiła głos.

— Stare chwytaki. — Hannah poluźnił węzeł krawata. — Dobrze, po co przyszłaś? Tylko mi nie mów, że z własnej woli.

— Z własnej woli również. Jestem tutaj, aby ci przekazać pewne...

— Warunki.

— Tak, warunki. Organizacja chce, by don Pulverino znalazł się poza murami więzienia. Żądają też,

aby policja pozostawiła go w spokoju. Nie może być śledzony, podsłuchiwany i tak dalej. On zniknie i nie ujrzycie go nigdy więcej. Aha, jeszcze jedno. Kluczyk, Richard.

Hannah wstał i przeszedł się po saloniku.

— Nie jestem aż takim idiotą, Sheila. Co się stanie, jeżeli władze odmówią?

— Stanie się wiele złego — mówiła poważnie. — Syndykat daje wam kilka terminów uwolnienia don Pulverina. Jeśli nie wypuścicie go do 16.00, Dusk otworzy na orbicie drzwi ładowni „Atlantisa”. To pierwszy termin.

— Dzisiaj?! — wykrzyknął. — Bzdura! Trzy godziny czasu?

— Organizacja bierze pod uwagę możliwość zajścia trudności. W związku z tym, jeśli nie wyciągniecie odpowiednich wniosków do godziny 6.00 15 lipca, czyli do jutra rano, Dusk rozpocznie próby z wysięgnikiem. Dalej, godzina 15.00 — 26 godzin od obecnej chwili. Gdyby don Pulverino nadal znajdował się za kratami, Dusk wyrzuci w przestrzeń „Teal Ruby”. Wiesz, co to jest, prawda? Pomyślcie więc dobrze.

— A jeśli nie?

— Nie radzę. Wtedy, o 21.30 czasu wschodnioamerykańskiego, Dusk pociągnie za spust. No, może nie dosłownie za spust, ale w każdym razie spowoduje odpalenie ładunku.

Hannah nie wierzył własnym uszom.

— Nie robi tego. Ziemia może zablokować...

— Nie może. W momencie gdy „Atlantis” ma kontrolę nad pociskiem, Houston jest bezradne. „Teal Ruby” będzie słuchać tylko promu, Richard. A Dusk? Cóż ma do stracenia? Jeżeli nie wykona naszych poleceń, nikt mu nie pomoże po powrocie. Mafia ma długie ręce. A tak czekają na niego pieniądze i spokój do końca życia.

— Zabijecie go...

Roześmiała się.

— Nie, kochanie, mafia jest wierna pewnym zasadom, w które ty nigdy nie uwierzysz. Jest sprawiedliwa, nieprzekupna, wynagradza usługi, karze przestępstwa. Mamy własny świat, własne prawa. Żal mi cię, Richard. Dlaczego nie wyzbyłeś się naiwności? Dlaczego jesteś tak ślepo posłuszny regułom, przez nikogo w tym kraju nie przestrzegany? Czy nie widzisz, ile zła czai się dookoła? Kiedyś staniesz się dla kogoś niewygodny i wówczas znajdziesz się na bruku. Kto ci pomoże? Prezydent Dillon? Opowiem ci coś o nim i o Mellonie. Ty szukasz sprawiedliwości w Ameryce? Gdzieś się uchował przez tyle lat, Richard?

— Skończyłaś? — zapytał. — Ja nie lubię filozofowania, Sheila, zostawię to dla ciebie. Interesuje mnie tylko kilka faktów, jeśli można. Kaseta. Twoja robota?

— Tak. Narada była nagrywana. Wszyscy o tym wiedzieli. Część planu.

— Jak można nawiązać z wami kontakt?

— Masz tutaj telefon — wyciągnęła kartkę papieru. — Będę niedaleko stąd. Zadzwoń i daj znać. Nie radzę sprawdzać, do kogo należy ten numer. Pogorszysz sprawę. Zadzwoń osobiście. Z nikim innym nie będę rozmawiała.

Zamilkła. W pokoju zapanowała niezręczna cisza.

— Richard — szepnęła po chwili — zrozum mnie, nie oszukiwałam cię. Byłam szczerą. Może aż zbyt szczerą... Nasze pierwsze spotkanie tam, za miastem... Czysty przypadek. Prawda, potem wiedziałam już, kim jesteś i miałam do ciebie pretensje. Niesłuszne, ale...

— Miałaś do mnie pretensje? O co?

Sheila milczała patrząc w podłogę.

— Nieważne, teraz nieważne, Richard. Pocałuj mnie, nie odtrącaj.

Usiadł na sofie, a ona objęła go za szyję. Całowała mocno i w zapamiętaniu, jakby chcąc zagubić się w tej jednej krótkiej chwili i nie myśleć o koszmarze dnia.

Początkowo chłodny i mimo wszystko pełen rezerwy, teraz przywarł do niej całym ciałem i mocno przygarnął do siebie. Chłonał zapach jej skóry w zagłębieniu ramienia. Była jedwabna, ciepła i bardzo bliska. Odnalazł jej piersi. Znowu zaskoczyła go ich delikatność. Sheila zatracala się w pieszczotach tuląc się do jego rąk.

— Kocham cię — powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie.

— Chodź — szepnęła i pociągnęła go w kierunku sypialni.

Później, gdy odpoczywali leżąc na łóżku, Hannah zapytał:

— Powiedz mi, dlaczego ci tak zależy na tym don Pulverinie?

Sheila Pickard przypaliła papierosa sobie i jemu. Rzuciła zapalkę do popielniczki i zaciągnęła się dymem.

— Noszę inne nazwisko, Richard, ale on jest moim ojcem.

2

Washington, 14 lipca, godzina 14.00

Prezydent Dillon pojął, że od decyzji, które przyjdzie mu podjąć w ciągu najbliższych godzin, zależy będzie nie tylko jego dalsza kariera polityczna

i osobista, lecz, o czym miał dowiedzieć się ostatecznie za sześćdziesiąt minut, los całego narodu. Czuł się jak zwierz w potrzasku — z jednej strony powinien natychmiast uwolnić mafiosa, by oddalić groźbę, jaka zawisała w przestrzeni okołoziemskiej, z drugiej zaś musiał dostosować się do poleceń tego, który nim kierował, do rozkazów Andrew Mellona.

Andrew Mellon był bardziej opanowany niż poprzednim razem. Mówił spokojnie i dobierał słowa. Zdawać się mogło, że ten sześćdziesięcioletni mężczyzna jest niegroźnym biznesmenem, lecz za parawanem ogłady Dillon dostrzegł czającą się śmierć.

— No cóż, Norbert, szkoda, że pozwoliłeś, szkoda... Czy wiesz już, czego oni chcą? — spytał.

Prezydent pokręcił przecząco głową.

— Za godzinę mam naradę.

— Ale chyba domyślasz się, prawda?

— Josepha Pulverina.

Mellon westchnął ciężko i położył na biurku swoją chudą, pomarszczoną dłoń. Na środkowym palcu połyskiwał krwawym okiem duży, złoty sygnet.

— Norbert, Norbert... Dlaczego mnie nie posłuchałeś... Masz teraz problem — mówił. — Jak go rozwiążesz?

Dillon przełknął ślinę i opanował drżenie głosu.

— To zależy, co mi doradzą moi ludzie, Andrew.

Brew Mellona podniosła się nieznacznie do góry.

— Mów dalej, słucham cię — powiedział.

— Prawdopodobnie trzeba go będzie jednak zwołać, ale — mówił coraz szybciej, by nie pozwolić staremu dojść do słowa — gwarantuję ci, że wcześniej czy później znowu wpadnie w nasze ręce. Przecież nie ujdzie daleko, na Boga, mamy policję, wojsko,

postawimy na nogi wszystkich. Będzie nasz, zobaczysz. Ale teraz musimy... Musimy...

Mellon nie zamierzał przerywać gorączkowych wywodów Dillona. Czekał, aż skończy.

— On nie będzie wasz, Norbert i dobrze o tym wiesz. Z chwilą gdy go wypuścisz, Pulverino zniknie. Albo sami się nim zaopiekują, odzyskają dokumentację i zabiją, albo tak ukryją, że nawet Price nic nie poradzi. Wiesz, co się stanie ze mną i moimi ludźmi, jeśli mafia dojdzie do siebie? Nie jestem sam, zrozum mnie, przyjąłem pewne zobowiązania i muszę je wypełnić. W przeciwnym wypadku stracę bardzo dużo. A jeśli stracę, to nie chciałbym być w twojej skórze. Bo widzisz, nauczyłem się czegoś od Cosa Nostry. Nauczyłem się określonych sposobów wyrażania wdzięczności, nienawiści i pogardy. Pamiętaj o tym, pamiętaj o wyborach, o opinii, prasie. Przemysł to wszystko.

Dillon uśmiechnął się w duchu. Od kilku dni niczego innego nie robił. Myślał o sobie. Nigdy przedtem nie uzależnił się do takiego stopnia od praktycznie obcego mu człowieka. Gdy rozpoczynał karierę polityczną, nieobce mu były powszechnie stosowane sztuczki zmierzające do zdobycia jak największych wpływów wśród przyszłych wyborców. Opierały się na pieniądzach, a tych Dillon nie posiadał zbyt wiele. Nie należał do ubogich, przeciwnie, miał spore udziały w kilku przedsiębiorstwach, ale zyski owe stanowiły zaledwie kroplę w morzu potrzeb.

Dla laika historia USA pełna jest przykładów niespodziewanie szczodrych darów płynących do banków Białego Domu od najbogatszych ludzi w kraju. On znał prawdę. Hunt, Morganowie, Ford i Rockefeller mieli w tym prywatne interesy i mimo iż kadencje kolejnych prezydentów kiedyś się zawsze

kończyły, oni trwali nadal. Tak jak Andrew Mellon.
— Powiem ci, co zrobisz — stwierdził po chwili przemysłowiec. — Ty decydujesz, nie myślę się? Nie dopuścisz, powtarzam, nie dopuścisz, za żadną cenę nie pozwolisz, by Pulverino znalazł się na wolności. A w obecnej sytuacji, Norbert, jedynym sposobem, by tego dokonać, jest... — zawiesił głos. — No, jak myślisz?

Dillon zamarł. Już wiedział.

3

„Atlantis”, 14 lipca, godzina 13.00 czasu wschodnioamerykańskiego

60 minut od startu „Atlantis”, odwrócony „plecami” do Ziemi, znajdował się dokładnie nad stacją nasłuchu w Gabarone, 160 mil nad powierzchnią.

Dusk zdenerwował się po raz pierwszy w chwili po tym, jak cielsko zespołu startowego oderwało się od betonowej platformy. Łączność z Houston, przedtem „loud and clear”, poczęła szwankować. Mimo stale rosnącego przeciążenia usiłował wyregulować nadajnik, lecz pasy trzymały zbyt mocno, a kłępujący ruchy kombinezon nie ułatwiał zadania. Poprzestał więc na krótkim meldunku, iż słyszy słabo i jakby z przerwami. Poza tym wznoszenie przebiegało normalnie.

Houston nadawało wtedy standardowe komunikaty o sile wiatru, szybkości promu i jego aktualnej pozycji. Wiadomości te nie były aż tak ważne dla załogi „Atlantisa”, gdyż astronauta w żaden sposób nie mogli mieć wpływu na warunki atmosferyczne, a K-4 i tak wyrysowywał położenie statku na swym czołowym monitorze. Dusk i Scott milczeli prakty-

cznie przez cały czas przebijania się przez gęste warstwy atmosfery.

Sytuacja zmieniała się radykalnie, gdy po osiągnięciu podstawowej orbity na wysokości 150 mil, Houston nagle zamilkło. Całkiem nagle i bez widocznej przyczyny. Dusk zdenerwował się wtedy po raz drugi. Wywołał Mission Control, ale Ziemia nie odezwała się wcale. Zaklął i wyrzucił Scotta do przebierałni. Sam manipulował pokrętłami nadajnika. Zmienił częstotliwość na awaryjną, która uruchamiała drugą antenę „Atlantisa”. Mimo to w eterze nadal panowała cisza.

Scott wrócił. Miał teraz na sobie lekki kombinezon wzoru CMN.

— Sprawdź anteny — rzucił Dusk, nie odrywając wzroku od skali radia.

— Trzeba rozmontować całą komorę...

— Rób, co ci mówię, do cholery? I zrób to dobrze! — krzyknął Dusk chwytając się poręczy, gdyż zbyt gwałtowny ruch odrzucił go do tyłu.

Scott odpląnął na poziom trzeci, przeciskając się przez wąskie przejście.

Dusk zdjął z siebie ciężki, ciśnieniowy skafander i został tylko w podkoszulku i szortach. Ubranie pozęgłowało nad jego głową. Odruchowo spojrzął za nim i zatrzymał wzrok na wizjerach wychodzących na ładownię statku. W dole leżała Ziemia. Piękna, niebieskobiała, z mapą brązowych kontynentów. Lecieli nad Afryką.

Wtedy usłyszał Houston.

— ...czycie?! Odezwijcie się! „Atlantis”! Roy White z Mission Control przez Gabarone. Opamiętaj...

Tyle. Później cichy trzask i głośnik zamilkł.

Dusk skoczył do nadajnika. Spojrzął na chronometr — sześćdziesiąta minuta lotu. Wiedział, że musi

przekazać meldunek, na który tamci czekali. Ustawił radio na Gabarone i wywołał stację. Odpowiedziała dźwięczącą ciszą. Trzasnął pięścią w fotel — Gabarone należała do łańcucha trackingu, a wszystkie jego ogniwa działały w zależności od Houston! Gdy Houston miało awarię, łączność z Ziemią zanikała. Prosta zasada połączenia szeregowego. Ale to się nigdy nie zdarzyło! Nigdy przedtem. Zawsze musi być ten pierwszy raz...

— Anteny są OK — zameldował Scott.

— Niech ich diabli! To im zależy, a nie mnie. Co się gapisz? Ciągniemy wszystko dalej. Nic się jeszcze nie stało. A oni? — popatrzył w iluminatory. — Oni sami nas znajdują. Muszą.

Siadł przy nadajniku i zatopił się w myślach.

4

Washington, 14 lipca, godzina 15.20

„...Jeżeli do tego czasu warunki nasze nie zostaną spełnione, jestem zdecydowany odpalić ładunek i skierować go na terytorium Stanów Zjednoczonych.”

Dillon wyłączył magnetofon.

W Gabinetcie Ovalnym zebrali się: generał Sheenan, Reginald Price, Albert Conn, Brian Hatcher, Richard Hannah i Nick Malcolm. Wysłuchali krótkiego nagrania dwukrotnie. Sytuacja była zupełnie jasna — Dusk chciał, aby Joseph Pulverino opuścił więzienie. Podawał kilka terminów, a na koniec termin ostateczny: 15 lipca, godzina 21.30.

Taśma pochodziła z Houston i przekazał ją telefonicznie Roy White kilkanaście minut temu.

— Pan Hannah? — zaczął Dillon.

— Potwierdzam, panie prezydencie. O 14.00 nawiązano ze mną kontakt. Warunki są identyczne. Chcą Pulverina.

— Kto? — spytał Conn.

Hannah minął jego wzrok.

— Sheila Pickard — powiedział spokojnie.

— Wiemy, gdzie ona jest. Ale chyba nie należy jej ruszać, co? — dopytywał się Price.

— Twierdzi, że to pogorszy sprawę...

— Więc chyba trzeba go wypuścić — podsumował szef FBI.

— Popieram — włączył się Conn.

— A pana zdanie? — spytał Dillon Sheenana. General wstał z fotela.

— Zagrożenie jest poważne. Dusk rzeczywiście może spowodować odpalenie „Teal Ruby”. Na pokładzie „Atlantisa” znajdują się urządzenia, które uniezależniają prom od sterowania naziemnego. Innymi słowy: satelita jest w jego rękach. To nie zabawka, to dwie megatony, panowie. Trudno sobie wyobrazić skutki ewentualnej eksplozji. Co robić... Nie wiem, szczerze, nie wiem.

— Czy sądzi pan, że należy ewakuować — zaczął Malcolm, ale Dillon mu przerwał.

— Żadnych ewakuacji, Nick, wykluczone. Czy wie pan, jaki efekt przyniosłoby przemieszczenie ludności? Panika, zamieszanie... Klęska, absolutna klęska.

— O czym wy mówicie, panowie? — wtrącił Sheenan. — Jaka ewakuacja? Dokąd? Skąd? Przecież nie znamy nawet miejsca, w które Dusk chce strzelać! Koszmar...

Albert Conn poprosił o głos.

— Sądzę, że trzeba szybko podjąć decyzję, panie prezydencie. Przede wszystkim, w żadnym wypadku nie wolno powiadamiać prasy. Ma pan rację, wy-

buchnie panika. Dalej, ograniczyłbym do niezbędnego minimum personel Houston i wydałbym tym ludziom zakaz opuszczania budynków Mission Control. W przeciwnym razie plotka ruszy z szybkością błyskawicy. Po trzecie, należy jakoś wpłynąć na stacje trackingowe. Może pan Hatcher...

— Tak, to da się zrobić. Łączność przechwyci Houston. Jest w stanie przejąć kompletny nasłuch — potwierdził dyrektor NASA. — Zgodnie z zarządzeniami wewnętrznymi Roy White zajmie się tym osobiście.

Norbert Dillon przypatrywał się mówiącym z pozorną uwagą. Układał w głowie myśli, które musiał przedstawić, gdyż nie miał innego wyboru. Wstał.

— Panowie, ja zdecydowałem inaczej. Dla dobra kraju i narodu.

Sheenan wyczuł intencję prezydenta.

— Chyba nie chce pan... — urwał przerażony.

— Rozmyślałem nad zaistniałą sytuacją i — przelknął ślinę — nie mogę postąpić inaczej. Ameryka znalazła się w niebezpieczeństwie, panowie. Czy zdajecie sobie sprawę, że po raz pierwszy od czasów Zatoki Świń krąży nad krajem widmo nuklearnej zagłady? Zagłady, która nastąpi, jeśli nie podejmie się stanowczych kroków. Nie wolno jest nam okazać, że administracja jest słaba, że nie potrafi załatwić problemu szybko i skutecznie. I to jakiego problemu — prom kosmiczny w rękach porywaczy! Skandal! Gdyby społeczeństwo dowiedziało się o kulisach afery „Atlantis”, bylibyśmy skończeni. I jako politycy, i jako ludzie. Wysłuchałem waszych propozycji w zasadzie zgadzam się z nimi. Jedno zastrzeżenie: nie wydam nikomu Josepha Pulverina.

W gabinecie nastąpiło zamieszanie. Mówili

wszyscy z wyjątkiem Sheenana, który odwrócił się do okna i spoglądał na kwitnący ogród róż.

Dillon uniósł do góry rękę.

— Panowie, proszę o spokój. Roy White z Houston usiłował nawiązać łączność z „Atlantisem”. Łączność jest bardzo słaba i praktycznie nie istnieje. White podejrzewa, że Dusk celowo wyłączył nadajnik. Kontakt nawiązano zaledwie raz czy dwa razy, a rezultat znacie panowie z taśmy. Później statek zamilkł. Są więc zdecydowani. Ja zdecydowałem również.

— Panie prezydencie — Sheenan przemówił niespodziewanie silnym głosem. — Jeśli pan to zrobi, ja rezygnuję ze stanowiska ministra obrony USA. Tam, na pokładzie „Atlantisa” znajduje się gangster. Zgoda. Ale jest tam też człowiek, który o porwaniu nie miał najmniejszego pojęcia! Czy godzi się ratować Pulverina kosztem życia niewinnej jednostki? Gdzie sumienie, panie prezydencie?

— O czym panowie mówicie? — wyrwał się Hatcher.

— Odpowiem, generale Sheenan — kontynuował Dillon. — Życie jednego człowieka jest niczym w porównaniu z perspektywą milionowych ofiar. A taka perspektywa rysuje się coraz wyraźniej. Nie widzi pan tego? Niech pan mnie zrozumie.

— Nie zrozumie pana! — przerwał Sheenan. — Nie chcę zrozumieć! — krzyknął. — Wiem, kto za tym stoi, Dillon! Umywam ręce. Historia pana osądzi. Żegnam panów.

Stał na baczność, pochylił głowę i wyszedł.

Flegmatyczny jak zawsze Price przerwał ciszę.

— Czy mógłby pan nam wyjaśnić, w czym tkwi sedno tego... nieporozumienia?

Prezydent wrócił za biurko i wolno usiadł na fotel. W ciągu kilku minut przybyło mu sporo lat.

Przetarł dłońmi twarz i szybkim ruchem wcisnął intercom. Poprosił swojego adiutanta.

Do gabinetu wkroczył pułkownik Wright. Dillon wskazał mu wolne krzesło.

— Oto, co postanowiłem, panowie — Dillon zacisnął pięści. — Zniszczymy „Atlantisa”.

5

Houston, 14 lipca, godzina 15.30

Na wypadek niebezpieczeństwa przewidziano trzy rodzaje alarmów.

Alarm niebieski był ogólnym ostrzeżeniem dla pracowników Houston Mission Control i wymagał od nich podwyższonej gotowości wobec możliwości awarii któregoś z zespołów promu stojącego na platformie startowej.

Alarm zielony ogłaszano wówczas, gdy statek znajdował się w atmosferze, do wysokości 30 480 metrów. W stan gotowości stawiano wtedy nie tylko Houston, lecz również okręty floty amerykańskiej, których zadaniem była szybka lokalizacja ewakuujących się z wahadłowca astronautów, wyłowienie ich z Atlantyku i odstawienie do bazy.

Alarmu czerwonego Houston nigdy jeszcze nie przeżywało. 14 lipca, po raz pierwszy w historii amerykańskich lotów kosmicznych, odezwały się syreny głoszące, że „Atlantis” znalazł się w niebezpieczeństwie, poza zasięgiem możliwości ratowniczych Ziemi.

Roy White i ludzie w sali głównej rozumieli paradoks sytuacji. To nie „Atlantisowi”, ale Ameryce groziło niebezpieczeństwo. Tego jednak systemy zabezpieczające nie uwzględniały. Alarm czerwony

głoszono w dwudziestej minucie po starcie. Roy White otrzymał wtedy telefon o porwaniu. Dzwonił Biały Dom, a prezydent Dillon wyjaśniał swój pierwszy krok. Zgodnie z instrukcjami White włączył „Red Alert”, przejmując tym samym funkcje szefów grup A-1, A-2 i A-3 oraz nasłuch trackingu.

Łączność szwankowała. Mimo iż ponownie sprawdzono połączenia ze stacjami, głośniki milczały. W pięćdziesiątej minucie lotu, gdy „Atlantis” mijał Madryt, Roy White zdołał wychwycić z eteru kilkanaście niezrozumiałych zadań, które po wnikliwej analizie poskładał we względnie logiczną i straszliwą całość. Słyszalność była bardzo słaba. Głos, jak niektórym wydawało się głos Duska, stawiał warunki i podawał terminy. Najgorsze przyszło na koniec. „Jeżeli do tego czasu warunki nasze nie zostaną spełnione, jestem zdecydowany odpalić ładunek i skierować go na terytorium Stanów Zjednoczonych.”

Roy White sięgnął pod swój pulpit, wyłączył magnetofon, zmienił skalę odbioru przesuwając ją na Gabarone i podniósł słuchawkę linii Białego Domu. Za dziesięć minut wahadłowiec powinien znaleźć się w zasięgu radarów afrykańskich i White liczył na ponowny kontakt. Przedtem jednak wykonał telefon do prezydenta Dillona i przekazał nagraną taśmę.

O 13.00 czasu wschodnioamerykańskiego prom przelatywał nad Nigerią i Roy White krzyknął w mikrofon:

— Houston Control! Houston Control do „Atlantisa”! Dlaczego milczycie!? Odezwijcie się! „Atlantis”, Roy White z Mission Control przez Gabarone. Opamiętajcie się! Co robicie!

To właśnie te słowa, a raczej ich fragment, słyszał Dusk na orbicie.

Kontrolerzy nie doczekali się odpowiedzi. Później z Białego Domu przyszedł rozkaz, by zamknąć dostęp do Houston. Nikt z pracowników nie mógł teraz opuścić budynku, ani nawet porozumieć się telefonicznie ze swoją rodziną.

Prasę zawiadomiono, że misja przebiega normalnie i że załoga „Atlantisa” przystąpiła do kolejnej serii naukowych eksperymentów, mających na celu zbadanie topliwości metali w warunkach próżniowych.

6

Washington, 14 lipca, godzina 16.00

Hannah wrócił do domu i otworzył butelkę whisky. Napełnił szklaneczkę do połowy i wypił duszkiem. Poczuł się znacznie lepiej.

Cofnął się myślą do Oval Office...

— Zniszczyć „Atlantis”? — wykrzyknął Hatcher. — Jak?!

— Tak, zniszczymy prom. Innej drogi nie ma i bardzo mi z tego powodu przykro, panowie — powiedział Dillon.

— Panie prezydencie — głos Nicka Malcolma drżał. — Jakim sposobem? Chce pan ich zestrzelić? Dillon skinął głową.

— Nie znam się na tym, ale orientuję się na tyle, by wiedzieć, że nigdy jeszcze nie praktykowano podobnych rzeczy — powiedział Conn.

— Nie bądź pan śmieszny — Price zapalił fajkę. — Kto kiedykolwiek strzelał do orbitującego wahadłowca? W dodatku własnego wahadłowca. Odkrycie pan zrobił, Conn.

— Panie prezydencie, zdaje pan sobie sprawę, że

ładunek konwencjonalny tutaj nie wystarczy — wtrącił Hatcher. — Stany Zjed...

— Stany Zjednoczone nie posiadają już na składzie ładunków konwencjonalnych — przerwał Conn. — Nie myślę się, prawda?

— Trzeba będzie użyć rakiety międzykontynentalnej — kontynuował Hatcher. — Czy wyobraża pan sobie efekt, jaki wywoła eksplozja w przestrzeni kosmicznej? Nie mówię tutaj o skutkach chemicznych, ale o reakcji innych państw. Zerwie pan układ o zakazie prób atomowych poza Ziemią, zniweczy pan wszelkie szanse na postęp w rokowaniach rozbrojeniowych, zniszczy pan pomost między Wschodem i Zachodem. Zdaje pan sobie sprawę z tego? A wracając do eksplozji, panie prezydencie. Pan Conn ma rację. Nigdy nie strzelano w Kosmos. Nigdy. Dlatego nie mamy żadnych gwarancji, że rakieta osiągnie cel. Pomyślał pan o tym? Co się stanie wówczas, gdy wybuchnie w atmosferze? Skończyłem.

Dillon dał znak adiutantowi.

— Międzykontynentalne pociski batalistyczne — zaczął pułkownik Wright — opuszczają atmosferę ziemską w kilkanaście sekund po odpaleniu. Można więc stwierdzić, że zostały wielokrotnie wypróbowane w przestrzeni kosmicznej. Zwłaszcza najnowsza generacja pocisków MX. To prawda, że nigdy jeszcze nie testowano ich w warunkach, o których wspomniał dyrektor Hatcher, ale sądzę jednak, że nie stanie się nic nieoczekiwanego. Kwestia polega na zmianie, na wydłużeniu trajektorii lotu pocisku, a moc silników MX jest tak duża, iż nie widzę tutaj problemu.

— Ale skutki, panie prezydencie, skutki! — wykrzyknął Hatcher.

— Skutki biorę na siebie — odparł Dillon. — Międzynarodo...

— Zostawmy sprawy międzynarodowe — nie wytrzymał dłużej Hannah. — A ludzie? Co się z nimi stanie? O ile dobrze zrozumiałem, pułkownik Wright nie dawał głowy, że rakietą trafi w cel, prawda panie pułkowniku?

Adiutant poruszył się niespokojnie na krześle.

— Prawda? — powtórzył Hannah głośniej.

— No cóż, nie mogę dać zupełnych gwarancji.

— Właśnie! Jeśli głowica rozerwie się w atmosferze, rozpęta się koszmar. Panika, opad radioaktywnej i cała reszta, panie prezydencie. To już nie chodzi o tych dwóch na „Atlantisie”, tutaj idzie o paręset tysięcy ludzi. Czy to również ma pan na uwadze?

— Kim pan jest, do cholery, że przemawia pan do mnie tym tonem?! Zabraniam...

Hannah nie pozwolił mu dokończyć. Przypomniał sobie słowa Sheili i reakcję Sheenana.

— Kto pana popiera, panie prezydencie, bo nie ludzie! — ciągnął wzburzony. — Kto?! Czyżby niejaki Andrew Mel...

— Niech pan zamilknie! — Dillon uderzył pięścią w stół. — Niech pan zamilknie, powtarzam! To oszczerstwo rzucone w twarz prezydenta Stanów Zjednoczonych! Kim pan jest?! Price! — zwrócił się do dyrektora FBI. — Zwolni go pan ze skutkiem natychmiastowym! Słyszysz mnie pan? Natychmiastowym!

Price postukał fajką w kryształ popielniczki.

— Panie prezydencie, FBI nie podlega bezpośrednio panu. FBI i CIA — powiedział — podporządkowane są Zarządowi Wywiadu USA. Zarząd natomiast uzależniony jest od decyzji Krajowej Rady Bezpieczeństwa. Jeśli Rada uważać będzie za stosowne zwolnić pana Hannaha, który przyznaję, zachował się nieco... agresywnie, dostosuję się. Ale teraz po-

zwoli pan, że odmówię. Hannah jest dobrym pracownikiem. Może zbyt nerwowym...

— Więc nie chce pan!? Dobrze. Ja postaram się wpłynąć na Radę, a Rada wpłynie na pana, Price.
— Dillon wstał. — Nie widzę dalszego sensu w kontynuowaniu tego spotkania. Odpowiedzialność biorę na siebie. Tylko ja. Żegnam panów.

Hannah nalał sobie następnego drinka. Price nie chciał z nim rozmawiać po tym, jak opuścili Oval Office i Hannah nie był pewien, czy nadal jest pracownikiem FBI, czy już nie.

Kilka minut po 16.00 zadzwonił telefon.

— Richard, pierwszy termin minął — usłyszał głos Sheili Pickard.

Hannah odstawił szklaneczkę na stół.

— Pomyliłaś adres, kochanie.

W słuchawce coś zachrobotało.

— Nie rozumiem. Piłeś coś?

— Owszem.

— Co się stało? — pytała lekko zdenerwowana.

— Zdaje się, że wylano mnie z pracy.

— Żartujesz.

— Wcale.

— To wspaniale! — wykrzyknęła wesoło. — Teraz możemy być razem! Powiedz, że tak, Richard, powiedz! Czy nie mówiłam ci, że kiedyś polecisz na bruk? Miałam rację. Posłuchaj, przejdź do nas, to uczciwa propozycja. Nadal masz swoje naiwne wątpliwości?

— Nie wiem czy naiwne, ale mam. I w dodatku — zapalił papierosa — jeszcze mnie oficjalnie nie wylano. Po drugie, kochanie, nie uważasz, że to takie książkowe?

— Co?

— No, policjant przechodzi na przeciwną stronę barykady. Już było.

— Richard, przemyśl ofertę, przemyśl ją poważnie. Przedtem jednak uprzedź kogo trzeba, że Dusk wkracza do akcji. Zgodnie z umową.

— Jednostronną.

— Innej nie chcieliście. Co nowego w Białym Domu?

Hannah zawahał się. Zgniół papierosa. Miał nadzieję, że nie zada tego pytania.

— Nic — skłamał. — Nic nowego.

— Kończę, Richard, do zobaczenia. I niech twoi chlebodawcy nie zapomną, że mają bardzo mało czasu. Całuję cię.

— Ja ciebie.

Odłożył słuchawkę i pomyślał, że żyje w paranoi. On, funkcjonariusz policji, zakochany po uszy w dziewczynie pracującej dla mafii.

Nalał do szklaneczki podwójną porcję.

7

Houston, 14 lipca, godzina 16.15

Roy White zerknął na ekran trajektorii. Świetlisty punkcik „Atlantisa” przesuwał się nad Ameryką Południową. Za kilkanaście sekund wejdzie w zasięg Santiago, a wtedy nastąpić miał pierwszy przewidziany programem seans łączności telewizyjnej.

White wbił wzrok w chronometr. Gdy prom osiągnął strefę Chile, ekran numer dwa, dotychczas ciemnozielony, rozbłysnął najpierw purpurą, która szybko przeszła w amarant, a potem pojaśniał na niebiesko. Głośniki zaskrzeczały, ale gdy tylko White sięgnął ręką do pulpitu, zamilkły. Pojawił się natomiast niewyraźny obraz.

Kamera wycelowana w rufę wahadłowca pokazywała zamknięte drzwi ładowni. Za moment ponad osiemnastometrowa, podwójna klapa uniosła się lekko do góry, po czym opadła.

White szarpnął uchwytem przełącznika mikrofonu i dał pełne wzmocnienie sali.

— Dusk! Co robisz? — krzyknął z pominięciem obowiązujących formułek wywołania. — Zaczekajcie! Zastanów się, na Boga! Masz jeszcze czas. Przerwij misję i wracajcie na Ziemię. Nie stanie ci się nic złego! Jak mnie słyszycie? Jak mnie słyszycie?

Jakość obrazu uległa poprawie. „Atlantis” otwierał powoli ładownię. Kontrolerzy wstrzymali oddech. Gdy drzwi rozwarły się na pełną szerokość, ich oczom ukazała się zawartość, którą dotychczas zazdrośnie ukrywały. Na dnie, zabezpieczone mocującymi uchwytami, spoczywało na dziewięć metrów długie metaliczne cygaro z siecią czarnych wlotów urządzeń naprowadzających. Cygaro wypełnione megatonami atomowej śmierci.

— Nieźle — mruknął Keith Benty. — Roy, co jest właściwie z tą łącznością? — spytał podchodząc bliżej. — Nigdy nie mieliśmy takich kłopotów.

White wzruszył ramionami.

— Mnie pytasz? A kto sprawdzał tracking? Ty, Keith, nie ja.

Keith Benty patrzył na „Teal Ruby”.

— Myślisz, że on tego użyje? — spytał.

— Założę się, że tak, Keith, założę się, że tak... Teraz wracaj na swoje miejsce.

White przesunął skalę odbiornika na maksymalny zasięg, ale „Atlantis” minął już Santiago. Obraz telewizyjny zamigotał, zafalował, rozległy się jakieś piski i ekran numer dwa zgasł.

Washington, 14/15 lipca, godzina 00.00

Czekała na niego o północy. Okryta cienkim płaszczem narzuconym na ramiona, siedziała samotnie na schodach przed jego mieszkaniem.

Hannah wracał z późnej wizyty u Price'a. Reginald Price odbył drugie spotkanie z prezydentem o godzinie 21.00. Dillon potwierdził zamiar zestrzeżenia promu, ale ograniczał się tylko do ogólnych faktów i nie podał ani czasu, ani miejsca odpalenia MX. Poświęcił Price'owi zaledwie dziesięć minut, wymawiając się licznymi obowiązkami. Na temat popołudniowego incydentu nie było w ogóle mowy. Sam Price nie podjął jeszcze żadnych wiążących decyzji. Kazał czekać, ale na wszelki wypadek zawiesił Hannahą w wykonywaniu obowiązków dyrektora C-3. Hannah był więc praktycznie bez pracy.

— Co tutaj robisz? — spytał i dotknął jej ramienia.

— Przemyślałeś?

— Co?

— Czy przemyślałeś propozycję, Richard?

Hannah otworzył drzwi i weszli do środka.

— Nie miał nic do jedzenia i musieli ograniczyć się do krakersów i soku pomarańczowego.

— Nie masz szans, panie Hannah, Price cię wyrzuci.

— Już to zrobił. Co ty na to?

— Już? Istna błyskawica.

— Niezupełnie. Zawiesił mnie. Boi się Dillona. Machnęła ręką i naląła sobie więcej soku.

— I jeszcze się łudzisz? — spytała.

— Jeszcze.

Przysiadła się bliżej i ujęła jego dłoń.

— Richard, czy naprawdę nie pojąłeś, że to ko-

niec? Nie masz pracy, a jeśli będziesz nadal podskakiwać, dobiją cię mocniej.

— Sądziysz? — mruknął nie patrząc na nią.

— Powiedz mi, kiedy po raz ostatni widziałeś się z Neilem Kane'em?

— Z Neilem? Zaraz... — nie pamiętał. — A co to ma do rzeczy?

— Nic. Usiłuję ci tylko wytłumaczyć, że nie ma na nich mocnych. Neil Kane zaginął, Richard.

Myślał, że się przesłyszał.

— Zaginął?! Zwariowałaś?!

— Nie, nie zwariowałam. Mecenas Kane, który trząsał Waszyngtonem, zniknął. Nie pytaj mnie tylko, skąd o tym wiem. Wiem i już. I nie syndykat maczał tutaj palce, nie organizacja. Kane znał zbyt wiele szczegółów dotyczących naszych powiązań z rządem, Richard. Dla nas nie był groźny, przynajmniej nie aż tak groźny, by mafia miała się go bać i zabić. To twoi zwierzchnicy, kochanie, zajęli się panem Kane'em. Nie wierzysz? Zadzwoń i spytaj. Swoją drogą to dziwne, że Price, twój kochany Price, o niczym ci nie wspomniał prawda? — spytała ironicznie.

Hannah zerwał się i podszedł do telefonu. Prywatny numer Kane'a nie odpowiadał.

Zadzwoił do Daniela Brocksxa.

— Daniel? Nie śpisz? Tu Hannah. Słuchaj, co jest z Kane'em? — zaczęła.

Po tamtej stronie zaległa cisza, po czym usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

— Przyjaciel nie chce z tobą rozmawiać? — roześmiała się Sheila. — Widzisz, jak działa strach, Richard? Koledzy domyślają się już, co się kroi. Stałeś się nagle niewygodną znajomością i lepiej się do ciebie nie przyznawać, co? — wstała z fotela. — Teraz poważnie. Jeszcze trochę, a Dillon, Price,

Mellon i reszta dojdą do wniosku, że to przez ciebie wybuchła afera „Atlantisa”. Zwałą na ciebie winę, zrobią kozłem ofiarnym, bo któż bardziej nadaje się do tej roli, jeśli nie ty?

Hannah nie odzywał się.

— Nic nie mówisz... Price może zatrzyma cię przy sobie. Jesteś potrzebny, masz kontakt z mafią. Ale już niedługo, kochanie. Później cię wykończą — powiedziała. — Żal mi ciebie.

— Przestań, do cholery, litować się nade mną! — krzyknął nie panując nad sobą.

Zawadził ręką o talerzyk z krakersami. Ciastka rozsypały się po podłodze.

— Przepraszam cię, nie mam pojęcia, co mnie napadło. Nie jestem w formie — usprawiedliwiał się. — Dziwisz się?

— Nie. Chcesz, żebym została?

— Nie dzisiaj, Sheila, nie gniewaj się.

— Rozumiem. Bardzo cię kocham, Richard.

Podeszła do drzwi.

— Przypomnij panom z Białego Domu, że o 6.00 Dusk uruchomi wysięgnik.

9

Houston, 15 lipca, godzina 6.00

Trzymają się rozkładu, jakby prowadzili zwyczajne testy — zauważył Keith Benty. — Zimna krew, cholera...

Na ekranie, który włączył się ponownie na kilkanaście sekund przed planowanym czasem, pojawiło się długie „ramię” wbudowane w ścianę ładowni od strony kamery telewizyjnej. Niewidoczne podczas pierwszej transmisji, obecnie widać się

jak metalowy wąż, zginając się i na powrót prostując wokół czterech przegubów. Było zakończone specjalnym „widelcem”, który mógł podnieść dwadzieścia dziewięć ton ponad burtę statku. Ładunek utrzymywał się wówczas na tej samej co prom orbicie lub zmieniał ją w zależności od potrzeb. „Ramie” krążyło teraz nad okrągłymi wypustkami wystającymi z cielska „Teal Ruby”, przymierzając się do pewnego uchwytu.

— Zaskakuje mnie ich opanowanie, Roy — ciągnął Keith Benty, stojąc o krok od pulpitu White'a. — Nigdy nie sądziłem, że Dusk będzie do czegoś takiego zdolny. Nigdy.

— Znasz go? — spytał White wpatrując się w monitor.

Benty popatrzył na niego zdziwiony.

— Czy znam? A ty go nie znasz? Co jest z tobą, Roy? Ileż to razy odwiedzali Houston? Cztery? Pięć razy. Byli tutaj pięć razy przed startem. Nie pamiętasz?

Roy White położył rękę na swojej piersi.

— Źle się czuję, Keith.

Benty ujął go za łokieć.

— Zastąpić cię? Słabo ci? Fakt, duszno tu jak diabli. Odpocznij, Roy.

— Nie, daj spokój... Mam trochę kłopotów z sercem. Od kilku lat.

— Może jednak...

— Nie, nie trzeba, jest OK. Dziękuję ci. Idź już do siebie — powiedział White koncentrując się na wskaźnikach.

Uśmiechnął się w duchu. Serce nie bolało go wcale.

New York City, 15 lipca, godzina 11.00

„Lot «Atlantisa» przebiega normalnie mimo drobnych usterek łączności. A oto wiadomości sportowe...”

William Lawrence Ross wyłączył odbiornik. Spojrzał na stertę pism, która rosła w rogu pokoju od 15 kwietnia, kiedy to zaszył się tutaj na dobre. Trzy miesiące dobrowolnego zamknięcia...

Prasa nie podawała żadnych szczegółów dotyczących jego osoby w związku z aferą Pulverina. Ograniczyła się zaledwie do kilku wzmianek na temat rabunku i morderstwa przy Charrington 53B, a potem zajęła się tylko postacią Capo Tutti Capi. William Lawrence Ross był bezpieczny.

Dzisiaj rano doszedł jednak do wniosku, iż należy mimo wszystko zmienić miejsce zamieszkania. Chociaż przez cały ten czas nikt nie zainteresował się nim w sposób wzbudzający podejrzenia, Ross postanowił opuścić Nowy Jork i ruszyć na południe Stanów. Dlaczego akurat na południe? Nie wiedział. Może to wpływ Florydy oglądanej wczoraj podczas startu „Atlantisa”...

Z rozsyhajacej się ze starości szafy wyciągnął podartą walizkę i otworzył zameczek. Na wierzchu leżał nowiuteńki, biały garnitur, świeża koszula i komplet bielizny. Wyłożył ubranie na stół, po czym sięgnął ręką na samo dno nesesera. Do garnituru dołączyła para eleganckich butów i niewielka „dyplomatka” z jasnej skóry. Miał wszystko, czego potrzebował.

Ruszył w kąt pokoju i przerzucił książki, jakie zgromadził. Do „dyplomatki” zapakował kilka prac z zakresu nauk politycznych i zatrzasnął teczkę.

Spojrzał na zegarek. Doszedł do wniosku, że wyjedzie nocą. Koniecznie nocą. Dawało mu to jeszcze kilka dobrych godzin i należało je w jakiś sposób wykorzystać.

Zastukał do sąsiednich drzwi. Mieszkała tam ładna prostytutka. Brała tylko 50 dolarów.

11

„Atlantis”, 15 lipca, godzina 12.04 czasu wschodnioamerykańskiego

O 12.00 czasu wschodniego „Atlantis” znajdował się nad terytorium Stanów Zjednoczonych na wysokości 170 mil. Mimo licznych usiłowań Dusk nie potrafił nawiązać łączności, chociaż na swej trajektorii minęli czternaście stacji nasłuchu. Ziemia milczała.

Dusk trzymał się założonego programu i nie odstępował go ani na sekundę. 14 lipca otworzył drzwi ładowni, dzisiaj, o 6.00 rozpoczął próby z wysięgnikiem. Nawet jeśli nic się nie zmieni, był gotów zrealizować swój plan do końca.

Scott słuchał i wykonywał rozkazy bez cienia sprzeciwu. Pilot bał się, Dusk o tym wiedział. On sam też miewał okresy załamania spowodowane ciągłym brakiem kontaktu z Houston, ale starał się niczego po sobie nie okazywać. Ostatecznie to właśnie jego wybrano na dowódcę wahadłowca.

Mniej więcej w tym samym czasie, a dokładniej kilka minut wcześniej, o 11.56, prezydent Dillon wykonał dwa telefony: do uprzedzonego wcześniej North American Aerospace Defence Command w Górach Cheyenne w Kolorado oraz do siedziby Strategic Air Command w Omaha. O 11.57 sześć baz pocisków międzykontynentalnych Minuteman

w Montanie, w Północnej i Południowej Dakocie, Wyoming i w Missouri, oraz cztery bazy pocisków typu MX w Arizonie, Arkansas i w Kansas zostały postawione w stan pełnej gotowości bojowej. 40 sekund później komputery podały cel ataku oraz jego dane, a 30 następnych trwało ustawianie i odbezpieczanie nuklearnych rakiet na wyrzutniach i w podziemnych silosach.

O 12.00 wszystkie rakiety miały już zakodowane nowe parametry. Czekają na rozkaz.

Rozkaz nadszedł minutę po 12.00. Wybór padł na Arkansas. W bazie położonej o czterdzieści mil od miejscowości Little Rock, będącej zapleczem Kwatery Głównej Lotnictwa Strategicznego stanu, zażyły syreny. W centrum operacyjnym, ukrytym w skalistych bunkrach czterdzieści dwa metry pod ziemią, głowy oficerów dyżurnych pochyliły się nad wykresami monitorów sterujących. O 12.02.15 elektryczny impuls uruchomił silnik MX na stanowisku czwartym. Rakieta, wlokąc za sobą smugę ciemnego dymu, wolno uniosła się w niebo.

Dusk tkwił przy teleskopie obserwując kontynent Ameryki Północnej. Dwie minuty po dwunastej elektroniczne czujniki wahadłowca, zbierające z powierzchni Ziemi dane o znaczeniu militarnym, wychwyciły start pocisku międzykontynentalnego. K-4 natychmiast wyliczył jego krzywą balistyczną.

— Pomylił się — powiedział Scott, wpatrując się w wykres.

Dusk zażądał powtórnej operacji. K-4 pokazał to samo — trasy wystrzelonej rakiety i „Atlantisa” krzyżowały się dokładnie w punkcie, gdzie za kilka minut znaleźć się miał prom.

— Zwariowali... — szepnął Dusk na wpół do siebie. — Strzelają do nas! Do nas! Boże, co oni robią?

— Mówilem, żebyś przerwał lot, mówiłem!

Scott zaniósł się histerycznym szlochem. — Oni oszaleli! Oszaleli!

— Zamknij mordę! — Dusk przyszedł do siebie. — Spokój!

Zacisnął zęby i przywarł do wizjerów.

MX znajdowała się wciąż w atmosferze. Krępowana gęstymi strugami powietrza przebijała się prostopadle w górę. Centrum Operacyjne w Arkansas czekało teraz najcięższe zadanie. Na pięć mil przed opuszczeniem ziemskiego płaszcza pocisk miał włączyć dodatkowy człon paliwowy, przestroić program i dzięki temu, zamiast zakrzywić swój tor, powinien kontynuować pionowe, ściśle obliczone wznoszenie aż do osiągnięcia celu.

Krytyczny moment nastąpił o 12.03. MX nie zareagowała na wezwanie z Ziemi i wyszedłszy z jonosfery mknęła zataczając ostry łuk powrotny, z którego linia kończyła się gdzieś w okolicach Savannah nad Atlantykiem. Nie zareagowała też na fale radiowe, gdy minęła punkt zwrotny. Jakby zawisła w próżni, a później runęła na dół wspomagana pełną mocą odrzutu.

Dowództwo Główne Obrony USA podjęło wtedy jedyną słuszną, a zarazem sztaszliwą decyzję: spowodować wybuch głowicy nuklearnej w górnych warstwach atmosfery. Gdyby bowiem pozwolono na dalsze zejścia pocisku, ładunek eksplodowałby 400 metrów od celu, tak jak został zakodowany. 400 metrów nad domami Savannah...

O 12.03.45 Dusk i Scott dostrzegli przeraźliwie jasną, błyskawicznie rozszerzającą się plamę o kilkaset mil na północ od przylądka Florydy. Po kształcie rozpoznali eksplozję na pograniczu strato- i jonosfery.

— Chryste... — wyszeptał Dusk odrywając się od wizjerów.

— Wracamy? — spytał Scott.

— Nie — odpowiedział tamten twardo. — Nie. Dokończę tę holerną imprezę, żeby mnie chcieli nawet jeszcze raz zestrzelić. Dokończę — mówił zawzięcie — a potem z nimi pogadam.

— Tam musi być piekło... — Scott patrzył na Ziemię.

Wysoko nad Savannah stały dymy.

12

Washington, 15 lipca, godzina 13.00

Prezydent Dillon dowiedział się o decyzji dowództwa w momencie eksplozji. Przeżył szok. W grzyby runęły wszystkie plany i nadzieje, wszystkie złudzenia. Jednocześnie jednak, niespodziewanie dla niego samego, dojrzało silne postanowienie — odsunąć Mellona od wpływów. Nie zastanawiał się, jaką cenę przyjdzie mu za ten krok zapłacić. Nie miał po prostu czasu.

Kilkanaście minut po 12.00 w Oval Office rozdzwoniły się telefony. Pierwszy zadzwonił Nick Malcolm, który pytał, jaką wersję wydarzeń ma przedstawić prasie. Uzgodnili, że należy uspokoić mieszkańców zagrożonych stanów, a w szczególności Alabamy, Georgii, Południowej Karoliny i Florydy. Jak donosił Pentagon, wiatry były korzystne i śmiertelna chmura oddalała się wolno nad Atlantyk. Zamknięto czternaście akwenów morskich i powiadomiono armatorów o zakazie przekraczania określonych sfer. Jako powód podano tragiczną awarię pocisku podczas ćwiczeń taktycznych. Nie, zebranie Krajowej Rady Bezpieczeństwa nie jest konieczne.

Tuż po Malcolmie telefonował premier Szwecji.

Jego specjaliści wyliczyli, że za trzydzieści godzin radioaktywny opad zagrozi Skandynawii. Premier chciał wiedzieć, kto pokryje koszt ewentualnej ewakuacji ludności i zamierzał skierować sprawę do trybunałów międzynarodowych oraz do ONZ.

Premier Wielkiej Brytanii i kanclerz Niemiec domagali się detalicznych wyjaśnień na temat przyczyn eksplozji, a na stwierdzenie Dillona, iż była ona skutkiem uszkodzenia MX w czasie ćwiczeń, wyrazili swoje oburzenie, że nie zostali o takowych powiadomieni wbrew podpisanym układom NATO.

Premier Kanady przedstawił Dillonowi szacunek strat, jakie poniesie jego kraj w związku z zamknięciem akwenów Atlantyku i zażyczył przelania astronomicznej kwoty na bank w Toronto jako kompensacji ubytku w gospodarce narodowej państwa.

Sekretarz ONZ reprezentował swym telefonem kilka ambasad. Domagały się one natychmiastowych oświadczeń prezydenta na temat zaistniałej sytuacji. Radioaktywna chmura otrze się o północne brzegi Hiszpanii i Francji, w związku z czym przedstawiciele tych państw byli szczególnie zainteresowani tą sprawą. Sekretarz przypomniał Dillonowi, że eksplozja MX spowodowała możliwość zerwania układu o zakazie przeprowadzania prób z bronią jądrową w atmosferze.

Telefony nie milkły. Służby specjalne donosiły o sytuacji w Savannah i okolicach. Przedstawiała się na szczęście korzystniej niż się spodziewano. Mierniki zainstalowane na czterech Boeingach 747 wykazywały stosunkowo niskie stężenie substancji promieniotwórczych w granicach obszaru będącego pod wpływem eksplozji. Zanotowały również przesuwanie się obłoku nad ocean. Nie było żadnych strat w ludziach i na powierzchni ziemi, cho-

ciaż zanotowano kilka tysięcy wezwań pogotowia lekarskiego podczas paniki, jaka wybuchła w mieście. W czterdzieści minut później zapanował spokój, a siły policyjne i ochotniczy oddział milicji w pełni kontrolowały rozwój wypadków.

O godzinie 13.00 Andrew Mellon, posiadający stały dostęp do prezydenta, stanął w drzwiach Oval Office.

— Znowu zawaliłeś, Dillon — zaczął od progu.
— Wiesz, co o tobie powiadają? Że nie umiesz wykonać nawet dwóch najprostszych czynności na raz, że nie potrafisz jednocześnie chodzić i żuć gumy. Dochodzę do wniosku, że powiadają słusznie. Co do diabła znowu się stało?

Dillon nie odpowiadał.

— Dostałeś pomieszania zmysłów? Ogluchłeś? Mów, do cholery!

O dziwo, Dillon zachował wewnętrzny spokój i nawet nie starał się o wyszukane słowa.

— Wyjdź stąd, Mellon, i zamknij za sobą drzwi — powiedział cicho.

Przemysłowiec drgnął i usiadł na krześle. W jego oczach odbijało się szczere zdumienie. Było tam też coś więcej, coś, czego Dillon nie potrafił jeszcze odczytać i zrozumieć.

— Chyba źle usłyszałem... — zawiesił głos.
— Mam stąd wyjść.

— Tak, daj mi odpocząć. Ani teraz, ani później nie chcę cię już widzieć — odrzekł Dillon. — Aha, mała drobnostka, panie Mellon, zwalnię pana ze stanowiska ministra finansów. Niech pan będzie łaskaw przekazać tekę swojemu zastępcy. Żegnam.

Mellon nie krzyczał tym razem. Uśmiechał się lekko.

— Nareszcie! Brawo! Przechodzisz sam siebie! Nie przypuszczałem, że jesteś taki odważny, Nor-

bert. Tylko niepotrzebnie mi grozisz, obrażasz mnie... Czy pamiętałeś, o co cię prosiłem? Zastanowiłeś się nad sobą? Chyba jednak nie. Uwolnisz teraz Pulverina, nie myślę się, prawda? Zebrałeś odwagę i uwolnisz go, OK. I co dalej? Jaką masz gwarancję, że Dusk nie dokończy dzieła? Czy sądzisz, że nie dostrzegł niczego z orbity? Że nie wie, co chcieliśmy zrobić? Ty wypowiedziałeś mu wojnę, a on na twój krok może odpowiedzieć nuklearną zagładą. To tyle, Norbert. Przyjąłem do wiadomości, że mnie zwalniasz i zdam odpowiednie dokumenty. Nie zobaczymy się już nigdy więcej. Przynajmniej nie na tym świecie. Ale ty zawitasz tam prędzej ode mnie. Żegnaj.

Prezydent został w gabinecie sam. Czuł się z siebie dumny. A jednak wygrał. Tylko ile pozostało mu jeszcze czasu...

Podniósł słuchawkę, nakręcił numer i połączył się z prokuratorem stanu Nowy Jork.

13

Washington, 15 lipca, godzina 13.30

Hannah czuł się podle. Po wyjściu Sheili wypił sporo i znowu miał gigantycznego kaca. Żałował, że dziewczyna nie została tej nocy razem z nim.

Gdy w radio wysłuchał wiadomości o eksplozji nad Savannah, nalał sobie południowego klina. Whisky postawiła go na nogi. Zatelefonował do Price'a i dowiedział się szczegółów. Przy okazji upewnił się, czy w dalszym ciągu był bez pracy. Był.

O wpół do drugiej odezwała się Sheila.

— Okłamałeś mnie, Richard. Dlaczego? — spytała bez wstępu.

— Boże... Okłamałem... Powiedzmy, że zatrzy-

małem część prawdy dla siebie.

— Czy oni chcieli w ten sposób pozbyć się Duska?

— Tak, w ten sposób.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Jesteś tam? — spytał.

— Jak widzisz, nie oplaci się, Richard. Nie próbowałeś ich powstrzymać? Przekonać?

— Dziewczyno, za kogo ty mnie masz? Owszem, usiłowałem i wyrzucili mnie z agencji. Zadowolona jesteś? Sheila, przecież jestem zbyt małym trybikiem, by zatrzymać napęd całej maszynierii. Próbowali silniejsi ode mnie i...

— I co?

— I nic. Słyszałaś wiadomości. Pamiętaj, że to informacje dla tłumu, odpowiednio przesiane i pewnie złagodzone. Jak jest naprawdę, nie mam pojęcia.

— Ale Price cię jeszcze trzyma...

— Właściwie nie wiem. Jeśli zawieszenie jest trzymaniem, to mnie trzyma...

— OK. Powiedz mu, że żarty się skończyły. Powiedz mu, że jeśli do 15.00 mój ojciec nie znajdzie się na wolności, Dusk wyładuje „Teal Ruby” na orbitę. Mało tego, on nie będzie czekał na dalsze sztuczki Pentagonu i wystrzeli głowicę w kierunku Stanów. Nie powiem, gdzie.

— Rozumiem. Do rzeczy. Zakładając, że zapadnie decyzja o uwolnieniu, w jaki sposób Dusk dowie się, że jego zadanie skończone? Co się stanie, jeśli rząd zwolni twojego ojca, a Dusk mimo wszystko pociągnie za cyngiel? Wiesz, że Houston od kilkunastu godzin nie ma łączności z „Atlantidem”? A nawet gdyby łączność istniała, czy Dusk uwierzy, że...

— Nie martw się, Richard. Dusk uzyska potwierdzenie w bardzo prosty sposób: wizualnie.

— Jak?

— O określonej godzinie, w nocy, gdzieś, powie-

dzmy, w Ameryce Południowej, nastąpi eksplozja sporej ilości środka podobnego do magnezji. Wiesz, co to jest? Używano kiedyś tej substancji przy fotografii. Daje bardzo silny błysk. Krótkotrwały, ale silny. Nie obawiaj się, nie wyrządzimy szkody ani roślinności, ani ludziom. Wybraliśmy dobre miejsce. Dusk zna namiary i szybko rozpozna sygnał.

— Możliwe, ale jeśli widoczność będzie słaba?

— Uwzględniliśmy i to. Gdyby Ameryka Południowa zniknęła za chmurami, chociaż wątpię, bo o tej porze roku mają tam wspaniałą pogodę, akcja przeciągnie się tylko o kilka godzin. W sumie przygotowaliśmy trzy takie miejsca, Richard, na całej kuli ziemskiej. Nie wyjdzie tu, wypali gdzie indziej. Jasne?

— Tak jasne.

— Ciągłe się wahasz?

— Nie. Wydaje mi się, że ten wybuch i sygnały są jakies takie nieprawdziwe w zestawieniu z „Atlantidem”...

— Nie wierzysz mi?

— Wierzę, mimo wszystko wierzę.

— Więc bardzo cię proszę, abys powiadomił kogo trzeba. Jeśli zdecydują na tak, niech dadzą znać tobie. Ty powiadomisz mnie, OK?

Hannah czekał na telefon z Białego Domu do 15.15. Na próżno. Nie zadzwonił nikt. Podeszedł do okna i popatrzył w niebo.

Kwadrans po trzeciej Dusk uruchomił podnośnik i wysunął „Teal Ruby” z ładowni. Pocisk znalazł się na orbicie i podązał na razie tuż za promem. Gdy kolejna próba łączności z Houston zakończyła się fiaskiem, dowódca „Atlantisa” przystąpił do zdalnego odbezpieczenia satelity. Za sześć godzin i piętnaście minut można będzie przeprowadzić próbne odpalenie.

Rhinebeck, N.Y., 15 lipca, godzina 18.00

Richard Hannah dowiedział się o planowanym zwolnieniu Pulverina dopiero około 16.00. Nick Malcolm donosił, że Capo Tutti Capi wyjdzie na wolność punktualnie o godzinie szóstej wieczorem i prosił Hannah'a o kontakt z Sheilą Pickard. Hannah natychmiast do niej zadzwonił.

Plan okazał się prosty i nie był praktycznie żadnym planem. Pulverino miał czekać przed bramą więzienia, a tam zaopiekują się nim ludzie Cosa Nostry. Warunki? Żadnych wozów policyjnych, nasłuchu, podsłuchu i śledzenia. Trzy godziny łaski. Wszystko.

Hannah streścił rozmowę z Sheilą Price'owi, a ten obiecał dotrzymać słowa. Do czasu powrotu „Atlantisa” na Ziemię.

Kilka minut przed godziną szóstą na drugie piętro więzienia w Rhinebeck wkroczył prokurator stanu Nowy Jork w asyście pojedynczego strażnika. Milcząc, wśród echa kroków, minęli rząd pustych cel i zatrzymali się pod numerem 27.

— Panie Hatton — zawołał cicho prokurator, zanim strażnik dotknął drzwi. — Przychodzimy zgodnie z umową.

Okienko judasza przesunęło się na bok. Hatton zlustrował dwóch ludzi stojących na korytarzu, po czym otworzył zamek od wewnątrz.

— Idziesz stąd, Pulverino — rzucił w kierunku więźnia. — Masz szansę na trzydzieści dni przed procesem. Zmiataj.

Capo nie domyślał się wcześniej niczego. Dopiero dziś po południu Hatton powiedział mu prawdę o

„Atlantisie” i o warunkach mafii. Pulverino przyjął wiadomość spokojnie, ale daleki był od radości. Czekala go teraz przeprawa już nie z policją, ale z własną organizacją. Zdawał sobie sprawę, że skoro syndykat zdecydował się na szaleństwo porwania, nie popełni więc niczego nieprzemyślanego. Nie zabiją go, przynajmniej nie od razu. On musi przedsięwziąć środki zapobiegawcze. I wiedział już jakie.

Wstał z łóżka, nałożył wygniecioną marynarkę i bez słowa ruszył za strażnikiem. Na korytarzu prokurator wręczył mu kluczyk z inicjałami C.T.C.

O 18.00 brama Rhinebeck uchyliła się nieco i don Joseph zrobił pierwszy od trzech miesięcy krok na wolności. Po drugiej stronie zaułka parkowały dwa samochody. Gdy Pulverino rozejrzał się niezdecydowanie wokoło siebie, jeden z fordów zamrugał światłami. Mafioso poszedł w tamtym kierunku.

O 18.02 uliczka przed więzieniem opustoszała.

15

Houston, 15 lipca, godzina 20.00

— Znowu? — zapytał Keith Benty, pochylając się nad krzesłem Roya White'a. — Człowieku, wykończysz się. Musisz odpocząć.

White trzymał się ręką za lewą pierś. Skarżył się na ból, ale nie opuścił stanowiska. Trwał tak od kilku już godzin.

Houston utrzymywało kontakt z dwoma obserwatoriami położonymi na Hawajach w Mount Haleakala i w Malabar na Florydzie, których teleskopy wymierzone w wahadłowiec nieustannie śledziły jego lot. Około 16.00 Malabar doniosło, że od korpu-

su promu oderwał się sporej wielkości obiekt. Roy White domyślił się, że „Teal Ruby” jest na orbicie. Zgodnie z planem.

O 19.00 otrzymał telefon z Waszyngtonu i dowiedział się, że Joseph Pulverino został uwolniony. Nie okazał wtedy po sobie, co czuł. Zachowywał się normalnie, jakby nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Ponowił próby nawiązania kontaktu z „Atlantisem”. Prom milczał.

Później chwycił się za pierś.

— Chyba masz rację — powiedział słabym głosem. — Jestem wykończony. Która godzina?

— Ósma. Masz przed sobą zegar, Roy.

— Rzeczywiście...

— Zmienić cię? — spytał Benty.

— Za pół godziny, Keith, za pół godziny... Poprowadzisz lądowanie. Jeśli będzie łączność.

— Zabiją się.

— Oni?

— Jeżeli nie nawiążą z nami kontaktu podczas schodzenia, nie dadzą sobie rady. Za nic.

— Scott jest dobrym pilotem, może się uda.

— A skąd! Co ty mówisz? Bez parametrów? Zgubią się w atmosferze i po nich.

— Może to i lepiej... Dla nich.

— Bzdura!

— Do końca życia nie wyjdą z więzienia, Keith.

— Dusk. Scott jest w porządku.

— Scott jest w porządku — powtórzył White, wpatrując się w sekundnik chronometru. — Mam do ciebie prośbę, Keith. Przynieś mi coś na serce, dobrze?

Kwadrans później Roy White zasnął. Nie stracił przytomności. Poprosił o zwolnienie z dalszego dyżuru i chociaż sugerowano pomoc lekarską, odmówił. Chciał znaleźć się natychmiast w domu. Wyniesiono go na noszach z sali i wbrew wciąż obowiązują-

jącemu zakazowi opuszczania budynków Mission Control Center odtransportowano do jego mieszkania na zielonych przedmieściach Houston.

O 20.20 Keith Benty objął funkcję koordynatora lotu „Atlantisa”. W tym czasie prom wszedł w pasmo ciszy za stacją nasłuchu w Yaarragadee. Na kolejne próby łączności trzeba było czekać dwadzieścia pięć minut.

16

„Atlantis”, 15 lipca, godzina 21.00 czasu wschodnioamerykańskiego

„Teal Ruby” podążał za „Atlantisem” niczym pies na smyczy za swoim panem. Wszystkie zespoły satelity pracowały normalnie, czyli nienagannie.

Dusk przystąpił do przedostatniej części założonego harmonogramu. „Teal Ruby” winien znaleźć się na orbicie stacjonarnej na ściśle określonej pozycji nad terytorium Stanów Zjednoczonych Ameryki. Podczas gdy Scott manewrował statkiem przy pomocy trzech rufowych rakiet odrzutu zmieniając trajektorię, on naprowadzał pocisk na nowe współrzędne. System odbiorczy działał bezbłędnie i satelita oddalił się własnym napędem od „Atlantisa”, dążąc do wyznaczonego punktu. Po kilkunastominutowym „balecie”, kiedy to dwa obiekty wciąż zmieniały względem siebie położenie, cel został osiągnięty. „Teal Ruby”, z głowicą jądrową umieszczoną w centralnej części stalowego cygara, tkwił nieruchomo na miejscu, a raczej krążył wokół Ziemi, dostosowując własną prędkość do prędkości obrotowej planety. Wolno ginał w wizjerach oddalającego się wahadłowca.

— Stoi między 345 a 582, Scott. Trzymaj tak dalej — rzucił Dusk, przesuwając obiektyw teleskopu na Amerykę Południową.

— Co ty na to? Pozabijali się tam, czy co? — mówił pod nosem pilot.

— Spróbuję jeszcze raz i diabli mnie wezmą, jeśli nie odpowiedzą.

Najpierw wywołał Houston na zwykłej częstotliwości. Potem przeszedł na awarię. Wciąż bez efektu.

— Posłuchaj — mówił do Scotta przez zaciśnięte zęby. — Wyłączysz teraz odbiór i zostaniesz tylko na podsłuchu. Może to sprzężenie, może oni nas słyszą, a nie potrafią nawiązać kontaktu... Niech ich cholera...

Scott trzasnął przełącznikami.

Od tej chwili między „Atlantisem” a Houston istniała łączność jednostronna — Ziemia mogła słyszeć wszystko, co działo się w kabinie promu, astronauta natomiast nie byli już w stanie wyłapać jakichkolwiek sygnałów Mission Control.

— Co będzie ze schodzeniem, Dusk?

Dusk wzruszył ramionami i poklepał obudowę komputera.

— Nie polecisz na ślepo. Masz pomocnika. I oby ci się udało...

O 21.00 rozpoczęli przygotowania do uruchomienia „Teal Ruby”.

17

Washington, 15 lipca, godzina 21.10

Telefon zaterkotał donośnie i niecierpliwie. Linia Houston. Dillon podniósł słuchawkę

— Panie prezydencie, mówi Keith Benty, zastęp-

ca Roya White'a. Mamy bardzo alarmujące wiadomości.

— Gdzie jest White? — spytał Dillon, dostrzegając nerwowość w głosie rozmówcy.

— Przed kilkunastoma minutami odwieziono go do domu. Zasłabł, coś z sercem. Panie prezydencie „Atlantis” wbrew naszym sygnałom rozpoczął przygotowania do odpalenia „Teal Ruby”.

— Co!? — Dillon zerwał się z krzesła. — Niemożliwe!

— Wiem Pulverino jest na wolności. Dusk wyłączył zdaje się odbiornik i mamy tylko podsłuch. W ogóle nie podoba mi się — urwał. — Czy Roy White miał prawo zablokować odbiór stacji trackingu?

— A co pan, do diabła, tam robi, skoro nie zna pan rozporządzeń alarmowych?! Oczywiście, że tak. Chcielibyśmy uniknąć plotek i przecieku informacji. Do czego pan zmierza?

— Nie wiem, panie prezydencie, jeszcze nie wiem, ale zbyt wiele rzeczy wydaje mi się...

— Niech się panu nie wydaje, Benty, niech pan nie filozofuje. Co się dzieje?

— Zaczęli odliczanie. Odbezpieczyli ładunek.

— Parametry?

— Nie znam dokładnie. Jeśli dostosowali się do naszych planów, to „Teal Ruby” wisi nad Stanami. Malabar potwierdza. Mają go jak na dłoni. Świetna widoczność.

— Zaraz do pana zadzwonię. Wspominali o godzinie?

— Tak, Dusk potrzebuje jeszcze dwudziestu minut.

Dillon otarł pot z czoła. Dwadzieścia minut... Dwadzieścia minut na jakąkolwiek decyzję... Ale właśnie: jaką decyzję? Wypuścił Pulverina, dostosował się do poleceń, a oni... Czyżby Mellon miał mimo

wszystko rację?

Adiutant zameldował generała Sheenana.

— I jak będziemy teraz wyglądać, panie prezydencie? Wciąż jest pan zadowolony? — pytał ironicznie.

— A jakie są dalsze rozkazy?

Dillon opanował ogarniającą go furję.

— Nie pora na głupie docinki, generale. Zna pan sytuację?

— Owszem, dzwoniли do nas z Houston. Dlatego tutaj jestem. Mamy tylko pół godziny, prawda?

— Dwadzieścia minut.

— Tak... „Teal Ruby” nie da się zablokować z Ziemi — mówił już swoim zwyczajnym tonem. — Pozostaje jedno: dyslokacja głównego potencjału militarnego państwa.

— A ludzie?

— Ludzie? O ludzi, panie prezydencie, trzeba było się martwić nieco wcześniej, nie sądzi pan? Stany Zjednoczone nie mogą ponieść najmniejszego uszczerbku w uzbrojeniu. Nie wiem, co strzeli do głowy temu szaleńcowi na orbicie, ale jeżeli nie przekodował programu, „Teal Ruby” uderzy gdzieś w północny obszar kraju.

— Skąd pan...

— Powtarzam, że nie jestem pewien. Założeniem misji było ustawienie pocisku, przeprowadzenie treningowego odpalenia i powrót. Satelita miał zostać ćwiczebnie skierowany na USA. Ćwiczebnie, „na pusto”, rozumie pan? W rzeczywistości nie drgnąłby nawet z miejsca. Ale jak wynika z sytuacji, Dusk posunie się dalej i „Teal Ruby” eksploduje naprawdę gdzieś na północy.

— Dobry Boże...

— Po pierwsze: należy czym prędzej podnieść w powietrze całe lotnictwo strategiczne na północ od — spojrzał na mapę — Nevady, Utah, Kolorado, Kan-

sas i tak dalej aż do Wschodniego Wybrzeża. Po drugie: zabezpieczyć bazy raketowe. Po trzecie: uprzedzić Kanadę. Po czwarte: nie należy ogłaszać, ani tym bardziej przeprowadzać ewakuacji ludności. To tragiczne, zdają sobie z tego sprawę, ale panika przynieść może dużo większe straty niż... — nie dokończył.

Dillon zapalił papierosa. Czuł się kòszmarnie.

— Zgoda — powiedział. — Niech pan kieruje dalszymi operacjami razem z Malcolmem. Ja zajmę się Houston.

— Pan musi natychmiast udać się do samolotu, panie prezydencie.

Dillon wiedział, że tak właśnie powinien postąpić. Na wypadek zagrożenia nuklearnego prezydent wsiadał w Air Force 1 i stamtąd kontrolował rozwój sytuacji. Tam też był stosunkowo bezpieczny.

— Nie. Zostanę tutaj. To nie jest żadna wojna, generale, to moja własna klęska... Zostanę tutaj — zakończył stanowczo.

18

New York City, 15 lipca, godzina 21.10

William Lawrence Ross był w znakomitej formie. Posłużyła mu pięćdziesięciodolarowa „kuracja” południowoamerykańskiej Rosity. Na odchodnym łyknął jeszcze kieliszek wódki i nabrał animuszu. Zapłacił, po czym wrócił do siebie.

Wziął prysznic, przebrał się szybko w uprzednio przygotowane ubranie, ogolił się i spojrział do lustra. Nieźle. Prezentował się jak zamożny biznesmen, który ma wszelkie podstawy, by późną porą znaleźć się na Park Avenue.

Plan Rossa nie wyróżniał się niczym szczególnym. Zamierzał udać się na Manhattan, ukraść samochód i wyjechać z miasta. Proste i nieskomplikowane. Na kupno własnego środka lokomocji żałował pieniędzy. Przydać się mu miały na Florydzie.

Napisał kartkę do właściciela pokoju i zostawił na wierzchu umówioną kwotę. Wziął do ręki „dyplomatkę” i po raz ostatni objawszy wzrokiem swoje trzymiesięczne więzienie zatrzasnął za sobą drzwi.

Minął dwie przecznice, nie chcąc zostać zapamiętanym przez przypadkowych świadków. Stał na rogu i machnął na pierwszą lepszą taksówkę.

— Park Avenue 130 — rzucił kierowcy i rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu.

— Tak jest, sir — odpowiedział tamten, wietrząc suty napiwek. Pasażerowie w tamte okolice są jak rodziny w kiepskim cieście: nieczęsto się zdarzają.

Ross wiedział, co robi. Posiadanie adresu przy Park Avenue jest jakby automatyczną nobilitacją. Oczywiście adresu między ulicą Dziwiedziesiątą od północy i Czterdziątą Drugą od południa. W tej części znajdują się najwspanialsze gmachy, najdroższe na świecie mieszkania, tutaj skromna kawalerka kosztuje pół miliona dolarów. Każdy więc, kto może udowodnić, iż rzeczywiście zamieszkuje przy Park Avenue, nie potrzebuje troszczyć się o resztę — ma zapewnione powodzenie i wzięcie w najbardziej ekskluzywnych kręgach amerykańskiej socjety. Nikt też nie ośmielił się wątpić, czy elegancko ubrany mężczyzna z teczką w rękę jest naprawdę tym, za kogo się podaje.

Minęli Bronx i dostali się na Queens. Kierowca ciągle myśląc, że wiezie lepszego klienta, pragnął oszczędzić mu widoków Harlemu i zdecydował się na trasę dłuższą, lecz bezpieczniejszą. A że droższą...

— Czy pojedziemy przez most Queensboro, czy przez tunel, sir? — spytał, zerkając na wsteczne lustro.

— Obojętne — odpowiedział Ross, szukając w kieszeni zapalniczki. — Może być przez most.

Wpadli w lawinę pojazdów zdążających na Manhattan. Rozpoczęła się pora wieczornego szczytu. Przedstawienia, dyskoteki, kluby, przyjęcia, kina — na wyspie zawsze najlepsze i najdroższe. W dole, tysiącem neonowych świateł, błyszczała East River. Życie było wspaniałe.

Po chwili byli już na drugim brzegu.

Taksówka zatrzymała się tuż przy krawężniku. Ross wysiadł, przeliczył należność i wręczył banknoty kierowcy. Pamiętał o napiwku. Niech się chłopak cieszy. Obciągnął marynarkę i odrzucił niedopałek dunhilla. Gdy wóz odjechał, poszedł przed siebie.

Park Avenue waliły tłumy ludzi. Wszyscy czuli się tutaj pewnie, a przynajmniej znacznie pewniej niż w innej dzielnicy o tej porze wieczoru. Ross wmieszał się w przechodniów i szedł jak najbliżej parkujących wzdłuż chodnika samochodów. Głowę trzymał wysoko i pozornie na nie nie zwracał uwagi. Jego lewa ręka jednak pracowała. Pracowała nieustannie, lecz delikatnie i z zachowaniem wszelkich możliwych środków ostrożności. Palce zaciskały się na klamkach, sprawdzały, czy drzwi są zamknięte, płynnie zwierzały się w pięść, prostowały i już dotykały następnego zamka. Ross nie zwolnił przy tym kroku. Tylko czasami, potracony przez przechodnia, przystawał na moment, uśmiechał się miło i szedł dalej.

Klamka ciemnego bentleya ustąpiła pod lekkim naciskiem. Ross nie zatrzymał się. Kontynuował

masz aż do najbliższej latarni o jakieś czterdzieści metrów dalej. Dopiero wówczas zawrócił, stanął obok wozu i pewnym ruchem właściciela otworzył drzwi.

Wewnątrz było ciemno. Sięgnął do stacyjki marząc o nadmiarze szczęścia w postaci zapomnianych kluczyków. Nic z tego. Nie stracił zimnej krwi. Pochylił się nad kierownicą i wyszarpnął zwój kabli spod deski rozdzielczej. Teraz przydało mu się doświadczenie nabyte podczas pracy na stacji benzynowej. Szybko odnalazł odpowiednie druciki, odgryzł zębami izolację i skręcił razem miedziane włoski przewodów. Niecierpliwie nacisnął starter.

We wszystkich filmach kryminalnych złodzieje poświęcają nie więcej niż dziesięć sekund na uruchomienie samochodu bez pomocy kluczyków. Dziwne, bo zwykle zajmuje to znacznie więcej czasu i nie zawsze jest takie proste. Ross zaklął. Silnik milczał. Popatrzył jeszcze raz na plataninę drucików. Znał się na elektromechanice i wiedział, że połączenie jest prawidłowe. Rzucił wzrokiem w lusterko. Na razie nikt nie zwracał na bentleya uwagi. Otarł czoło rękawem i uchylił trochę boczną szybę. Myślał gorączkowo. Potem jeszcze raz wcisnął guziczek rozrusznika, ale motor w dalszym ciągu był martwy...

Doszedł do wniosku, że jest kiepskim złodziejem i że zbyt wiele ryzykuje. Ujął w dłoń klamkę i już miał wysiadać, gdy jego wzrok spoczął przypadkiem na oparciu bocznego fotela. Uderzył się ręką w czoło. Co za kretyn! To najnowszy typ bentleya i silnik nigdy nie zapali, jeśli kierowca nie założy przedtem pasów bezpieczeństwa! Trzasnął klamrą i po raz trzeci spróbował uruchomić samochód.

Dwie minuty później jechał wolno kierując się na New Jersey.

„Atlantis”, 15 lipca, godzina 21.15 czasu wschodnioamerykańskiego

Na piętnaście minut przed odpaleniem, Dusk spoglądał w monitory K-4.

— Jest — wymamrotał pod nosem, porównując dwie kolumny liczb. — Identyczne.

Od kilku minut usiłował ustalić trajektorię „Teal Ruby”. Wymykała mu się spod kontroli, a ekran komputera wyświetlał coraz to inne, bzdurne wykresy, naprowadzając pocisk raz na Francję, innym razem na środek Atlantyku, a ostatnio „Teal Ruby” miał eksplodować na Biegunie Północnym. Dopiero przed momentem dane krzywej zlały się w jednakowy strumień znaków i K-4 potwierdził finałny wynik — „Teal Ruby” poleci na Nowy Jork.

Dusk powtórzył obliczenia. Otrzymał bliźniaczy rezultat.

— Zadowolony jesteś, co? — Scott wyglądał przez iluminator. — Po jaką cholere ty to robisz, Dusk? Martw się lepiej, jak wrócimy.

— Co?

— Pytam się, jak wrócimy na Ziemię?

— Znowu to samo. Daj mi spokój i przebieraj się już w skafander.

— Teraz?

— Teraz. Później nie będzie czasu.

— A ty?

— Zdążę. Za kwadrans będzie po wszystkim.

— Jesteś szalony, Dusk.

— Nie, tylko jeśli już podjąłem się zadania, wykonam je do samego końca, rozumiesz? Dlatego tutaj siedzę. Denerwujesz się?

Scott oderwał wzrok od okienka.

- Jak cholera.
- Opanuj się, człowieku. Od ciebie zależy, czy staniemy cało na dole, czy nie.
- Może włączymy odbiornik, Dusk?
- Nie teraz. Spróbujemy przed lądowaniem.
- Naprawdę chcesz?
- Tak, powiedziałem ci, że zakończymy tę zabawę. Zaraz, za piętnaście minut.
- Za trzynaście i pół.
- Dobra, za trzynaście i pół.

20

New York City, 15 lipca, godzina 21.15

Czarny opel don Josepha Pulverina posuwał się szybko w kierunku New Jersey. Don chciał dostać się na lotnisko Teterboro, gdzie miał już czekać opłacony samolot. Prowadził kierowca, którego mafioso bliżej nie znał, a z przodu siedział człowiek obstawy. Nie był to jednak Alberto. Wierny Puerti od trzech miesięcy spoczywał w grobie na brooklińskim cmentarzu.

Don Pulverino nie zmarnował trzech godzin spokoju, które Cosa Nostra wymogła na policji. Z Rhinebeck przyleciał własnym śmigłowcem do Nowego Jorku, gdzie spotkał się z don Ferrianiem i kilkoma znaczniejszymi Capo.

— W zaistniałych okolicznościach — mówił Accardo, po parominutowym wstępie powitalnym Ferriano — nieodzowna staje się twoja dłuższa nieobecność w Ameryce, don Josephie. Trzy godziny nie trwają wiecznie i trzeba spodziewać się ostrego ataku z ich strony. Nie sądzę też, by prawda, którą już niedługo odkryją, ostudziła ich zapędy, a o ile się orientuję, „Atlantis” ma wkrótce wylądować. Musisz zniknąć, don Josephie.

— Tak, musisz uciekać — odezwał się zgodnie Garzia. — Musisz zaprzestać działalności i osiąść gdzieś poza granicami kraju. Powstaje tylko problem kierownictwa organizacji. Obecny tu don Ferriano nie poradzi sobie bez odpowiednich papierów. Ty wiesz, gdzie są i jak do nich znaleźć drogę.

Pulverino kiwnął potakująco głową.

— Rozumiem waszą troskę, przyjaciele — powiedział. — Rozumiem i doceniam. W więzieniu miałem dużo czasu, aby przemyśleć różne sprawy. Macie rację. Życie na wolności jest mi miłe, a teraz, niestety, nie będę w stanie zająć się tym, czym powinienem. Oto co postanowiłem. Udam się zaraz do miejsca, gdzie są ukryte dokumenty i przywiozę je tutaj. Wy zostaniecie, przyjaciele, i od was zależeć będzie dalszy los syndykatu. Przedsięwezmę kroki, by upoważnić don Ferriana do dysponowania finansami. Niech tak się stanie. Powinienem zjawić się najdalej za dwie godziny.

Zagrał sprytnie. Nie ujawnił tajemnicy sejfu, ani nawet nazwy banku. Na razie był względnie bezpieczny. W rzeczywistości bowiem zamierzał zniknąć na dobrych parę lat. Gdyby mafia dostała w swoje ręce kartotekę, on zginąłby natychmiast. Złamał omerta. Prawo było prawem.

Do Newark towarzyszył mu specjalnie wydelegowany goryl don Ferriana. Rosły, silny mężczyzna zasiadł koło pilota. Był to błąd, za który drogo przyszło mu zapłacić. Kilka minut po starcie człowiek Pulverina, wzorem doskonałych przykładów z „Ojca Chrzestnego”, zarzucił mu z tyłu pętlę na szyję i gwałtownie zacisnął. Otworzył jednocześnie drzwi helikoptera i gdzieś na wysokości Statuy Wolności wyrzucił zwłoki. Pochłonęły je mętne wody portu.

W Newark Pulverino zatrzymał się w tanim hoteliku „Bull & Busch”, skąd wykonał kilka telefonów. Najpierw zadzwonił do dwóch zaufanych adwokatów, za pośrednictwem których przelał swoje pieniądze na brazylijskie konto córki. Następnie nawiązał kontakt z pewną firmą przewozową, a ta, za odpowiednią opłatą, zorganizowała mu bezpośredni przelot z lotniska Teterboro do Ameryki Południowej. Porozumiał się również z Newark Security Bank i uprzedził dyrektora, że złoży tam późną, aczkolwiek pilną wizytę. Dyrektor był zawsze do usług, choć pora urzędowania dawno minęła.

Na koniec nakręcił waszyngtoński numer Sheili Pickard.

— Dobry wieczór, córeczko — powiedział ciepło. Po drugiej stronie rozległ się okrzyk radości.

— Tak się cieszę, ojcze, nareszcie już po wszystkim. Jak się czujesz? Jak cię tam traktowali? Mów, powiedz coś!

— Córeczko, nie mam zbyt wiele czasu, sama rozumiesz. Chcę ci najpierw podziękować za fenomenalny plan. Znakomity, Sheila, znakomity.

— Co tam plan, najważniejsze, że jesteś na wolności. Co zamierzasz?

— Domyśl się. Ulokowałem swoje pieniądze w banku, w którym ty posiadasz konto, córeczko, i pragnąłbym jak najszybciej znaleźć się w pobliżu tego miejsca, rozumiesz? Tak trzeba. Chcę się z tobą jak najprędzej zobaczyć, Sheila. Wyrwiesz się?

— Tam?

— Tam.

— Dam radę. Ale ty musisz się śpieszyć, ojcze.

— Kiedy?

— Postaram się przylecieć jutro. Jeśli się spóźnię, nie martw się. Bywały gorsze tarapaty. Dobrze, że się powiodło.

— Dzięki tobie.

— I jeszcze komuś.

— Wiem. Córeczko, kończę już. Powiniennem zaraz wychodzić. Całuję cię serdecznie i... do zobaczenia.

— Do zobaczenia, ojczu.

— O 20.50 odwiedził Newark Security. Znał dobrze dyrektora i przechowywał w firmie swe prywatne dokumenty. Gdy trzy miesiące temu Carlo Gambino przedstawił Pulverinowi listę z adresem i szyframi sejfu, ten roześmiał się w duchu. Nie potrzebował zbytnio wysilać pamięci, by wbić do głowy instrukcje. Okazało się, że mafia ulokowała tajne archiwum właśnie w Newark, w Newark Security. Czysty przypadek.

W podziemiach skarbcia panowała niczym niezmacona cisza. Dyrektor odprowadził go pod opancerzony schowek numer 40 i wy dostał z kieszeni klucz. Drugi, oznaczony inicjałami C.T.C., znajdował się w posiadaniu Pulverina. Każde pomieszczenie w tej części banku wyposażone było w podwójne zamki, które otworzyć mogły tylko dwie osoby — przedstawiciel Security i właściciel. W tym celu musieli spotkać się, włożyć w otwory swoje klucze i jednocześnie je przekręcić. Tak też uczynili.

Pulverino wszedł do środka i zamknął za sobą stalowe drzwi. Gdyby pozostawił je otwarte, pokrywa sejfu, wbudowanego w kilkumetrowej grubości betonową ścianę, nie drgnęłaby z miejsca. Dyrektor spacerował po korytarzu, czuwając nad spokojem zawsze hojnego klienta.

Wewnątrz znajdował się prosty stół, dwa krzesła i silnie świecąca lampka. Wyłożona dywanami podłoga i obite płótnem ściany tłumili wszelki hałas. Pulverino podszedł do kasy i ustawił szyfr. Odczekał chwilę, po czym pociągnął rączkę.

Na wierzchu leżała książka oprawiona w grube, czarne okładki. Obok niej plik ważnych książeczek czekowych dwudziestu największych banków amerykańskich i europejskich. Pulverino przejrzał po bieżnie pierwsze stronicę zapisków. Później, nie tracąc czasu, zapakował wszystko do walizeczki i opuścił skrytkę.

Pożegnał się wylewnie z dyrektorem, wsuwając mu dyskretnie do kieszeni odpowiedni czek. Wsiadł do opla i ruszyli pędem na północ, do New Jersey.

21

Washington, 15 lipca, godzina 21.20

Budził się powoli. Stopniowo, ociężale wynurzał się ze snu, rejestrując poszczególne fragmenty rzeczywistości: miniony kac, telefon Malcolm'a o uwolnieniu Pulverina, poduszka, którą widział lewym okiem, Sheila Pickard bezwstydna w swej nagości, kusząca, kochana i ciepła. Nagle, w przyływie pełnej świadomości, zdał sobie sprawę, że ostatni obraz należał jeszcze do marzenia, w jakie zapadł przeszło godzinę temu. Śniła mu się, wciąż mu się śniła od tamtego wieczoru. Często przyłapywał się też na nieprzyzwoitych myślach, które napływały nie wiadomo skąd. Pragnął jej, chciał jej jak żadnej innej dziewczyny przedtem. Samcze odruchy? Było coś jeszcze, coś, co przełamywało barierę nieufności i czyniło Sheilę bardziej przyjacielem niż zawodowym wrogiem. Kochała go. A on? Bał się przyznać przed samym sobą, że kochał ją również. Ale kochał i coraz rzadziej bronił się przed prawdą. Co dalej...

Potrząsnął głową i wstał z łóżka.

Zatelefonował do Price'a i opadł z powrotem na materac, gdy usłyszał najświeższe wiadomości.

— Zostało nam praktycznie dziesięć minut, Hannah, dziesięć minut, a później rozpęta się takie piekło, o jakim nie śniło się nikomu. Chyba tylko Japończykom w czterdziestym piątym — powiedział szef FBI. — Najgorsze, że nikt nie ma zielonego pojęcia, gdzie. Prezydent zarządził przemieszczenie północnej strefy, bo Houston twierdzi, że „party” odbędzie się właśnie tam. Ale nie martw się, chłopie, jeżeli trafią w nas, nie poczujesz nawet ukłucia. Po prostu wyparujemy. I niech ich cholera weźmie. Cześć.

Wtedy zadzwonił dzwonek.

Otworzył drzwi i Sheila Pickard wpadła w jego ramiona.

— Tak się za tobą stęskniłam — mówiła całując jego policzki. — Nie cieszysz się, że już nareszcie po wszystkim?

Odsunął dziewczynę od siebie i popatrzył poważnie w jej oczy.

— Czy wy zwariowaliście? — spytał.

— O czym ty... — Sheila wydawała się być lekko zaniepokojona.

— Nie udawaj. Dusk nie dotrzymał słowa i zrobi z nas jatkę. Za dziesięć minut.

Początkowo nie zrozumiała. Potem oparła się plecami o ścianę i zakryła dłońmi twarz. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, tylko jej ramiona drgały w ataku ni to spazmatycznego płaczu, ni śmiechu.

Niebo nad Waszyngtonem pokryło się setkami samolotów. Rozpoczęła się dyslokacja lotnictwa strategicznego.

New Jersey, 15 lipca, godzina 21.20

William Lawrence Ross znajdował się wówczas o kilka mil na południe od Teterboro Airport, poza ciągiem zabudowań dzielnicy. Jechał dość wąską szosą oznaczoną na mapach numerem 43. Okolica była bezludna i tylko gdzieś palły się stare, jarzeniowe lampy na wysokich słupach. Pobocza porośnięte wysokimi krzewami sprawiały wrażenie długiego, zielonego tunelu, wijącego się licznymi zakrętami.

Ross prowadził ostrożnie. Miał czas.

Opel Josepha Pulverina pędził tą samą wąską drogą, ale w kierunku przeciwnym. Odmiennie niż Ross, don nie mógł sobie pozwolić na luksus spokojnej jazdy i co chwila popędzał kierowcę, zerkając jednocześnie na zegarek. Na lotnisku czekał już samolot.

— Znam tę trasę, szefie, nie możemy szybciej. Te nasypy i drzewa...

Pulverino spojrzął na licznik. Robili 75 mil na godzinę.

Ross palił papierosa. Włączył radio i trafił na dziennik. Spiker uspokajał słuchaczy Nowego Jorku mówiąc, że huk, jaki leje się z nieba, jest niczym innym jak hałasem przelatujących na regularne ćwiczenia samolotów USA. Żadnej paniki. Życie toczy się normalnym trybem. A teraz trochę muzyki. „Space Odity” i David Bowie.

Ross przycisnął kciukiem włącznik silniczka i szklana tafla opadła cicho do środka drzwi. Wysunął głowę na zewnątrz i spojrzął do góry. Niebo było ciemne.

Nie zauważył, że o kilkaset metrów przed nim,

na wyjątkowo tutaj prostym odcinku, majaczyły światła pędzącego na złamanie karku opla.

— Uważaj! Masz przed sobą jakiś wóz! — krzyknął Pulverino z tylnego siedzenia, dostrzegając zbliżające się reflektory.

Kierowca zdjął nogę i kopnął hamulec. Pulverino usłyszał przeraźliwy pisk opon ślizgających się na powierzchni asfaltu i chwycił się oparcia. Poczul, jak samochodem rzuciło najpierw w lewo, później w prawo, a potem upadł na siedzenie, gdy maszyna obróciła się dookoła własnej osi o 360 stopni i ruszyła znów w tym samym kierunku. Goryl siedzący na fotelu pasażera pochylił się i donośnie krzyknął. Jakaś niewidzialna siła wyrwała go z miejsca, uniosła do góry i z olbrzymim impetem wgniotła w blachę dachu. Pierwszy i ostatni raz w życiu Pulverino zobaczył, jak głowa człowieka ulega sprasowaniu na krwawą miazgę, przebijając grubą wykładzinę i metal. Na ułamek sekundy wpadła mu w oko pajęcza sieć białych nitek pękającej szyby. Zgrzyt blachy, nagle szarpnięcie podwozia i palący, biały blask uderzenia. Zanim umarł zgnieciony ramą opla, ujrzał jeszcze opętaną śmiertelnym przerażeniem twarz kierowcy.

Po ogłuszającym hałasie zderzenia nastąpiła krótkotrwała cisza. Moment później odezwał się znowu monotonny huk samolotowych silników.

Bentley stał cały i nie uszkodzony na poboczu drogi. Ross siedział bez ruchu i gapił się z niedowierzaniem na scenerię wypadku.

Zauważył tamten samochód tuż przed sobą i nie zdążył już wykonać żadnego manewru. Opel otarł się o przód jego wozu i koziółkując po asfalcie zsunął się ze skarpy w dół. Tam zatrzymał się na pniu grubego dębu kilkanaście metrów dalej, dokładnie w miejscu, gdzie skupiały się wiązki światel ben-

tleya. Miał wszystko jak na dłoni: wyrwane drzwi, splaszczone poszycie, porozbijane szkło. Żadnego ruchu wewnątrz.

Ross przestraszył się. Nie zaszokowała go sama katastrofa, gdyż ten fakt nie dotarł jeszcze do jego świadomości. Bał się czegoś innego. W pierwszym odruchu obejrzał się za siebie i sprawdził, czy ktoś nie nadjeżdża. Wszędzie jednak panowała cisza i ciemność. Tylko pobliska lampa rzucała tajemnicze cienie na okoliczne krzaki. Zgasił reflektory, wziął do ręki znaną w schowku latarkę i wysiadł z wozu.

Ross obawiał się, czy ktoś nie posądzi go o spowodowanie tragicznej kraksy. Wówczas skończyłyby się marzenia o Florydzie, a gdyby go schwytano, do końca życia nie wyszedłby z więzienia. Kwestia identyfikacji i skojarzenia z morderstwem przy Charrington Street 53B nie byłaby dla policji problemem. Opanowała go jednak nieodparta chęć sprawdzenia, kto uległ wypadkowi. Dlatego też zbliżył się ostrożnie do rozbitego opla i zajrzał do środka przez rozszarpany otwór tylnych drzwi.

Zrobiło mu się niedobrze. Nic dziwnego — widok człowieka pozbawionego głowy u nikogo chyba nie wywołuje przyjemnych myśli. Opanował narastające mdłości i skierował latarkę w bok. Mężczyzna za kierownicą miał skręcony kark i musiał zginąć na miejscu. Ross przysunął się jeszcze bliżej i potracił coś kolanami... zerknął w dół. Opierał się o nogi ubrane w eleganckie, męskie buty. Wzdrygnął się i cofnął. Skierował światło latarki na twarz tamtego i oniemiał. Przed nim spoczywał Joseph Pulverino — człowiek, który wyciągnął go z opresji w Nowym Jorku, człowiek, który wbrew wszelkiej logice zamiast tkwić za kratkami w Rhinebeck, jak donosiła prasa, leżał martwy u jego stóp.

Ross wiedział, że musi natychmiast pozbyć się śladów. Pragnienie zetknięcia się z przedstawicielami tak wysokiego szczebla mafii było ostatnią rzeczą, jakiej w tym momencie pragnął. Pracował jak w transie, chociaż chwiał się z wrażenia na nogach. Śpieszył się. Pod uniesioną maską silnika odnalazł przewód paliwowy prowadzący do gaźnika i poluzował go trochę. Okręcił chusteczkę do nosa wokół wilgotnego od cieknącej benzyny wypustu karburatora i stanął dwa kroki od samochodu. Już miał zapalić zapalną, gdy jego wzrok padł na niewielką walizeczkę, prawie identyczną jak ta, którą zostawił w bentleyu. Odruchowo sięgnął po nią i spróbował otworzyć. Wieko nie ustępowało. Wtedy podłożył ogień i uskoczył wraz z niewiadomą zdobyczą na bok.

Chwilę potem długi język ognia wystrzelił z mroku nocy i buchając coraz silniej ogarniał wolno cały przód wozu. Ross puścił się pędem ku szosie. Uruchomił bentleya i skręcił w ciemność pobocza po drugiej stronie drogi.

23

„Atlantis”, Washington, Houston, New Jersey, 15 lipca, godzina 21.30 czasu wschodnioamerykańskiego

W kabinie „Atlantisa” Dusk trzymał palec na starterze „Teal Rubby”.

— A może zerwiemy bezpieczniki, co? — spytał Scott.

— Nie szalej... — mruknął tamten. — Uważaj teraz...

Cyferki wyskakujące na migocącym ekranie zmniejszyły wartość co sekundę. 9, 8, 7, 6,... Gdy osią-

gnęły stan zerowy, Dusk przesunął dźwignię na czerwony zakres wskaźnika i włączył zapis wykresu lotu. Odchylił się w fotelu i uśmiechnął do pilota.

— No i koniec. Tak to by wyglądało. Minuta czasu do piekła. Jedna, jedyna minuta...

Prezydent Dillon nie udał się ani do Air Force 1, ani do schronu w podziemiach Białego Domu. Zamknął się samotnie w Oval Office i patrzył apatycznie na ścienny zegar. O 21.30 zamknął oczy i w myślach odliczał 60 sekund, jakie pozostały do wybuchu.

Hannah krztusił się ze śmiechu w objęciach Sheilii Pickard. Dziewczyna śmiała się również. W momencie odpalenia „Teal Ruby” zamilkli na chwilę, po czym padli na łóżko zdzierając z siebie ubranie.

Keith Benty do ostatniej sekundy usiłował nawiązać kontakt z wahadłowcem. Prom go nie słyszał. Gdy z głośników nasłuchu rozległ się głos Duska zapowiadający „minutę czasu do piekła”, Benty zrezygnował z dalszych prób i ciężko usiadł za pulpitem. Również spoglądał na chronometr.

Ross szperał w schowku bentleya w poszukiwaniu śrubokręta. Wydostał go, podważył zamek i sprawnie rozkręcił zawiasy. Położył walizkę na kolanach i szarpnął do góry. Przed nim leżały miliony. Myślał, że odebrało mu rozum. Dotknął czeków i delikatnie je pogładził. Wszystkie były ważne, wystawione na okaziciela, podpisane, do realizacji w bankach, których nazwy przypawiły go o zawrót głowy. Szwajcaria, USA, Wielka Brytania, Francja, Argentyna, Brazylia, Włochy — stracił rachubę. Podniósł pierwszą książeczkę i szybko przewertował. Na każdej stronie widniała wypisana przez kogoś kwota: 100 000 funtów. Przeliczył ilość kartek — 30. Trzy miliony funtów w jednej pojedynczej książeczce! Został multimilionerem... Potem

przyszło opamiętanie. Zapalił papierosa i niepewnie otworzył czarny manuskrypt. Telefony, cyfry, adresy... Przeczytał tytuł: „Carlo Gambino. 1956 —”. Obok daty miejsce za kreską było puste. Pot wystąpił mu na czoło. Znał to nazwisko. Kto go nie znał... William Lawrence Ross jeszcze się nie domyślał, że znalazł się w posiadaniu najpilniej strzeżonych dokumentów mafii.

Dokładnie o 21.31 okolicą targnęła eksplozja.

24

Baza Edwards, Kalifornia, 16 lipca, godzina 0.30

Trzydzieści cztery godziny i trzydzieści minut od startu „Atlantisa” Dusk i Scott przebrani w ciśnieniowe skafandry przymocowali się do katapultowanych foteli na pierwszym pokładzie promu i przygotowali do najważniejszego lądowania w ich życiu. Scott obrócił wahadłowiec dookoła tak, aby rufa statku ustawiła się przodem do kierunku lotu i uruchomił hamowanie. Schodzenie rozpoczęło się nad Oceanem Indyjskim.

Włączyli na próbę odbiór Houston i ze słuchwek wylał się potok słów Keitha Benty’ego.

— Co zrobiliście?! Co zrobiliście?! Do jasnej cholery, lądujcie! Natychmiast! Policzymy się później. Namiary. Baza Edwards obejmuje dyżur.

Dusk uśmiechnął się wyzywająco do niewidocznej Ziemi. On był w porządku. „Czarne skrzynki” nagrały każdy fragment lotu, każde słowo, które padło na „Atlantisie” i każdą nieudaną próbę łączności. Jedyna jego wina, jaką mogli go obarczyć, to odcięcie kontaktu z Houston. Ale miał wszelkie prawo, by ulec nerwom.

Mission Control nie traciła czasu na zbędne rozmowy. Zespół A-3 naprowadził maszynę na prawidłową trajektorię lotu i w 20 minut po uruchomieniu silników hamujących wahadłowiec z szybkością dwadzieścia pięć razy przekraczającą prędkość dźwięku wszedł w atmosferę, opadając co sekunda o 75 metrów w dół. Zjonizowane gazy otoczyły kadłub ze wszystkich stron i zablokowały komunikację z Ziemią na kwadrans. Temperatura na zewnątrz gwałtownie wzrosła, a powłoka na powierzchniach natarcia skrzydeł rozjarzyła się na wiśniowo. Kiedy „Atlantis” z nosem zadartym do góry pod kątem czterdziestu stopni uderzył w gęste warstwy powietrza, nastąpiła seria wstrząsów.

W bazie Edwards zarządzono alarm. Na obszarze jednostki obowiązywała gotowość bojowa, a wokół oświetlonej płyty lądowiska Rogers Dry Lake stały kordony wojska i policji. Piętnaście samolotów przechwytyjących typu T-38 oderwało się od ziemi i pomknęło na spotkanie powracającego „Atlantisa”. Czekano w napięciu.

Prom przeszedł nad wyspą Guam, podał jej dokładne namiary i ponownie zniknął z zakresu na 21 długich minut: 16 minut blokady cieplnej i 5 minut do najbliższej stacji nasłuchu już na terytorium USA. Scott i Dusk zostali sami.

Kilkanaście tysięcy ludzi wypatrywało w ciemności reflektorów wahadłowca. Nie zdających sobie z niczego sprawy gapiów odsunięto o cztery kilometry od pasa, poza teren Edwards, i stali tam, na wzgórzach w przekonaniu, że witają bohaterską załogę astronautów. Nikomu z nich nie przyszło do głowy, że wojsko i policja witają przestępców. Nagłośnienie dla publiczności wyłączono.

— Tu „Atlantis” — odezwał się o oznaczonej porze Scott. — Robimy 10.3 Mach’a. Dokładnie na trasie.

Po dwudziestu sekundach prom zwolnił do dziesięciokrotnej prędkości dźwięku i wpadł w zasięg naziemnych radarów. Zbliżał się od wybrzeża Kalifornii i na wysokości San Francisco zredukował szybkość do 7 Mach. Znajdował się na 41 148 metrach.

Scott wprowadził wówczas statek w kilka esowatych zakrętów, z których wyszli na 16 549 metrów przy szybkości 1.3 Mach'a w pobliżu Suchego Jeziora. Nadlecieli z zachodu, zatoczyli jeszcze jeden krąg i wrócili na przewidzianą trajektorię.

— Wiatr macie spokojny. Jesteście idealnie na linii — prowadził A-3. — Teraz!

„Atlantis” uniósł dziób do góry i wyrzucił podwozie. 19 sekund do przyziemienia. Samoloty T-38, lecące tuż obok, podawały wysokość: 50, 40, 30, 20 stóp... Kontakt!

Tylne zawieszenie dotknęło stałego gruntu. 5,4,3... — opadł nos i koła potoczyły się równo po gładkiej nawierzchni.

Z piersi tłumu wydobył się okrzyk radości. Kolejna wyprawa zakończyła się sukcesem, a turyści wrócą do domów zadowoleni z widowiska.

Gdy wahadłowiec zamarł w bezruchu po ponad trzydziestopięciogodzinnym locie, Dusk zdezaktywował główne systemy i czekał niecierpliwie na otwarcie drzwi. Houston milczało.

Kiedy wreszcie stanął u szczytu podstawionych schodów wiodących na płytę lotniska, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na dole stało około piętnastu żołnierzy i policjantów z pistoletami masywnymi wymierzonymi prosto w jego piersi.

— Złaź na dół! Scott też! — powiedział jakiś cywil, podchodząc nieco bliżej. — Szybko!

— Co jest? — wykrztusił Dusk. — Co jest?

Cztery godziny po lądowaniu Keith Benty zna-

laşł w sali w Houston to, czego szukał. Pod pulpitem odkrył magnetofon ze specjalnym licznikiem i kaseta w środku. Przewody łączyły całe urządzenie z systemem dźwiękowym sali głównej. Odnalazł również prosty przyrząd wielkości paczki papierosów, który odcinał łączność Mission Control z orbitą „Atlantisa”.

25

New York, 16 lipca, godziny 3.30

Miły głos zapowiedział odprawę paszportową rejsu 645 TWA do Buenos Aires. Pasażerowie ustawili się w kolejkach do trzech niezależnie pracujących okienek.

William Lawrence Ross nie miał bagażu. W rękę dzierzył fałszywy paszport na nazwisko John Heyes, który kupił przed godziną od znajomego fotografa i skórzaną aktówkę z książką Carla Gambina. Czeki trzymał w kieszeni eleganckiej marynarki. Nie posiadał nic do oclenia i szybko przeszedł przez wszystkie formalności.

W sąsiedniej kolejce denerwował się Roy White. Towarzyszyła mu żona, która w takich sytuacjach zawsze okazywała się być wzorem opanowania i żelaznych nerwów. Podobnie jak nie znany im Ross nie przysporzyli żadnych kłopotów urzędnikom Kennedy International.

Na końcu ostatniej grupy znalazła się Sheila Picard. Odprowadzał ją Richard Hannah. Przylecieli z Waszyngtonu nocnym samolotem i zdążyli jeszcze zjeść kolację przed odprawą. Sheila była smutna.

— Zostajesz, Richard — bardziej stwierdziła, niż spytała.

Hannah oglądał czubki swoich butów.

— Przecież kochamy się, Richard, będzie nam razem dobrze. Zobaczą. Zdobą. Zdobą.

— To nie ma sensu, dziewczyno, nie pojmujesz? Jak ja zniosę...

— Zniesiesz, doskonale wiesz, że zniesiesz. Tchorzysz, Richard. Kto cię tutaj trzyma! Price? Że wstawił się za tobą u Dillona? Bo byłeś mu potrzebny. Teraz nie jesteś i z radością poczęstuje cię kopniakiem. Zastanów się.

— Żal mi.

— Czego?

Milczał.

— Nawet nie wiesz, czego ci żal...

— Fakt.

— Fałszywy żal, Richard, żal, że ci nie wyszło, ale, na Boga, takim jak ty nigdy nic nie wyjdzie. Wbij to sobie do głowy, że jesteś za uczciwy, za wiele chcesz naprawić.

Zapalił papierosa.

— Wiesz, że nie pozwolę nikomu siebie utrzymywać, Sheila. A ty proponujesz mi życie...

— Zarobisz swoje pieniądze i nie zamierzam cię utrzymywać. Jesteś mężczyzną, a ja daję ci tylko pracę, która nie ma nic wspólnego z tym, o czym wciąż myślisz.

Zbliżyli się do okienka.

— Może gdybym spotkał cię wcześniej... Sheila, nie posiadam nawet biletu, do cholery! — wybuchnął nagle rzucając niedopałek na ziemię.

Sheila Pickard otworzyła torebkę. Na wierzchu leżały dwa kolorowe kartoniki z nadrukiem „TWA 645 Buenos Aires”.

— Wzięłam też twój paszport. Masz go w kieszeni własnej marynarki. Czy jeszcze jakieś argumenty? — spytała z uśmiechem.

Wyshington, 16 lipca, godzina 6.00

...,Jeżeli do tego czasu warunki nasze nie zostaną spełnione, jestem zdecydowany odpalić ładunek i skierować go na terytorium Stanów Zjednoczonych”.

Dillon, Conn, Price i Hatcher obrócili zmęczone, niewyspane twarze w kierunku Keitha Benty’ego, który manipulował przywiezionym z Houston magnetofonem.

— I co z tego wynika? — rzucił niechętnie stojący obok Sheenan.

— Wszystko — zapalił się Benty. — Od dłuższego czasu był wyraźnie przygnębiony, poirytowany... Inny. Załatwił sprawę całkiem zwyczajnie. Magnetofon ma zaprogramowany licznik — demonstrował. — Kasetą jest nagrana bardzo cicho, z zakłóceniami. Nie sposób stwierdzić, czy to rzeczywiście głos Duska. Głowę daję, że nie. W panice i zamieszaniu nikt przecież nie usiłował sprawdzić. A on wybierał odpowiednie fragmenty zgodnie z licznikiem i puszczał na salę, odcinając łączność tym oto urządzeniem — pokazał przyrząd znaleziony w Mission Control. — Kilka obwodów i już. Reszta taśmy zawiera przykłady typowych rozmów prowadzonych podczas symulacji lotów, a te mógł spokojnie nagrać przedtem.

— A stacje nasłuchu? Tracking? — zapytał Hatcher.

Benty nie potrafił opanować śmiechu.

— Ależ panowie, zgodnie z instrukcją alarmową i rozkazami pana prezydenta, stacje zostały wyłączone i śledziły lot „Atlantisa” tylko przy pomocy czujników namiaru! Żadnej łączności nie było. A on? On

już wiedział, że Vandenberg nie poleci. Przekazał Cape Canaveral szefowi A-1, zanim nadeszły decyzje, prawda? Przejął funkcję szefa Zespołu Orbity i tylko on miał prawo nasłuchu. I słyszał „Atlantisa” cały czas, kiedy usiłował nawiązać z nim kontakt. Później Dusk musiał się do tego stopnia zdenerwować, że sam zrezygnował z prób porozumienia. Zaszło to gdzieś pod koniec misji, wtedy gdy ja przejąłem kontrolę. Dusk się uparł i przeprowadzał testy aż do skutku. Jeżeli popatrzeć uważnie na harmonogram lotu, łatwo da się zauważyć, że „Atlantis” ani na sekundę nie odstąpił od planu. Panna Pickard wiedziała o tym, bo pracowała u nas, prawda? Wykorzystała poszczególne fazy, fazy przez nas, panowie, ułożone, po czym podała je jako kolejne terminy uwolnienia Pulverina. Tak, proszę spojrzeć — rozłożył schemat na stole. — Według harmonogramu Pentagonu wahadłowiec powinien otworzyć ładownię około 16.00. A jak brzmiał pierwszy warunek? Jeśli do 16.00 Pulverino nie znajdzie się na wolności, „Atlantis” przystąpi do otwarcia ładowni, tak? I rzeczywiście, zrobili to o godzinie 16.00, ale zgodnie z naszym planem. Jedźmy dalej. Następny termin przypadał na 6.00 15 lipca. Prom przetestuje ramię podnośnika, jeżeli rząd nie ugnie się przed szantażem. I przetestował, bo tak stało w planie, naszym planie, który z żelazną konsekwencją realizował odcięty od Ziemi, Bogu Ducha winny Dusk, nie mający najmniejszego pojęcia, że jest narzędziem w rękach panny Pickard. Podobnie stało się, gdy przyszła pora na wyrzucenie „Teal Ruby”. Wykonał to i dopiero chyba właśnie wtedy sam odciął łączność, nieświadomie przyczyniając się do uprawdopodobnienia porwania. Nie wytrzymał napięcia. Houston miało podsłuch i z przerażeniem dowiedzieliśmy się, że „Atlantis” zamierza odpalić satelitę. A Dusk

znów trzymał się tylko pentagońskich planów, niczego więcej. Rzecz jasna nie zerwał bezpieczników i „Teal Ruby” pozostał na swojej orbicie. Jest tam nadal. Dusk tak miał postąpić, tak stanowił rozkład lotu. Podziwiam go za opanowanie. Ja na jego miejscu przerwałbym wykonanie zadań i wracałbym szybko na dół. Strzelano do niego, prowadził prom na ślepo, bez łączności... Boże... — westchnął ciężko.

Ludzie prezydenta patrzyli na siebie ponuro.

— Czyli właściwie nie było żadnego... — zaczął Conn.

— Tak, żadnego porwania nie było. Wszystko załatwił jeden, jedyny człowiek, udający kłopoty z sercem. Uciekł, gdy tylko Pulverino znalazł się na wolności. Nabrał mnie i panów również. Roy White — zakończył Benty.

Godzinę później Price otrzymał w FBI telefon. Policja New Jersey donosiła, że o piątej rano niejaki Mathew Spillon z Nowego Jorku znalazł przy szosie Czterdziestej Trzeciej w okolicach Teterboro rozerwany wybuchem benzyny, doszczętnie spalony wrak opla. Wśród tłących się jeszcze zgliszczy tkwiły dwie osmalone czaszki. Z trzeciej pozostało jedynie kilka kosteczek. Śledztwo trwało.

Epilog

W rok później prasa amerykańska zachwycała się zawrotną prosperitą firmy „Heyes”. „Heyes” posiadała swoją siedzibę w centrum Manhattanu przy jednym z najbardziej ożywionych skrzyżowań Madison Avenue i ulicy Sześćdziesiątej. Wznosił się tam imponujących rozmiarów budynek, któremu mieszkańcy Nowego Jorku nadali nazwę „Heyes Building”. „Heyes Building” znaczy dla nich tyle, co nafta.

Właściciel imperium benzynowo-naftowego nie rezyduje w Stanach Zjednoczonych. Jego firma, działająca przeważnie na Bliskim Wschodzie, ma sieć filii rozsianych po całym świecie, ale wszystkie nici zbiegają się w Buenos Aires. Tutaj bowiem ma swój pałacyk John Heyes.

Od ponad roku nie odwiedził USA, jak sam mówi, tylko z czysto ekonomicznych względów. Chce w ten sposób ominąć amerykański system podatkowy — nader częsta praktyka. Wydobywa naftę na wybrzeżu Zatoki Perskiej i sprzedaje ją, gdzie mu wygodniej. Pieniądze przechowuje tam, gdzie najpewniej, a żyje gdzie najspokojniej i najdalej. Twierdzi, że nafta przynosi mu szczęście. Czasami zmienia zdanie i powiada, że to raczej benzyna jest jego dobroczyńcą. Dziennikarze nie widzą różnicy.

John Heyes cieszy się też wielką sympatią kół politycznych Waszyngtonu. Odbywa spotkania z

przedstawicielami Kongresu i żywo interesuje się problemami kraju. Szczególną atencją darzy go przemysłowiec, były minister finansów w rządzie prezydenta Dillona, Andrew Mellon. Mówi się, że ściśle ze sobą współpracują. Detali brak.

Również amerykańska mafia ceni sobie Johna Heyesa. Głośno nie wspomina się o tym fakcie, ale bardziej wścibscy dziennikarze odkryli jakoby powiązania naftowego magnata z „przyjaciółmi przyjaciół”. Powiązania to ciekawe, bo oparte na wspólnej płaszczyźnie pełnego zrozumienia i kooperacji. Heyes pozwala na wszystko, co nie przynosi mu strat. Organizacja natomiast z bezprecedensową bezinteresownością pomaga w rozwoju firm właściciela „Heyes Building”. Nikt nie wie jednak, gdzie tkwi właściwie rozwiązanie tej zagadki.

Jak donosił ostatni raport Reginalda Price'a, mimo tego że dokumentacja zniknęła, mafia uległa ostatnio znacznemu scentralizowaniu. Price miał znowu olbrzymie kłopoty, gdyż działalność syndykatu uderzała bezceremonialnie we wszystkie możliwe gałęzie gospodarki państwa.

Zmiany, jakie zaszły w sposobach funkcjonowania organizacji, też nie ułatwiały życia szefowi FBI. Capo poszczególnych Rodzin nie odbywali już spotkań na gruncie amerykańskim. Jeżdżą obecnie do Brazylii i naradzają się w okazałej willi pod Buenos Aires, gdzie mieści się ich kwatera główna. Nowym Capo Tutti Capi obrano Sheilę Pickard, córkę zmarłego w tragicznym wypadku Josepha Pulverina. Tuż obok niej stoi zawsze jej mąż, o którym niewiele wiadomo. Wtajemniczeni wyrażają opinię, że człowiek ten robi w organizacji karierę.

Kilka dni temu pięciu mafijnych bosów z Sheilą Pickard na czele zaszczyciło swą obecnością stypę żałobną po Royu Whicie. Prasa zastanawiała się,

dłaczego. Nikomu nie znany Roy White zmarł niespodziewanie w swej posiadłości w Buenos. Typowy zawał serca.

Dwa lata później 4 stycznia, o 2.00 w nocy, w mieszkaniu szefa tajnej policji Białego Domu rozległ się sygnał telefonu. Mike Deaver ocknął się i od razu wiedział, że stało się coś złego. W sypialni znajdował się bowiem jeden, jedyny aparat — linia bezpośredniego połączenia z domem prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Sięgnął po słuchawkę i rzucił zachryple „halo”. Dzwonił Bob Carter, oficer ochrony. Prosił, by Deaver przybył bezzwłocznie do rezydencji prezydenta.

— Co się stało? — zapytał szef policji.

— Znowu stało się nieszczęście, Mike, prawdziwe nieszczęście.

Kiedy samochód Deavera z włączoną syreną podjechał na podwórze przy Pensylwania Avenue 1600, Biały Dom był ze wszystkich stron otoczony strażnikami ochrony. Mike wbiegł jak szalony na trzecie piętro do prywatnych apartamentów prezydenta Dillona i w drzwiach sypialni natknął się na jego osobistego lekarza, doktora Scoundrela. Scoundrel powiedział mu, że prezydent nie żyje. Zmarł nagle przed czterdziestoma minutami.

O 3.30 do luksusowego pałacyku położonego przy George Washington Avenue o kilka przecznic na północ, jeden za drugim podjechały dwa mercedesy i rolls-royce, z których szybko wysiadły cztery osoby. Właścicielem pałacyku był sześćdziesięcioośmioletni Andrew Mellon, były minister finansów w rządzie Dillona, multimilioner, najbardziej wpływowy przemysławiec, polityk i biznesmen w Waszyngtonie. W gabinecie na piętrze rozpoczęła się nadzwyczajna narada.

Oprócz Andrew Mellona, który zasiadł przy kominku w nocnych pantoflach i szlafroku, w nara-

dzie udział wzięli: osobisty przedstawiciel zmarłego prezydenta, minister sprawiedliwości Hughes, minister spraw wewnętrznych Fall oraz nowa postać na firmamencie polityki, kandydat na stanowisko gubernatora Kalifornii, John Heyes.

W drzwiach saloniku stał cicho Mike Deaver.